

COLLEEN  
THOMPSON  
Fatalna pomyłka



**Colleen Thompson**

**FATALNA POMYŁKA**

Tłumacz: Karolina Bober

*Created by Bevitore*

## PROLOG

To przykre, że ludzkie szczątki są świętością tylko dla ludzi. Dla padlinożerców nasi zmarli są tylko źródłem pokarmu - ani lepszym, ani gorszym niż martwe ciała innych zwierząt.

W południowo - zachodnim Teksasie zwierzętom żyje się trudno. Wychudzone kojoty wykorzystują każdą okazję, żeby coś zjeść, tak jak sępy, borsuki, muchy i mrówki.

Ale nawet najbardziej wygłodniałe zwierzęta coś zostawiają: zbyt twardą kość, niestrawiony kłęb pozlepianych włosów, kawałek zakrwawionej tkaniny. Te rozrzucone szczątki to ślad po tym, jak zakończyło się życie - na co człowiek nie miał wpływu.

Taki koniec, chociaż wydaje się okropny, nigdy nie jest nieludzki. Po zmarłym zawsze ktoś płacze, nieważne, jak daleko znajduje się jego grób. Nie wolno sądzić serca po fatalnych pomyłkach, które doprowadziły je do śmierci. Trzeba poznać pobudki działania człowieka, kiedy jeszcze żył.

# ROZDZIAŁ 1

Gdy Susan usiadła przy stoliku w restauracji, rodzice jej dawnego ucznia, ranczerzy, wstali i wyszli. Przedtem kobieta o rudych, siwiejących włosach, kiedyś gorliwa członkini komitetu rodzicielskiego, spojrzała na nią, jakby chciała powiedzieć: „Niech cię piekło pochłonie!” Susan to zabolalo.

Powinna już przywyknąć do znaczących spojrzeń i szeptów, plotek o tym, że morderstwo ujdzie jej na sucho. Ale w takich sytuacjach zawsze robiło jej się przykro: Ból nie ustępował.

Samochód Harrisów wyjechał z parkingu, wzbijając kłęby pyłu, jakby ktoś odkurzał drogę gigantyczną miotłą. Gdy pył opadł i ukazał się motocykl, Susan poczuła, że nie może złapać tchu.

Niech mi pomoże - z rodzinnej lojalności lub ze wstydu za brata, a nawet, wszystko mi jedno, przez wzgląd na tamtą noc, o której od dawna próbujemy zapomnieć. Niech tylko obieca, że to zrobi.

Wiedziała, że to nie jest zbyt tradycyjna modlitwa, ale liczyła na punkty za desperację. Miała prawo się martwić: po godzinie jazdy z Clementine piaszczystą drogą, na której więcej było jaszczurek i chwastów niż samochodów, Luke musiał być bardzo spocony i bardzo rozdrażniony.

Co gorsza, był Maddoksem - ostatnią osobą, której mogłaby zaufać.

„Weź to pudełko i zanieś do ... „, Mama oparła się na balkoniku, szukając w myślach słowa. W jej brązowych oczach pojawiło się zniecierpliwienie. Wreszcie zmusiła do posłuszeństwa ośrodek mowy, uszkodzony z powodu wylewu. „Do szeryfa, tak jak należy. Jeśli dasz to komuś z Maddoksów, będą. .. będziesz miała większe kłopoty. Jeszcze tego nie rozumiesz?”

O tak, Susan dobrze to rozumiała. Dużo można się nauczyć, kiedy mąż po sześciu latach ucieka z żoną miejscowego bankiera, fortuną z zaciągniętych kredytów i Bóg wie jaką forszą, skradzioną z rodzinnej firmy.

Pomimo przykrych doświadczeń nie miała wątpliwości: szwagier był jedyną nadzieją dla niej i matki. Wiedziała jednak, że Luke się wścieknie, gdy odkryje, że podstępem zwabiła go do restauracji trzeciej kategorii na skrzyżowaniu ruchliwej autostrady 90 z piaszczystą drogą wiodącą z Clementine, stolicy hrabstwa.

Susan też miała kiepski nastrój - gniew nie opuszczał jej przez osiem miesięcy od zniknięcia Briana - ale nie była głupia. Jeśli kiedykolwiek w życiu powinna być grzeczna, to właśnie teraz.

Do restauracji wkroczył Luke - całe metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Na widok jego miny Susan zdenerwowała się jeszcze bardziej. Szedł gniewny w jej stronę z kaskiem pod pachą i mokrymi od potu ciemnymi włosami. Każdy krok sprawiał, że z jego dzinsów unosiła się chmurka pyłu.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i popatrzył na nią wściekle, nie dając się zwieść czerwonej szmince ani kapeluszowi o szerokim rondzie, skrywającemu jej brązowe włosy, sięgające ramion. Nawet kiedy Susan siedziała, widać było, że jest wysoka i ma wysportowaną sylwetkę.

- Na parkingu stoi twój czerwony džip, zgadza się? Ten, z powodu którego zadzwoniłaś? - Z jego tonu wnioskuje, że znał odpowiedź. - Opony są w porządku.

Cieszyła się, że byli jedynymi klientami w restauracji. Zanosilo się na kłótnię, a ona bardzo nie chciała sceny w miejscu publicznym.

- Usiądź, proszę - zaproponowała spokojnym tonem, który na lekcjach biologii pomagał jej

rozwiązywać codzienne problemy uczniów. Udała, że serdecznie się uśmiecha. - Wypłucz sobie muchy z zębów.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Na dworze są trzydzieści trzy stopnie. Muchy siedzą w klimatyzowanych domach.

- Czemu nie wzięłaś któregoś auta i nie włączyłaś klimatyzacji?

Aby powiedzieć mu o przebitej oponie w dziupie, zadzwoniła przecież do jego biura - tego, które było drugim domem jej męża, Briana. Nie powinna się więc dziwić, że przyjechał motocyklem, a nie samochodem. Luke był tym szalonym Maddoksem. A jego rozsądny brat teraz pewnie siedział na jakiejś plaży w Meksyku, opalając się i śmiejąc z tej idiotki, swojej żony.

Nikomu chyba nie zależało na odnalezieniu go - oprócz niej i może Hala Beechera, którego żona zniknęła w tym samym czasie.

- Samochody nie należą już do mnie ani do mojej rodziny - poinformował ją Luke. - Od spotkania, które przerwał twój telefon.

- Spotkania?

- Rano przyjechali przedstawiciele korporacji, żeby odebrać nam salon samochodowy. Mama nie zniosłaby tej rozmowy. Jest załamana, bo tata poświęcił firmie tyle lat życia. Poprosiła więc, żebym załatwił to za nią.

Susan skrzywiła się, przypominając sobie, że nie tylko ona ucierpiała z powodu zdrady Briana. Jej mąż zamawiał i sprzedawał samochody, ale nie płacił wytwórcom i nie wywiązywał się ze wszystkich zobowiązań finansowych. Nie udało się ustalić, co zrobił z setkami tysięcy dolarów. Teraz salon, na który jego ojciec pracował całe życie, został odebrany rodzinie.

- Przykro mi. - Bardzo żałowała, że nie domyśliła się, co planował jej mąż, i że nie zwracała baczniejszej uwagi na jego zachowanie w ostatnich miesiącach przed zniknięciem.

Czy zorientowałaby się, gdyby nie była zaprzątnięta chorobą mamy? Nie chciała o tym myśleć. Wyobraziła sobie, że wbija kolejną szpilkę w wymagowaną lalkę voodoo, przedstawiającą Briana.

Powstrzymała uśmiech na myśl o tym, że gdzieś na meksykańskiej plaży odcięty penis mężczyzny wypada przez nogawkę kąpielówek. Miała nadzieję, że Jessica Beecher zabrała ze sobą wibrator ...

- Mnie też jest przykro. - Luke opadł na krzesło naprzeciwko Susan. - Przede wszystkim dlatego, że moja matka powierzyła Brianowi firmę.

Susan wzruszyła ramionami.

- Jak mogłaby przewidzieć, co on zrobi? Czy ktokolwiek z nas mógłby się tego spodziewać?

- Czasami ludzie wolą nie widzieć tego, co bolesne. To jest jak histeryczna ślepotą. Słyszałaś o tej chorobie?

Zaczerwieniła się, czując narastający gniew. Nie wybuchła jednak, pamiętając o swojej prośbie i wąskim pudełku w torebce.

- Ty poradziłbyś sobie lepiej, gdybyś był na miejscu? - zapytała ostrożnie. Pokręcił głową.

- Tego nie mówię. Co jakiś czas rozmawialiśmy z Brianem przez telefon, ale nie byliśmy sobie bliscy. Dobrze o tym wiesz. Teraz jestem na miejscu. Przez co najmniej miesiąc będę się kontaktował z biurem przez komputer. Zmęczyły mnie dojazdy do Austin. To przecież tysiąc trzysta kilometrów.

Nie zdziwiło jej, że fakty różniły się od wersji, którą słyszała. Ludzie mówili, że został zwolniony z firmy, zajmującej się zabezpieczeniami komputerowymi, bo po zniknięciu Briana zaniedbywał swoje obowiązki w pracy. Odczuła na własnej skórze, że plotki w zachodnim Teksasie zawsze mijają się z prawdą.

- Miło ze strony twojego szefa, że się na to zgodził - powiedziała. Wzruszył ramionami.

- Nie lubię się użerać z szefami. Wykupiłem jego udziały jakiś czas temu.

Susan była zaskoczona, że o tym nie słyszała. Ale przecież wiedziała, jak skryty jest Luke.

Gdy tylko Luke spojrział na swoją pustą szklankę, przy ich stoliku zjawiła się kelnerka, chociaż prawie od piętnastu minut ignorowała Susan. Blondynka w średnim wieku, o ostrych rysach, przyniosła dzbanek herbaty w karmelowym kolorze i odsłoniła w uśmiechu zęby, na których widniał osad. Susan zauważyła na identyfikatorze imię Cyndee i pomyślała, że kobieta na pewno zmieniła jego pisownię w szkole średniej.

- Ma pan ochotę? - zapytała Cyndee. Jej ciężkie od makijażu oczy jak igła kompasu skierowały się w stronę Luke'a Maddoksa i jego zabójczego, orzechowego spojrzenia.

Kiedy skinął głową, nalała mu herbaty, nawet nie patrząc w kierunku Susan. Oparła dzbanek na stole i przeciągnęła się prowokująco, wskazując panel klimatyzacji na ścianie.

- Pomyślałam, że ochłodzę tu trochę dla pana. Jest panu chyba bardzo gorąco.

Susan wzniosła oczy do nieba. Choć już piętnaście lat temu skończyli szkołę średnią, szerokie ramiona i regularne rysy Luke'a wciąż doprowadzały kobiety do szaleństwa. Powinna to dobrze wiedzieć: kiedyś była gotowa zostać przewodniczącą jego fanklubu. Na szczęście mama położyła temu kres.

Nalała sobie herbaty.

- Może zostawi pani dzbanek i przyniesie nam danie dnia? - zapytała blondynkę.

Cyndee zamrugła.

- Co? - zapytała z irytacją.

Susan musiała dwa razy powtórzyć zamówienie, zanim kobieta wreszcie poszła do kuchni. Pewnie po to, żeby napluć w jej kanapkę. Luke wypił pół szklanki herbaty.

- A teraz powiedz, dlaczego skłamałaś, żeby mnie tu ściągnąć. Na pewno nie z powodu znakomitej obsługi w tej restauracji.

- Wybrałam to miejsce, bo jest odosobnione - wyjaśniła. - Nikt z Clementine nawet by tu nie wszedł.

Może oprócz Harrisów. Dobrze, że nie zobaczyli jej z Lukiem.

- Po co te tajemnice? - zapytał. - Chyba aż tak się nie boisz mojej matki.

Zaśmiała się szorstko.

- Twojej może nie - skłamała, uświadamiając sobie, że próbuje zyskać na czasie. - Moja śmiertelnie mnie przeraża.

Matka tak się uparła w tej sprawie, że Susan obiecała pojechać do szeryfa.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak świadomie skłamała.

- Jak się czuje Maggie? - zapytał Luke.

Szczere zainteresowanie sprawiło, że jego rysy złagodniały, a Susan wbrew sobie poczuła wdzięczność. Od zniknięcia Briana prawie nie widywała spojrzeń, w których nie czaiłyby się niewypowiedziane pytania.

Mogłaś to zrobić? Zrobiłaś?

Znajomi i sąsiedzi, współpracownicy i rodzice uczniów nie patrzyli na nią wprost, ale wiedziała, że oglądali jej zdjęcie w gazecie. Tuż obok zdjęć zaginionej Jessiki Beecher,

Briana i jego spalonego samochodu, stojącego gdzieś daleko na pustyni.

Do tej pory nie mieściło jej się w głowie, że mógł być tak podły, by w ten sposób zatrzeć ślady. W myśli wbiła mu w oko kolejną szpilkę.

- Mama czuje się znacznie lepiej - odpowiedziała Luke'owi. - Terapia bardzo pomogła, zwłaszcza w odzyskiwaniu mowy. Ale prawa strona ciała nadal funkcjonuje gorzej, a mentalnie ... powiem tylko, że nie dałaby sobie rady sama.

- Mieszkacie teraz razem?

- Tak, wyobrażasz to sobie? Kiedyś sprawiałam jej tyle kłopotów, teraz muszę być bardzo odpowiedzialna. To dobrze, że mam się kim opiekować. Dzięki temu nie myślę o złych rzeczach. Cóż ... - Wzruszyła ramionami. Oczywiście to kłamstwo, ale przynajmniej mam przed kim udawać.

W milczeniu spojrzała mu w oczy. Ucieszyła się, nie widząc w nich podejrzeń, tylko zrozumienie i smutek.

Grzecznie byłoby zapytać o zdrowie jego matki, ale chociaż Virginia także przeżyła koszmar, Susan nie mogła się do tego zmusić. Dławiły ją wspomnienia oskarżeń, które starsza kobieta wygłosiła pod jej adresem.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Luke'a.

- Przejdźmy do rzeczy. Dlaczego ściągnęłaś mnie aż tutaj?

Poczuła ucisk w gardle, ale zmusiła się do powiedzenia prawdy. Prawdy, którą przez tydzień ukrywała przed matką.

- Zadzwoił do mnie dyrektor szkoły. Powiedział... powiedział, że postanowili rozwiązać ze mną umowę.

Panika, która narastała w niej od kilku dni, teraz zapałają jak rwący potok.

- Nie dopuszczę, żeby to zrobili! Jeśli nie pozwolą mi jesienią wrócić do szkoły, będę musiała wyjechać z miasta i poszukać innej pracy. Wtedy mama trafi do mojej siostry. Znasz Carol. Gdy mama zacznie jej choć trochę przeszkadzać, oddają do jakiegoś domu opieki w Kalifornii. A to by było dla niej zabójcze! Matka całe życie spędziła w Clementine. Ma tu przyjaciół, z tym miastem wiążą się jej wszystkie wspomnienia... Nie pozwolę tym łajd...

- Chwileczkę. Pomówmy o tym spokojnie - zaproponował Luke. - Dlaczego chcą cię zwolnić?

- Dyrektor Winthrop mówi, że telefonują rodzice. Podobno nie chcą, żebym uczyła ich dzieci. Dodał, że „rozpraszam uwagę młodzieży i przeszkadzam w zdobywaniu wiedzy”. - Jej śmiech zabrzmiał chrapliwie. - Zabawne! Poprzednim razem, gdy do mnie dzwonił, powiedział, że zostałam wybrana nauczycielką roku w całym okręgu. Cholerny drań bez kręgosłupa!

- Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek miałby na ciebie narzekać - dziwił się Luke. - Brian żyje. Dwaj świadkowie widzieli go z Jessicą Beecher na stacji benzynowej w Nowym Meksyku kilka dni po tym, jak szeryf znalazł samochód. I czy Jessica nie zostawiła jakiejś wiadomości na automatycznej sekretarce?

- O tym gazety napisały na siódmej stronie. Zresztą to chyba bez znaczenia. Pierwszy artykuł załatwił sprawę. - Poczuła gniew. Przełknęła z trudem ślinę. - Nikt nie zapomni zdjęć, zwłaszcza tych, na których zastępcy szeryfa wynoszą dowody z mojego domu. Jestem pewna, że wszyscy plotkują o tym, co powiedział ten dupek Ramirez.

Jego wypowiedź wryła się Susan w pamięć co do słowa:

„Susan Maddox twierdzi, że w dniu zniknięcia męża była na wycieczce w parku

narodowym, ale na razie nie znaleźliśmy świadków, którzy potwierdziliby jej wersję”.

Wersję! Jakby wszystko zmyśliła. Jakby dostatecznym dowodem nie były zdjęcia z datą, które zrobiła w parku. Już wtedy postanowiła, że wymaginowana lalka Ramireza zajmie miejsce obok lalki Briana i że w nią też będzie wbijać szpilki.

- Przecież następnego dnia szeryf oczyścił cię z wszelkich podejrzeń - przekonywał Luke. - Ciebie i Hala Beechera.

- Beecher od początku nie miał żadnych kłopotów. - Starła się nie okazać urazy. Od niej odwrócili się starzy znajomi, a męża Jessiki Beecher z każdej strony otaczano życzliwością.

Sąsiadki przynosiły mu nawet posiłki. Cóż, . w dniu zniknięcia ich małżonków Hal Beecher był na spotkaniu w El Paso, co potwierdziło kilkunastu świadków. W dodatku pojechał tam zbierać fundusze na klinikę dla ubogich, którą chciał założyć, by upamiętnić swoją zmarłą córkę.

Jak mogliby podejrzewać człowieka, którego córeczka dwa lata wcześniej umarła na białaczkę? Wszyscy uznali, że Jessica uciekła właśnie z powodu cierpienia po stracie dziecka. Jakby żał mógł usprawiedliwić wszystko, co zrobiła.

- Beecher miał kłopot - poprawił ją Luke. - Pamiętaj, że jego świat legł w gruzach. Brian nie tylko zabrał mu żonę, ale także, z powodu kredytów, znacznie uszczuplił zasoby jego banku. Teraz facet został z czteroletnim synkiem, który stracił matkę.

- Wiem, wiem. Brian zachował się jak sukinsyn, a teraz płacą za to wszyscy. Nie tylko ja. - Zamilkła, widząc kelnerkę niosącą potrawy.

Cyndee postawiła oba talerze, uśmiechając się do Luke'a.

Udała, że nie słyszy prośby Susan o keczup i wróciła do kuchni. Susan zaczęła się zastanawiać, czy zachowanie blondynki nie wynikało z czegoś więcej niż tylko z braku kultury. Może kelnerka także pamiętała jej zdjęcia z prasy?

Pomyślała, że wpada w obłęd. Przecież takie kobiety jak Cyndee nawet nie patrzyły na pierwsze strony gazet, od razu przechodząc do działu zdrowia i urody. Jeśli w ogóle czytały.

Luke wstał. Susan zamarła, myśląc, że wyjdzie, ale on tylko wziął z sąsiedniego stolika butelkę z keczupem i jej podał.

- Proszę - powiedział, muskając palcami jej palce. - Kelnerka chyba zniknęła na jakiś czas.

Susan nie mogła odpowiedzieć, zbyt oszołomiona impulsem, który domagał się, aby chwyciła go za rękę i uściśnęła. Gdyby to zrobiła, czy cofnąłby dłonie?

Co się z nią działo? Przecież tylko dotknął jej palców. W dodatku był dla niej teraz tylko bratem Briana, nie chłopakiem z liceum, który bardzo ją onieśmielał swoją skłonnością do szybkich samochodów i jeszcze szybszych dziewczyn. Pewnego wieczoru dała się jednak namówić na przejażdżkę kabrioletem.

A nocą, pod gwiazdzistym niebem, wśród pachnących kwiatów juki... była tak głupia, że oddała mu swoje dziewictwo. Następnego dnia matka na dwa tygodnie zamknęła ją w domu, bo Carol wypaplała, że widziała ich dwoje przy szafce Susan, „o wiele za blisko siebie”. Gdyby siostra wiedziała wszystko, pomyślała, do dziś miałabym szlaban!

Ale gdy Susan zdołała wreszcie uspokoić podejrzenia matki i siostry, Luke zainteresował się już większym i ładniejszym biustem w rozmiarze B - jakby ich wspólna noc nic dla niego nie znaczyła. Od tamtej pory żadne z nich nie wspomniało o tym zdarzeniu.

Myśląc o Brianie, Susan zastanawiała się, czy niestałość w uczuciach to cecha genetyczna, czy raczej stała właściwość chromosomu Y. To by wiele . wyjaśniało w kwestii mężczyzn i pilotów do telewizora.



- Czego więc potrzebujesz? - zapytał Luke. - Dobrego adwokata? Mogłabyś pozwać doktora Winthropa i całą cholerną radę szkoły. Nie wyrzuca się dobrej nauczycielki z powodu kilku skarg historycznych rodziców.

- Nie jestem pewna, czy wszyscy skarżący byli histerykami - powiedziała Susan. - Winthrop wymienił kilka nazwisk. Znalazłbyś je na liście KKP.

Zamilkła na chwilę, myśląc o wyborach do rady szkoły, które miały się odbyć w listopadzie. Od czterdziestu lat nie wybrano kandydata niemającego poparcia KKP. W hrabstwie Ocotillo rządziło Koło Konserwatywnych Pań. A Kołem rządziła matka Luke'a i Briana, Virginia Maddox.

- O cholera - mruknął Luke. - Wiem, o czym myślisz. I wiem, że nie zawsze zgadzałyście się z moją mamą, ale przecież nadal jesteś w rodzinie Maddoksów. Matka nigdy by ...

- Złożyłam pozew rozwodowy, Luke. Kilka miesięcy temu. Adwokat mi to doradził, żebym nie ponosiła prawnych konsekwencji czynu Briana. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście i tak zażądałabym rozwodu, ale twoja mama nie jest w stanie tego zrozumieć.

Skrzywił się.

- To prawda. Wciąż uważa, że Brian wróci i wszystko wyjaśni, trzeba mu tylko dać trochę czasu. Albo że ty ...

Urwał w pół słowa.

- Co? - ponagliła Susan, jakby sama się nie domyślała. Pokręcił głową.

- Ona zawsze musi obwiniać kogoś innego. Kogokolwiek, byle nie Briana. Susan potaknęła, przypominając sobie złość i frustrację Virginii Maddox w tych pierwszych dniach, gdy wszyscy razem czekali przy telefonie.

„Nigdy by cię nie zostawił... - zaczynała teściowa - gdybyś tylko była ... „ Bardziej tradycyjna. Bardziej uległa. Bardziej rozsądna. Mniej uparta. Ataki ciągnęły się w nieskończoność. Każde oskarżenie było jak pchnięcie nożem. Susan zastanawiała się, czy starsza kobieta mogła mieć rację. W końcu Virginia Maddox posunęła się za daleko i oświadczyła: „Gdybyś tylko urodziła mu dziecko”.

Tego było już za wiele. Susan przestała się obwiniać i wpadła w szał. Dała Virginii pół minuty na wzięcie torebki i powrót do domu - wszystko jedno jak, choćby i na miotle. Długo się do siebie nie odzywały, wreszcie teściowa zadzwoniła, żeby skrzyczeć ją za pozew rozwodowy. Skąd właściwie o nim wiedziała?

- Porozmawiam z mamą - obiecał Luke. - Wątpię jednak, żeby spiskowała z kimś przeciwko tobie. Przede wszystkim od lat nie jest przewodniczącą KKP. Nie przypuszczam, by nadal działała w organizacji.

- Chyba zapomniałeś, jak się tutaj żyje - zauważyła Susan. - Ale ty przecież jesteś Maddoksem. Może Maddoksowie nie muszą przestrzegać zasad.

- Odkąd pamiętam, słyszę te żalosalne, idiotyczne oskarżenia - odparował. - Ja nigdy taki nie byłam.

Chciał wstać, chwyciła go więc za nadgarstek.

- Proszę, nie idź - błagała. - Przepraszam. Po prostu ...

- Jeden Maddox, a raczej dwoje Maddoksów już ci przyłożyło - dokończył za nią.

Tak intensywnie wpatrywał się w swój nadgarstek, że go puściła. Czekwała, prawie nie oddychając, dopóki nie upewniła się, że Luke nie wstanie.

- Pytanie brzmi... - ciągnął, patrząc jej w oczy - co się stało, że chcesz spróbować szczęścia z trzecim Maddoksem?

Drżącą ręką sięgnęła do torebki i wyciągnęła pudełko wielkości książki w miękkiej oprawie.

Z tego powodu tu przysłała. To była jedyna, choć mizerna szansa na ocalenie. Podając pudełko Luke'owi, poczuła ucisk w piersi. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Starła się opanować zdenerwowanie, wygładziła dzinsową spódnicę i skrzyżowała gołe nogi, żeby odkleić je od skajowego siedzenia.

- Znalazłam to wczoraj - powiedziała. - Mam nadzieję, że tutaj mogą być odpowiedzi na pytania, które mnie nurtują.

Luke wziął od niej przedmiot.

- Twardy dysk? Briana? - Gdy skinęła głową, dodał: - Myślałem, że biuro szeryfa skonfiskowało jego komputer.

- Ale nie ten dysk. Pytając uniósł brwi.

- Dysk zepsuł się jakieś dwa tygodnie przed zniknięciem Briana. Brian bardzo się zdenerwował, powiedział, że ma tam dane podatkowe i że nie chciałby wklepywać ich od nowa przez następne trzy miesiące.

- Radziłem, żeby robił kopie zapasowe. Niektórzy nigdy nie zmagdziejają mruknął Luke.

- Mówisz o Brianie i połowie użytkowników komputerów na świecie. O mnie też, pomyślała ze wstydem. - Nie powinienem narzekać. Dzięki tej połowie wielu informatyków ma pracę.

- Chciał jak najszybciej naprawić dysk - powiedziała Susan - zawiózł więc komputer aż do sklepu z artykułami elektronicznymi w El Paso. Sprzedawca wcisnął mu nowy dysk. Powiedział, że staremu już nic nie pomoże.

- Ci kretyni zawsze tak robią - mruknął Luke. - Znacznie łatwiej zainstalować nowy twardy dysk niż odzyskać utracone informacje. Jeśli ten facet w ogóle wiedział, jak się do tego zabrać. Prawdziwi specjaliści od odzyskiwania danych zarabiają tysiące dolarów i nigdy nie dają gwarancji powodzenia.

- Nowy dysk ... - ciągnęła - był w pudełku z kartą gwarancyjną. Kiedy pakowałam rzeczy Briana, pudełko spadło z górnej półki w jego szafie. Podniosłam je i zauważyłam, że w środku jest też stary dysk. Pomyślałam więc, że może ktoś o twoich umiejętnościach zdołałby naprawić dysk, dotrzeć do poczty elektronicznej Briana i danych finansowych ...

Luke położył dysk na stole, w miejscu, gdzie nie było okruszków. Końcami palców przysunął go do niej.

- Tymi sprawami zajmują się eksperci policyjni. Lepiej, żebym go nie dotykał.

- Dlaczego? - zapytała piskliwie, czując narastającą panikę.

- Wiem, że jesteś bardzo dobry, dostałeś wiele branżowych nagród.

Prawie całe życie interesujesz się tech ...

- Właśnie - przerwał Luke. - I jestem bratem Briana. Nawet gdybym mógł odzyskać jakieś dane z tego twardego dysku, a prawdopodobieństwo jest niewielkie, to informacje byłyby niewiarygodne. Wiesz, jak łatwo sfałszować pliki komputerowe?

- Nie zrobiłbyś tego. Zresztą to bez znaczenia. Najważniejsze, żebym znalazła coś, co pomoże mi odnaleźć Briana.

Pokręcił głową.

- Tak samo jak ty chcę, żeby Brian wrócił. Niech mi wyjaśni, co sobie myślał, uciekając. I niech zapłaci za szkody!

- Kiedy udowodnimy wszystkim, że on żyje, moglibyśmy ...

- Nie. Nie zgodzę się, żeby rodzina spłacała jego długi.

Matka na pewno sprzedałaby ranczo. Nie zmusiłbym go do zapłacenia, nawet dając mu porządnego kopniaka w tyłek, chociaż od tego z trudem bym się powstrzymał. Brian musi iść do więzienia za to, co zrobił. Skrzywdził bardzo wiele osób i choć raz w życiu musi ponieść konsekwencje swojego postępowania.

Oczy Luke'a płonęły urazą. Susan domyślała się powodu. Ile razy słyszała, jak Virginia Maddox lekceważąco nazywała jego pracę „wyglupami z idiotycznymi narzędziami”. Na niego mówiła „chwast niewiele lepszy niż śmieć”, bo często zmieniał miejsce pracy, gdyż rynek informatyczny był niestabilny. Susan dobrze pamiętała, że ta okropna, stara baba chwaliła Briana za wszystko, co zrobił. Mimo to uważała, że strasznie jest mieć taką matkę ...

Choć dzień był gorący, zadrzała.

- Musisz to zawieźć do szeryfa - powiedział Luke. - Nie rozumiem, czemu nie zrobiłaś tego od razu.

- Facet pełni swoją funkcję od czasów, gdy Sam Houston chodził do podstawówki - wybuchła. - Godzinami musiałabym tłumaczyć Hectorowi Abbottowi, czym w ogóle jest twardy dysk.

Ostatni raz, gdy odwiedziła siwowłosego dziadka, wystukiwał coś pracowicie na staromodnej, ręcznej maszynie do pisania. Pisał z rękami wyprostowanymi w łokciach, żeby widzieć litery.

- Mogliby mu pomóc młodszy zastępcy albo Strażnicy Teksasu - upierał się Luke. - Czy nie wysłali twojego komputera do państwowego laboratorium w Wydziale Maszyn i Urządzeń?

- Dawno temu. Szeryf Abbott mówił, że wciąż czeka na odpowiedź - wyjaśniła Susan. - Ale chyba mu na niej nie zależy, zresztą ostatnio nie zależy mu na niczym. Zawsze, gdy z nim rozmawiam, poklepuje mnie po dłoni i mówi:

„Trzeba czasu, pani Maddox”. Kiedy powiedziałam, że mam dość tego protekcyjnego traktowania, oświadczył, że jego zdaniem wygląda to raczej na sprawę rodzinną niż na zbrodnię.

Luke zmarszczył brwi, sięgając po frytkę.

- Może po prostu chciał cię spławić. Pewnie dzwoniłaś do niego codziennie i byłaś bardzo natarczywa.

Susan pomyślała o dniach, kiedy dzwoniła dwa, a nawet trzy razy i dopytywała się o postępy w śledztwie.

- Nie cierpię czekać z założonymi rękami - przyznała. - Zupełnie mi to nie wychodzi.

- Być może, ale masz inne talenty. Na przykład niezwykłą zdolność do irytowania ludzi i do kłamstw. Nie dodawaj do tej listy utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości.

- Ja nie kłamię.

Luke wskazał kciukiem jej czerwonego dżipa na czterech nieprzebitych oponach.

Skrzywiła się, przypominając sobie także to, co powiedziała matce. I to, czego jej nie powiedziała. Prędzej czy później mama usłyszy, że Susan zwolniono z pracy. Na szczęście jeszcze nie zaczęły się plotki. Prawo zabraniało członkom rady ujawniania informacji o sprawach personelu, a ona powiedziała im, że planuje odwołanie się od decyzji. Wiedziała jednak, że w małym miasteczku taka tajemnica wkrótce zacznie się rozprzestrzeniać szybciej niż opryszczka w noc balu maturalnego.

- Tak, skłamałam, ale miałam powód. Wcale nie chcę utrudniać pracy wymiarowi sprawiedliwości. Próbuję tylko przyspieszyć jego działania. - Piekły ją oczy, źle widziała:

Zamrugła, żeby się nie rozpłakać. - Muszę odnaleźć swojego męża w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Wtedy rada szkoły będzie rozpatrywać moje odwołanie.

Pchnęła twardy dysk w jego stronę.

- Luke, pomóż mi, bardzo proszę. Nie ma czasu na grę według ich zasad.

I tak już stracę dom, bo Beecher skonfiskuje go za niespłacanie kredytu. Jeśli wyrzucą mnie z pracy, nie będzie mnie stać nawet na opłacanie czynszu za mieszkanie mamy.

Luke nie dotknął dysku.

- Zanieś go Hectorowi. On prowadzi śledztwo, nie my. Ale jeśli potrzebujesz pieniędzy ...

Tym razem to ona wstała i spojrzała na niego z góry.

- Nie potrzebuję twoich cholernych pieniędzy, Luke!

Potrzebuję ciebie!

## ROZDZIAŁ 2

W drodze powrotnej do domu Luke omal się nie zabił. Poniekąd z powodu Susan.

Powinien pamiętać, że choć w promieniach popołudniowego słońca pustynia wyglądała jak martwa, to jednak zwierzęta przeczekują upał w nielicznych cienistych kryjówkach, tych wysepkach w morzu gorąca.

Do wypadku doszło, gdy jego motocykl wypłoszył jakiegoś gryzonia z nory.

Luke zobaczył zwierzę, przebiegające przez drogę. Kiedy starał się je ominąć, w szybę motocykla coś uderzyło z hukiem, wyleciało w górę i walnęło w jego kask tak mocno, że głowa odskoczyła mu do tyłu ..

Zamroczony, próbował utrzymać się na swoim kawasaki.

Czuł, że traci panowanie nad pojazdem, który spod niego ucieka. Rama przesunęła się w lewą stronę. Na szczęście był doświadczonym motocyklistą. Jakimś cudem zdołał utrzymać pojazd w pionie, a potem zatrzymać się, wzbijając tumany kurzu.

Wokół niego opadały brązowe i białe pióra. Miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

- Cholera jasna - wykrztusił drżącym głosem, widząc bezwładny kształt kilka metrów od siebie.

Ptak, i to wielki. Wyglądał jak myszołów. Miał nienaturalnie wykrzywioną głowę, na pewno nie żył.

Luke spojrzał na pękniętą szybę motocykla. Jego oszołomiony od adrenaliny mózg gorączkowo szukał wyjaśnienia. Przypominając sobie podobne do szczura zwierzę, które przecięło mu drogę, stwierdził, że myszołów, siedzący na którymś z pobliskich jadłoszynów, na pewno dostrzegł ruch i zapikował w stronę potencjalnego posiłku.

Luke wyłączył silnik i zsiadł z motocykla. Nogi miał miękkie jak źdźbła trawy. Gdyby myszołów uderzył go w głowę od razu, nie rykoszetem, teraz to on leżałby martwy na drodze.

Dlaczego ptak zginął? Ponieważ w jednej, krytycznej chwili pozwolił, żeby głód odwrócił jego uwagę od większego niebezpieczeństwa. Tak jak on pozwolił sobie myśleć o Susan Dalton Maddox, zamiast uważać na drogę. Kopnął kamień i zaklął, zły, że nawet teraz miał przed oczami jej obraz, lśniący jak fatamorgana na horyzoncie. W jej niebieskich oczach zobaczył rozczarowanie. A potem odwróciła od niego twarz.

„Wyjdz, jeśli nie chcesz mi pomóc - powiedziała. - Idź już, nie będę więcej zaprzęcać twojej uwagi”.

Co do tego się pomyliła. Zaprzętała jego uwagę nieustannie, myślał o wielkim zaufaniu, jakie dostrzegł w jej oczach, gdy prosiła go o pomoc. Przypomniał sobie wyraz jej twarzy, gdy przekreślił jej nadzieje.

Widział już to spojrzenie, kiedy zawiódł ją pierwszy raz. I chociaż większość wspomnień ze szkoły średniej była jak długie, zamazane pasmo, to nie zatarło się w pamięci. Doskonale pamiętał tamten wieczór, gdy uwiódł ją tylko po to, by sobie udowodnić, że może ...

Zmusił się do przerwania smutnych rozmyślań. Postanowił wziąć się w garść.

Oddychając powoli i głęboko, pozwolił, by milczący krajobraz podziałał na niego swoją pradawną magią - był jeszcze starszy niż Indianie, którzy kiedyś nazywali to miejsce swoim domem.

Luke spojrzał w niebo. Daleko w górze, nad sterczącymi kaktusami Ocotillo, inny myszołów unosił się jak latawiec na wietrze. Ciemny ptak leciał w stronę odległych fioletowych wzgórz. Pozorna bezcelowość tego lotu była myląca. Gdy tylko Luke opuści to

miejsce, ptak powróci, żeby najeść się padliny .

Podmuch wiatru przyniósł kilka piór do stóp Luke'a. Mężczyzna pochylił się, wziął jedno i pogładził końcem palca.

Po chwili otworzył dłoń i pozwolił, żeby gorący wiatr uniósł pióro. Podskakiwało na piasku, aż stracił je z oczu wśród kolczastych opuncji.

- Miałem rację - oznajmił pustyni. - Postąpiłem słusznie, odmawiając jej. Warkot silnika zwrócił jego uwagę na drogę. Nad małą plamą czerwieni unosiła się chmura pyłu. Dżip Susan, pomyślał. Ona zaraz tu będzie.

Wolał ruszyć w drogę, żeby nie wyjaśniać jej, co się stało. Denerwował się zresztą, że mogłaby znów poruszyć temat twardego dysku.

Wsiadł na motocykl i pojechał łagodnym wzniesieniem w stronę zieleniących się wzgórz w pobliżu Clementine. Tym razem uważnie przyglądał się drodze.

Celowo przyspieszył, żeby zwiększyć odległość między sobą a szwagierką.

Zanim dojechał na ranczo, gdzie się wychował, miał tak wyschnięte usta, że mógł myśleć tylko o zimnym piwie. Zostawił motocykl w garażu i ruszył w stronę rozległego domu o burych ścianach, wyglądającego, jakby wyrósł z kamienistego podłoża. Za domem widać było duży wiatrak, górujący nad różnymi walącymi się budynkami, które niegdyś stanowiły centralny punkt farmy, gdzie hodowano bydło. W najbliższej otwartej stodole parskały dwa konie, mając nadzieję, że wcześniej dostaną obrok.

Luke zerknął na zegarek.

- Przykro mi, nie zachowujcie się jak żebracy. Jeszcze dwie godziny. Wszedł do domu tylnymi drzwiami i z wdzięcznością pomyślał o człowieku, który wymyślił klimatyzację. Spragniony, ruszył w stronę kuchni, ale zatrzymał się w pół kroku, słysząc cichy głos matki, rozmawiającej przez telefon.

Chyba obdarłaby go ze skóry, gdyby wszedł w zakurzonych buciorach na jej drewnianą podłogę. Opadając na stary fotel, żeby zdjąć buty, spojrzał na grubego czarnego psa, który merdając, uderzał ogonem w pralkę.

- Muszę się napić piwa - zaskrzeczał Luke. - Przynieś, Księżę. Przynieś! Niestety, rzeczywistość nie ma nic wspólnego ze znaną reklamą. Zamiast wypełnić polecenie, imiennik Johna Wayne'a tylko zamiótł ogonem podłogę pralni i ziewnął, szeroko otwierając pysk.

Luke nie mógł się za to gniewać na starego mieszańca labradora. Czując chłód płytek pod stopami, wyobrażał sobie, że bok pralki jest jeszcze przyjemniejszy w dotyku ..

W kuchni zastał matkę, siedzącą przy stole. Była odwrócona plecami do drzwi i, tak jak się spodziewał, trzymała przy uchu słuchawkę telefonu. Za oknem mignęło coś tęczowego: parka kolibrów walczyła o czerwone nasionka w karmiku. Bitwa stawała się coraz bardziej zażarta. Większa samica rzucała się na samca z karmazynową szyją za każdym razem, gdy ten podfruwiał za blisko.

Matka nie zwracała uwagi na tę potyczkę, zaprzątnięta rozmową. Wydawała się jeszcze drobniejsza niż zwykle, niemal krucha.

To dziwne wrażenie zaraz rozproszył chłodny ton jej głosu.

- Nie obchodzi mnie, co powiedzieli policjanci z Nowego Meksyku - powiedziała do słuchawki. - Przecież ni stąd, ni zowąd nie strzeliło mu do głowy, że ucieknie z pieniędzmi. To ta wstrętna Beecher zagięła na niego parol. Skłoniła go do tego postępowaniem. Teraz Brian rozumie, co nam zrobił, ale za bardzo się wstydy, żeby wrócić do domu.

Mówiąc, matka stuknęła palcem w kartki, rozłożone na blacie starego dębowego stołu. Były

to dokumenty, które zebrała dzięki agencji detektywistycznej i El Paso. Prywatny detektyw przewiózł ją samochodem i kazał sobie zapłacić fortunę za plik papierów, które Luke mógłby wydrukować z Internetu w ciągu paru godzin. Detektyw użył w nich terminologii, której każdy kretyn mógłby się nauczyć z odcinka Americas Most Wanted. W ten sposób ukrył fakt, że nie ma pojęcia, co stało się z Brianem. A jednak Virginia Maddox codziennie zgłębiała jego „znaleziska”, za każdym razem wyczytując coś więcej między wierszami.

Luke miał nadzieję, że rozmówca matki przypomniał jej, iż Jessica Beecher, ładna rudowłosa recepcjonistka, która trzy lata przepracowała w ich salonie samochodowym, nie zasługiwała na tytuł Mistrza Zbrodni. Tę spokojną kobietę, bardzo wierzącą katoliczkę, trudno było sobie wyobrazić w roli tej trzeciej. Luke przypuszczał, że przy Brianie przestawała myśleć o swoim cierpieniu. I żał mu było jej synka, który kiedyś zrozumie, że znaczył dla niej mniej niż pamięć o zmarłej córeczce.

Wyjął piwo z lodówki, celowo stukając w sąsiednie butelki, by matka usłyszała, że wrócił do domu. Nic jednak nie wskazywało, żeby zauważyła jego obecność.

- W takim razie to ta okropna Dalton - ciągnęła, nazywając Susan jej nazwiskiem panińskim. - Może ona ... myślę ... to możliwe, że zabiła Briana, a teraz zaciera ślady. Jest sprytna, pewnie gdzieś ukryła pieniądze. Na przykład na Karaibach.

Luke zakrzuszył się pierwszym łykiem piwa. Najwyraźniej jego matka po latach czytania kryminałów uważała się za pannę Marple z hrabstwa Ocotillo.

Słyszając ten dźwięk, drgnęła. Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Mamo - zaczął, odstawiając butelkę. - Musimy porozmawiać.

Jej usta ściągnęły się z irytacji.

- Wybacz, ale muszę kończyć, Hectorze - powiedziała do swojego rozmówcy. - Później do ciebie zadzwonię.

- Naprawdę doceniam twoją... - urwała na chwilę - dyskrecję. I na pewno nie zapomnę o niej później. Choćby nie wiem jaki doskonały gliniarz zapukał do moich drzwi.

Luke nie miał wątpliwości, że słowem „później” określiła czas wyborów, a doskonałym gliniarzem, o którym wspomniała, był Steven Myers. Pochodził z Dallas i starał się objąć stanowisko Hectora, zbierając poparcie wśród jeszcze niewielkiej, ale stale rosnącej grupy nowo przybyłych do hrabstwa. Nic dziwnego, że Susan nie mogła namówić szeryfa do jakiegokolwiek działania.

Matka odłożyła słuchawkę i spojrzała na niego znad wąskich okularów. Zsunęły się jej na koniec nosa i wyglądała jak surowa bibliotekarka albo drapieżny ptak.

Potarła kark i to wrażenie się rozwiało. Zobaczył jej szczupłe nadgarstki, lekko przygarbione ramiona, głębokie zmarszczki na piegowanej od słońca twarzy. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż nosiła dżinsy, niezmiennie granatowe i starannie wyprasowane, z kantem prostym jak linijka. Włosy farbowała na ten sam głęboki, kasztanowy kolor, który w młodości podkreślał jej urodę. Mimo to widać było po niej upływ czasu.

Postarzała się zwłaszcza po zniknięciu jego brata.

- Nie czuję dymu - powiedziała, przypominając swoją starą zasadę: Jeśli nie pali się dom, nie wolno jej przeszkadzać podczas „prowadzenia interesów” przez telefon.

Nie pozwolił, by potraktowała go jak szczeniaka. Za dużo usłyszał. - Próbujesz wywrzeć wpływ na śledztwo Hectora Abbotta?

- Wpływ? Nie wiem, o czym mówisz.

- O przekupstwie. Chyba że zatrudniłaś się w jego sztabie wyborczym.

Odpowiedzią na jego słowa był pozbawiony humoru uśmiech.

- Naprawdę, Luke, mówisz tak, jakbym była szefem mafii. A ja jestem tylko zatroskaną obywatelką. Przekazuję mu spostrzeżenia w sprawie zniknięcia mojego syna.

- Czy byłaś na tyle, zatroskana, żeby zadzwonić do członków rady szkoły w sprawie Susan? A może wydelegowałaś do tego stare znajome z KKP?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nie muszę odpowiadać na tak obelżywe pytania.

Na szczęście widział to spojrzenie tyle razy przedtem, że zdążył się uodpornić. Prawie.

- Oczywiście - zgodził się. - Pewnie nawet nie pamiętasz, kiedy ostatni raz ktoś cię do tego zmusił. Do odpowiedzi. Na jakiegokolwiek pytanie.

Matka odwróciła się od niego i ścisnęła czoło dłońmi, opierając łokcie na kuchennym stole. Na pewno się zastanawiała, dlaczego został jej nie ten syn, który powinien.

Na blat spadła kropla. Z początku nie zrozumiał. Tak dawno nie widział jej płaczącej.

Kiedy coś się zepsuło, naprawiał to. Na tym polegała jego praca. Automatycznie wyciągnął rękę, żeby pogłaskać matkę, ale jego dłoń znieruchomiała kilka centymetrów od ramienia Virginii. Szukał w pamięci podobnej sceny. Przecież musiała płakać po śmierci jego ojca i w pierwszych dniach po zniknięciu Briana, gdy się bali, że został zamordowany. Luke mógł sobie przypomnieć tylko upór i siłę, której wszyscy tak jej zazdrościli. Poczł ucisk w klatce piersiowej. Choć przyrzekł ojcu, że zawsze będzie opiekował się matką, to właśnie doprowadził ją do łez.

Położył dłoń na jej plecach tak delikatnie, jak pióra martwego jastrzębia opadły na drogę.

- Nie próbuję niczego kupić - powiedziała łagodniej, tonem, jakim czasami zwracała się do jego brata. - Wskazuję tylko, że...

- Wszystkim byłoby łatwiej - podsunął - gdyby Brian nigdy nie wrócił. Podniosła na niego wzrok. Jej zielone oczy, okolone ciemnymi, mokrymi rzęsami, miały dziwny wyraz.

- Myślisz, że nie chcę powrotu syna? - Jej wzrok powędrował do ściany, gdzie wisiało zdjęcie Briana. Ubrany w kostium kapitana szkolnej drużyny futbolowej, uśmiechał się pewnie. Jego jasnowłosa doskonałość kontrastowała z niedbałą powierzchownością Luke'a w latach młodzieńczego buntu. Powierzchnością, która nie dała Luke'owi miejsca na Ścianie Sławy Maddoksów.

Wisiało tam także zdjęcie taty. Luke spojrzał na wysokiego, uśmiechniętego mężczyznę, stojącego przy błyszczącym pikapie z lat pięćdziesiątych. To było pierwsze sprzedane przez ojca auto, wiele lat przed otwarciem salonu samochodowego. Tata miał włosy ostrzyżone w stylu lat pięćdziesiątych, którego trzymał się do samego końca. Luke odwrócił wzrok, czując nagły przypływ żalu.

Skupił się na słowach matki.

- Jak mogłeś powiedzieć coś takiego? - Wstała wojowniczo, jakby chciała podjąć rzucone wyzwanie.

- Taka jest prawda - odparł, opuszczając rękę. - Łatwiej ci wspominać Briana jako idealnego syna, a może nawet wyobrażać sobie, że został zamordowany, niż przyjąć do wiadomości, iż uwiódł cudzą żonę i ukradł pieniądze.

Z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wokół zaciśniętych ust pojawiła się siateczka zmarszczek.

- Znam twojego brata. Brian nikogo by nie okradł, zwłaszcza mnie.

- Przykro mi, mamó. Zrobił to - powiedział Luke cicho, jakby ktoś mógł go podsłuchać. -



Salon samochodowy taty przepadł właśnie z tego powodu.

Zamknęła oczy i ścisnęła oparcie krzesła.

- Tak ci się teraz wydaje, ale Brian nie mógłby ... ja bym się tak nie pomyliła. Jak mogła być tak zaślepiona? Zgrzytając zębami, przypomniał sobie, że wrócił do domu po to, by pomóc matce, a nie starać się ją zrozumieć. To jednak nie oznaczało, że miałby czekać z założonymi rękami, aż matka zrujnuje życie Susan.

- Wiem, że ci ciężko - powiedział. - Ale obwinianie Susan nic tu nie pomoże. Oboje wiemy, że nie zrobiła nic złego.

- Luke'u Hale'u Maddoksie, nie zwracaj się do mnie tym tonem: Nie dałabym złamanego grosza za niewinność kogokolwiek z Daltonów. Moralność jest dziedziczna. Dobrze o tym wiesz.

Oczywiście wspomniała dawny skandal z udziałem ojca Susan. Urząd Skarbowy odkrył, że od lat nie złożył zeznania podatkowego, i obciążył go tyłoma grzywami, iż pan Dalton musiał sprzedać swoje ranczo. George'owi Maddoksowi, ojcu Luke'a i Briana.

Salon samochodowy zajął miejsce, w którym stał dom rodziny Daltonów przed urodzeniem się ich drugiej córki, Susan. Salon ten rodzina Maddoksów, właśnie teraz utraciła.

Luke pomyślał, że może ten teren przynosi pecha. Kilka lat po jego sprzedaniu Frank Dalton zmarł na raka płuc, chociaż niektórzy do tej pory twierdzili, że z żalu pękło mu serce.

- Powiedz mi więc - zwrócił się do matki - czy na pewno chcesz, by osądzano cię według moralności Briana?

- Nie zrobił nic złego. Nic - upierała się. Strumyczek łez lśnił w świetle, padającym z okna.

- Mamo ... - Niezdarnie próbował ją objąć. Minęło tak dużo czasu, odkąd ostatni raz się przytulali, że nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

Cofnęła się, marszcząc nos.

- Jesteś brudny, Luke, i spocony jak stary koń. Następnym razem jedź do miasta cadillakiem albo tym gratem, którego tu ściągnąłeś. Przypuszczam, że już działa.

Westchnął. Oczywiście miała rację. Był brudny po całym popołudniu na motocyklu. Mimo to ...

- Poddaję się. - Pokręcił głową. - Idę się wykapać.

Nie zwróciła na niego uwagi. Już zagrzebała się w swoich papierach - rozpaczliwie szukając kogoś, na kogo mogłaby zrzucić winę.

Powinien się rozzłościć, ale ten widok wywoływał w nim tylko smutek. Było mu przykro, że musiał do kogoś zatelefonować i na zawsze przekreślić dumę swojej rodziny.

Gdy Susan zatrzymała się przy poczcie, nad górami na zachodzie zebrały się chmury. Zwykle podczas letnich burz spadało tu zaledwie kilka kropel deszczu. Pomyślała, że jest w złym nastroju i dlatego niebo wydaje się jej ciemniejsze. I że to na pewno złość i frustracja z powodu odmowy Luke'a przywołały wspomnienie grzmotu.

W domu, zbudowanym w stylu starej haciendy, Susan zrzuciła sandały i ruszyła boso po chłodnych płytkach w kolorze cegły. Zatrzymała się przy granitowym blacie, oddzielającym kuchnię od aneksu jadalnego, rzuciła listy na chwiejący się stos, który uzbierał się od zeszłego tygodnia, odkąd dowiedziała się o zwolnieniu z pracy. Po dzisiejszym spotkaniu z Lukiem czuła się tak, jakby w każdej chwili mogła ją pogrzebać lawina kopert - i kłopotów.

Do diabła z nim, ma trudny charakter, pomyślała. Niech nie myśli, że odmowa mnie zniechęci. Nieważne, co mówiłam. Przełamie jego opór i zmuszę go, żeby mi pomógł. Tu

przecież chodzi o przyszłość mamy i moją. Nawet niechętny sprzymierzeniec jest lepszy niż żaden.

- Susan Lorraine Dalton, słyszysz, co mówię?

Drgnęła.

- Przestraszyłaś mnie - powiedziała, zwracając się do matki.

- Chyba się zamyśliłam.

Szpakowate włosy wymykały się spod spinki na karku, a policzki były zapadnięte i blade. Matka Susan wyglądała tak, jakby od dłuższego czasu potrzebowała drzemki. Ale ogień, płonący w ciemnobrązowych oczach Maggie Dalton, ostrzegłby Susan o kłopotach, nawet gdyby matka nie użyła jej pełnego imienia i nazwiska. Oczywiście pomijając człon „Maddox”. Mama nigdy nie pochwałała małżeństwa Susan, nawet gdy związek wydawał się idealny. Nie przyszła na ślub. Przez kilka lat jej relacje z córką były bardzo napięte.

Do pierwszego poronienia, kiedy to Maggie natychmiast stała się matką, której potrzebowała Susan.

Obok mamy przy stole siedziały Agnes Hoffman i Roberta Culberson. Każda z kobiet miała przy łokciu szklankę lemoniady i trzymała w dłoni karty. Trzy przyjaciółki przypominały pastelową tęczę, ubrane w meksykańskie bawełniane sukienki z kolorowymi haftami, cudownie luźne, idealne na ten upalny dzień.

- Pamiętasz, jak się gra? - Susan uśmiechnęła się do matki i wskazała stosik kart, leżący na stole. Po wylewie Maggie wyleciała z głowy większość gier, choć wcześniej co tydzień spotykała się z przyjaciółkami na karty i lunch. Susan bardzo się ucieszyła, że wróciły do dawnego zwyczaju.

Zanim którakolwiek zdążyła odpowiedzieć, Susan uświadomiła sobie, że jej wejścia do domu nie zwiastowało drapanie pazurków na płytkach ani ujadanie kolejnego spadku po Brianie.

- Gdzie Peavy? - Obróciła głowę i rozejrzała się na wypadek, gdyby jej modlitwy zostały wysłuchane i piesek oniemiał. - Błagam, powiedz, że nie zostawiłaś tego szczekającego drania na zewnątrz.

Kiedyś chihuahua o długiej sierści skończy w żołądku jakiegoś drapieżnika.

Nie byłaby to wielka strata, ale Susan miała i tak dość kłopotów bez towarzystwa ochrony zwierząt na głowie. Poza tym uważała, że Peavy - skrót od Pancho Villa - był sympatycznym psiakiem, choć nie przyznałaby się do tego nawet na torturach.

- Ten łobuz szczyrzył zęby na Agnes - wyjaśniła mama. - Został... wyrzucony na podwórko ... niedawno temu.

Susan miała nadzieję, że wciąż tam był. Gdy dwa lata wcześniej powiedziała Brianowi, że chciałyby mieć psa, myślała raczej o owczarku niemieckim lub australijskim psie pasterskim, twardym towarzyszu, którego zabieraliby ze sobą na wycieczki. Tymczasem mąż zaskoczył ją kłębuszkiem sierści, który nie zapełniłby nawet żołądka ratlerka. Co gorsza, piesek był jak nieokiełznany żywioł - miał siłę plagi szarańczy lub lawiny błota.

- Wiem, że jest okropny, mamo, ale nie powinnaś go tam zostawiać bez opieki ... - zaczęła, ale Maggie zaraz jej przerwała.

- N - nie próbuj mnie .... rozproszyć, Susan. Pytałam, jak przebiegło spotkanie, twoje spotkanie z ... z ... - Zmarszczyła brwi, zakłęta i rzuciła karty. Susan zauważyła, że choć mama często miała kłopoty z przypomnieniem sobie właściwego słowa, przeklinanie przychodziło jej z łatwością.

- Szeryfem - wypowiedziała w końcu Agnes. Trzymała karty blisko swoich opadających piersi rozmiaru DO, jakby obawiała się remikowego szpiegostwa. - Chce wiedzieć, czy spotkałaś się z szeryfem.

Roberta, siedząca obok Agnes, wachlowała zarumienioną twarz kartami.

Wydawała się zaniepokojona. Susan starała się - bez skutku - nawiązać kontakt wzrokowy z emerytowaną urzędniczką poczty. Ponieważ Roberta unikała konfrontacji, Susan doszła do wniosku, że ktoś musiał powiedzieć mamie, gdzie naprawdę się wybrała.

Natomiast Agnes była bardzo podekscytowana, a to nie wróżyło nic dobrego, bo od obserwowania kłótni jeszcze bardziej lubiła ich wywoływanie.

- Nie pojechałam do szeryfa - wyznała Susan. - Miałam inne sprawy do załatwienia i...

- Hector tu wpadł. - Matka z groźną miną położyła dłoń na balkoniku, stojącym tuż obok. Był to sygnał, że zaraz opuści pomieszczenie.

- Chyba nic mu nie powiedziałaś? - zapytała Susan, nie mając odwagi wspomnieć o twardym dysku. Łudziła się, że matka jeszcze nie omówiła tej sprawy z Agnes i Robertą.

Wiedziała jednak, że nie było to możliwe. Żadna z przyjaciółek nie kryła nic przed pozostałymi, odkąd poznały się w drugiej klasie.

Susan nie ganiła przyjaciółki swojej matki; przeciwnie, uważała Agnes i Robertę za honorowe ciotki. Mimo to przeklinała się w myślach za to, że wczoraj podzieliła się z mamą swoim odkryciem. Nawet gdyby Maggie nie omawiała z przyjaciółkami wszystkich aspektów jej życia, to przecież powinna myśleć przede wszystkim o sobie, o tym żeby wyzdrowieć, a nie o problemach córki.

- Wolałabym, żeby szeryf Abbott nie dowiedział się o tym od kogoś innego - dodała.

- Nie powiedziałyśmy ani słowa - zdążyła zapewnić Roberta, zanim matka Susan straciła panowanie nad sobą.

- Ty zawsze wszystko ukrywasz! - oskarżyła Maggie córkę. - Na przykład fakt, że straciłaś ... swoje ...

Ściągnęła usta, jakby chciała zakłąć. Agnes weszła jej w słowo.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że cię zwalniają?

Z ledwo słyszalnym jękiem Susan opadła na jedyny taboret niezajęty pudełkami ze sprzętem kuchennym. Stopy oparła na pudle z napisem BLENDER. Przez ostatnie tygodnie pakowała się po trochu, żeby nie robić wszystkiego w ostatniej chwili, gdy zapadnie decyzja o konfiskacie domu przez bank.

- Szeryf Abbott przyjechał tu, żeby ci to powiedzieć? - Susan domyślała się, skąd wiedział. Sekretarka dyrektora, jedna z największych plotkarek w całym hrabstwie, miała siostrę, która pracowała w centrali policji.

- Tak - potwierdziła matka. - Hec ... Hector jest bardzo porządnym człowiekiem. Chciał zapytać, czy ty ... czy obie jakoś się trzymamy.

Agnes i Roberta wymieniły znaczące spojrzenia i uśmiechy.

Od lat były przekonane, że Hector Abbott kochał się w Maggie. Gdy po śmierci ojca Susan, Maggie pracowała jako kelnerka, owdowiały szeryf był jej najwierniejszym klientem.

Maggie zawsze śmiała się z ich podejrzeń. Mówiła, że nigdy nie zainteresowałby jej facet, który nie potrafi obliczyć piętnastu procent od śniadania za cztery dolary. Mimo to Susan wiedziała, jak bardzo mama lubiła tego staruszka.

Niestety, szeryf nie potrafił zachować plotek dla siebie.

Susan próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby uspokoić mamę.

- Nie zostałam zwolniona - zaczęła. - To raczej urlop.

Agnes prychnęła, Roberta popatrzyła współczująco, a mama ... Jej spojrzenie sprawiło, że Susan nie mogła dalej kłamać.

- W porządku - przyznała. - Na razie sprawa wygląda źle, ale za dwa tygodnie złożę odwołanie. Do tego czasu zdążę to załatwić.

- Co załatwić? - zapytała matka. - I jak?

- Wszystko - odparła Susan. - Wszystko załatwię. Jeśli tylko mi pomożecie, a przede wszystkim zatrzymacie dla siebie wszystko, co tu mówimy.

Patrząc na siwe głowy staruszek, wymyśliła możliwe rozwiązanie, choć szansa powodzenia była znikoma.

Podniesiona na duchu, wzięła sandały i wyszła na podwórko po Peavy'ego.

Pod szeroko rozpostartymi chmurami czerwień na zachodnim niebie wyglądała jak krew. Ale choć słońce już skryło się za wzgórzami za Clementine, nagrzana ziemia wciąż promieniowała ciepłem.

Klnąc pod nosem, obserwator opuścił lornetkę i otarł pot z czoła. Za dużo ludzi w jej domu: siwe babcie grają w karty przy kuchennym stole i pewnie gadają o sprawach innych ludzi, jak to staruszki.

Rozprawiałyby i o nim, gdyby zobaczyły go przykucniętego obok jałowca, częściowo ukrytego za wielką agawą. Na pewno wezwałyby szeryfa. Gdyby został aresztowany ... nie. Nawet nie chciał o tym myśleć.

Jeszcze raz skierował lornetkę w stronę przesuwanych szklanych drzwi kuchennych.

- Czas do domu - szepnęła. - Wsiadajcie w tego wielkiego chryslera i jazda! Przecież niedługo zapadnie zmrok, a starsze osoby nie powinny prowadzić nocą. Wszystko może się zdarzyć.

Ponieważ nie wychodziły, zrozumiał, że to on będzie musiał sobie pójść.

Nagle jedna z kobiet wyrzuciła na dwór tego kudłatego psiaka - jej psiaka. . Pies zszedł z ganku i zaczął biegać po nieogrodzonym podwórku, z nosem przy ziemi. Jego mały mózdek nie wykrył obecności człowieka. Ale obserwator przypomniał sobie tamtą noc podczas ostatniego weekendu. Wiedział, że jeśli spróbuje coś zrobić, zwierzak będzie szczekał bez opamiętania.

Pies zaczął węszyć, jakby czegoś szukał, coraz bardziej oddalając się od ganku - i zbliżając do ukrytego obserwatora, który poczuł, jak w żyłach krzepnie mu krew. Zamarł, jak zawsze wtedy, gdy czas zwalniał i działy się rzeczy, o których później nie chciał nawet myśleć.

Zdejmując lornetkę z szyi, patrzył na swoje dłonie, które robiły pętlę z rzemyka - długiego i cienkiego, na tyle mocnego, że powstrzymałby małego psa od szczekania. A nawet od oddychania.

Pies był coraz bliżej ... prawie tak blisko, że obserwator mógłby złapać go za sierść i ...

- Peavy.

Głowa obserwatora podskoczyła, gdy usłyszał głos, ten sam, który tak często dźwięczał w jego snach. Jego ciało zareagowało, jak pies Pawłowa.

To był jej głos. Wołała to przekłete zwierzę - i, o Boże! - szła teraz prosto na niego.

Bezwiednie zaczął naciągać skórzany rzemyk, jakby chciał sprawdzić, czy nadaje się do jeszcze bardziej złowrogiemu celowi. Umysł pracował wolno, otępiały od kryształków lodu, które serce z trudem pompowało ... a jednak każdy mięsień był napięty jak cięciwa łuku.

W oddali zagrzmiało. Wszystko skończyło się w mgnieniu oka.

Pies podbiegł do kobiety, a obserwator patrzył na zarys jej nagich nóg, gdy pochyliła się, żeby podnieść zwierzątko. Nie słyszał, co mówiła, ale zdołała uspokoić psa i śmiała się, gdy próbował polizać ją po twarzy.

Szczęściarz z tego psa: trzymała go między piersiami. Nie mówiąc o tym, że w porę go uratowała.

Patrzył, jak weszła do środka. Obserwował delikatne kołysanie się jej bioder i rozpuszczone włosy, podskakujące na ramionach. Dziwne, że kobiecość objawiała się w jej ruchach. Chodząc, wyzybywała się wszelkich zahamowań.

Ziemia była już dość chłodna, gdy przeszedł między agawą a kępą kłujących opuncji, poruszając się wolno i ostrożnie. Nie mógł zostawić na cierniach strzępka ubrania ani tym bardziej włosa czy kropli krwi.

Jego umysł precyzyjnie zapisywał każdy krok i każdą ewentualną przeszkodę, która mogłaby mu zawadzać, gdy tu wróci. Bo następnym razem nie pomoże mu światło dnia .

Następnym razem będzie musiał wystarczyć blady blask księżyc.

## ROZDZIAŁ 3

Stosik listów zachwiał się, gdy Susan trąciła go łokciem. Zanim zdążyła odłożyć nóż, którym kroić paprykę, kilka kopert spadło na ziemię.

- Kurczę - mruknęła, biorąc ręcznik, żeby wytrzeć ręce. Już spóźniła się z kolacją. Agnes i Roberta rozmawiały trochę za długo, próbując rozwiązać jej życiowe problemy jak krzyżówkę.

Przyklękła, żeby posprzątać, i zauważyła kopertę z okienkiem oraz czerwoną pieczętką: FAKTURA. Podniosła ją i spojrzała na adres zwrotny: MAGAZYNY U - STORE - ALL.

Zmarszczyła brwi. Niedobrze, że dostała fakturę, na której zapłacenie nie było jej stać. W dodatku przecież nigdy nie wynajmowała żadnego magazynu. A nawet gdyby chciała, to z pewnością nie wybrałaby magazynu w Rocky Rim, przy wiejskiej drodze na wzgórzu, gdzie rzędem stały domy z pustaków, kiedyś zbudowane przez rząd dla biednych, ale teraz z niewyjaśnionych przyczyn opuszczone. Ostatni raz, gdy tam pojechała - żeby sprawdzić, co się dzieje z Jimmym Archerem, jednym z włóczęgów, którzy trafili do jej klubu ekologicznego - domy były w większości puste, nie licząc garstki dzikich lokatorów, mieszkających w opłakanych warunkach. Kiedy wspomniała o swojej wycieczce Brianowi, bardzo się rozżłościł.

- Niech biuro szeryfa i opieka społeczna szukają małych przestępców w tej dziurze! - powiedział. - W takim miejscu samotną kobietę może spotkać najgorsze. Nawet ja bym tam nigdy nie poszedł.

Dlatego właśnie, widząc nad adresem nazwisko Briana, zdziwiła się jeszcze bardziej.

Zerknęła do pokoju, gdzie jej mama wykrzykiwała odpowiedzi na pytania z teleturnieju, a Peavy zachęcająco poszcze kiwał. Susan rozcięła kopertę nożem, ciesząc się, że nie podsunie matce nowego smakowitego kąska do omawiania z przyjaciółkami.

Faktura była wydrukowana na starej drukarce igłowej, Susan musiała więc zmrużyć oczy, żeby ją przeczytać. Z pisma wynikało, że pomieszczenie o wymiarach trzy metry na trzy zostało wynajęte niemal rok temu - cztery miesiące przed zniknięciem jej męża.

Zagryzła dolną wargę, przypominając sobie, że mniej więcej wtedy próbował ją odwieść od wizyt w Rocky Rim.

- Co ukrywałeś, ty obrzydliwy draniu? - warknęła, szukając na fakturze numeru telefonu.

Nie znalazła nic. Zapominając o kolacji, pobiegła do swojej sypialni i z górnej szuflady nocnej szafki wyjęła książkę telefoniczną. Nie znalazła tej firmy ani na białych stronach, ani na żółtych.

Klnąc pod nosem, wsunęła złożoną fakturę do torebki. Jutro rano pojedzie do Rocky Rim, żeby sprawdzić, co tam jest.

I nie będzie potrzebowała pomocy Luke'a - ani żadnego innego mężczyzny - żeby wejść do środka.

- Powinnaś coś zjeść. - Dwa głosy odezwały się jednocześnie. Matka i córka skierowały ten rozkaz do siebie nawzajem.

Susan się zaśmiała. Poczowała ulgę, widząc uśmiech na twarzy matki, siedzącej po przeciwnej stronie stołu. Za przesuwanymi drzwiami, prowadzącymi na taras, zza welonu chmur wyglądał księżyc, rzucając światło na ich jedzenie.

- Jesteśmy niezłe! - powiedziała Susan. - Dokuczamy sobie w stereo. Coś ci powiem: kiedy obie zjemy całą kolację, skoczę po koktajle mleczne do Swensona.

W oczach Maggie zaśniono zainteresowanie.

- Czekoladowe?

- Są jakieś inne? - zapytała Susan, dla dobra matki udając entuzjizm.

Zerknęła na kolorową sałatkę na swoim talerzu.

Przypomniała sobie, jak smakowała jej prosta kombinacja sałaty i ogórka, żółtej papryki i czerwonych pomidorów z posiekaną pierśią z kurczaka. Pomyślała o tym, jak lubiła mieszać warzywa z sosem winegret. Zapomniała jednak - znowu - jak się je. Po ucieczce Briana podobne zapomnienie kosztowało ją dwa i pół kilograma o których zrzuconiu zawsze marzyła - oraz jeszcze siedem i pół, aż przestała rozpoznawać chudą kobietę w lustrze. W ciągu ostatnich miesięcy przytyła na tyle, żeby nie wyglądać jak dziecko na plakacie apelującym o pomoc dla głodujących, ale z powodu nowych zmartwień znów straciła apetyt.

Matka zaczęła jeść, choć wydawała jej się zbyt zmęczona, żeby podnieść widelec. Susan poszła za jej przykładem, nabierając jeszcze ciepły kawałek kurczaka. W końcu jakby się ocknęła: gdy poczuła zapach sałatki, zaburczało jej w brzuchu. Zignorowała więc żebrzącego psa i włożyła kawałek mięsa do ust.

Gdy zjadły połowę sałatki, odezwała się mama.

- Wczoraj dzwoniła Carol. Mówiła, że powinnam do niej przyjechać na stałe. Uważa, że jestem dla ciebie za dużym ciężarem. Tak to ujęła.

Susan kochała siostrę, ale czasami miała ochotę jej przyłożyć. Carol znała się na rynku nieruchomości w Oakland, lecz nie miała pojęcia o takcie.

- Mamo, nie jesteś cię ...

Maggie machnęła ręką, nie pozwalając jej skończyć.

- Powiedziałam, że jestem prze ... prze ... pewna, że tak nie myślisz. Ale może Carol ma trochę racji. Teraz, kiedy tak martwią cię kłopoty z pracą, chyba powinnam do niej jechać, przynajmniej na jakiś ...

- Potrzebuję cię bardziej niż ty mnie. - To była prawda. Nie tylko dlatego, że gdyby nie mama, Susan na pewno nic by nie gotowała.

Oczy Maggie rozbłyły radością. Staruszka na chwilę odmłodziła o kilka lat. Wystarczyło jej przypomnieć, że oprócz tego, iż jest pacjentką po wylewie, ma do odegrania jeszcze inną rolę.

- Powiedziałam twojej siostrze, że ... ta rodzina jest złożona ... z twardzieli oznajmiła mama Susan, prostując się na krześle. - Udało nam się przetrwać bardzo ciężkie czasy.

- Tak, dzięki tobie.

- Ja ... wiem, że nie będzie łatwo. Nigdy nie jest. - Matka zmarszczyła brwi.

- Czasami się zastanawiałam, jak to wytrzymałam.

Susan ścisnęło w gardle na wspomnienie wielu lat, które samotnie przepracowała jej mama, żeby utrzymać córki. Nigdy nie skarżyła się na nadgodziny w restauracji. To matka nauczyła Susan, że uczciwa praca jest powodem do dumy - i że kelnerki oraz gosposie mają prawo nosić głowę wysoko jak królowe.

„Wyżej niż pewna królowa, którą znam” - dodawała Maggie, puszczając oczko. Młodsza córka podziwiała matkę, która nie tylko znała królową, ale i odmawiała kłaniania się jej.

Ta myśl przywołała inne wspomnienie: pewnego dnia Susan zobaczyła, jak matka płacze. Gdy spytała o powód, mama w końcu wyznała, że gdy podeszła do stolika starej znajomej, by ją obsłużyć, ta odnosiła się do niej jak do obcej osoby. Susan od lat nie myślała o tym incydencie.

- Czy to była Virginia Maddox? - zapytała teraz.

- Była ... kto?  
- Czy to ona zlekceważyła cię tamtego dnia w restauracji? To z jej powodu płakałaś?  
- Kto inny mógłby być królową hrabstwa Ocotillo?  
- Masz na myśli... kiedy miałaś ... ile lat? Może sześć? - Matka z uśmiechem dotknęła skroni. - A lekarz mówi, że to ja jestem chora. Skąd ci to przyszło do głowy?

Susan wzruszyła ramionami i zjadła jeszcze trochę sałatki.

Była smaczna.

- Tak się tylko zastanawiam.

Matka machnęła ręką.

- Ta kobieta nie jest warta ... niewarta ... - Zmarszczyła brwi i ściągnęła usta, ale zaraz się rozpogodziła. - Zachodu, to jest to słowo. Nie warto się nią przejmować. Widzisz? Już mi lepiej.

- Niedługo dojdiesz do celu - zgodziła się Susan, chociaż Roberta przed wyjściem powiedziała jej w sekrecie, że podczas gry w remika Maggie wykladała całkowicie losowe sekwencje kart. Przyjaciółka matki zasugerowała też, by Susan wyciągała kurki z kuchenki gazowej zawsze, gdy będzie chciała się wykapać lub wyjechać po sprawunki.

„Tuż po twoim wyjściu oznajmiła, że zaparzy herbatę - szepnęła Roberta. Po chwili usłyszałyśmy pykanie kuchenki, a potem szu ... ! Płomień strzelił wysoko, cud, że nie osmalił jej brwi. Agnes omal nie wyskoczyła z majtek, mówię ci!”

- Niedługo - ciągnęła matka Susan - wrócę do pracy i zajmę się nami ... jak kiedyś.

Susan musiała odwrócić wzrok, żeby ukryć łzy. Czy Maggie zapomniała, że restaurację zamknięto kilka lat po jej przejściu na emeryturę, gdy zmarł właściciel, Ernie Palmer? I czy naprawdę spodziewała się znaleźć inną pracę jakąkolwiek - w takim stanie zdrowia?

Zanim Susan zdążyła się zastanowić nad odpowiedzią, zadzwonił telefon.

Jeśli to Carol, pomyślała, ochrzanię ją za to, że nagadała mamie o „ciężarze”.

- Pani Maddox? - Głos dzwoniącego drżał, ale rozpoznała go bez trudu.

- Marcus? - zapytała, zaskoczona, że telefonuje do niej członek klubu ekologicznego. Marcus Bingham nie był najlepszym uczniem. Teraz wydawał się niepokojąco ponury jak na dzieciaka, który zawsze wymyślał niezwykle wymówki, gdy opuszczał testy, oraz podejmował zuchwałe próby ściągania na egzaminach. - Czy coś się stało?

- Nie. Tylko ... kilku z nas, z klubu ... słyszeliśmy ... że podobno w przyszłym miesiącu nie wróci pani do szkoły. Ja, Jimmy i inni zastanawiamy się, czy ... no, wie pani ... czy możemy jakoś pomóc.

Susan zrobiło się słabo na myśl, że wszyscy już się dowiedzieli. Poczta elektroniczna działa wolno jak żółw w porównaniu z plotkami rozprzestrzeniającymi się w hrabstwie Ocotillo.

- Zaszło drobne nieporozumienie - powiedziała chłopcu. - Nie martw się. Wkrótce załatwię tę sprawę. Za nic w świecie nie odeszłabym z pracy, gdy wy będziecie w czwartej klasie. Założyłam się z kimś, że skończysz szkołę.

Zaśmiał się.

- Dobrze; że nie okazała się pani na tyle naiwna, żeby postawić na Jimmy'ego.

Susan nie było do śmiechu. Wciąż miała w pamięci miejsce, gdzie mieszkał chłopak. Ponure ściany z pustaków, okna z powybijanymi szybami, zaklejone taśmą i wypłowiałymi gazetami, przewody elektryczne, pociągnięte od najbliższej linii wysokiego napięcia i więcej much niż w oborze. Chociaż dużo widziała w ciągu dziesięciu lat nauczania w publicznej



szkole średniej, nie mogła zapomnieć ojca Jimmy'ego, pijaka śmierzącego moczem, starym piwem i milionem papierosów, który tylko wzruszył ramionami, gdy powiedziała, że jego syn marnuje swoje możliwości. Zamknął jej drzwi przed nosem, bo zobaczył, że jej wzrok padł na kolekcję lśniących kołpaków samochodowych - prawdopodobnie ukradzionych - opartych o ścianę jak trofea. Może ojciec Jimmy'ego nimi handlował, oczywiście nielegalnie.

Tego samego dnia zadzwoniła w sprawie Jimmy'ego do Służby Ochrony Dzieci, ale instytucja nie zrobiła nic dobrego.

- Przekaż Jimmy'emu, że jest bystry. Mam nadzieję, że pomoże ci zdać.

- Powiem mu, kiedy go zobaczę - odparł Marcus, wyraźnie ubawiony. - I, pani Maddox ...

- Słucham.

- Gdyby pani chciała komuś złamać rękę albo coś takiego, proszę nam dać znać.

Roześmiała się, chociaż miała wrażenie, że propozycja Marcusa i jego kolegów łobuzów była całkiem poważna. Mimo to wzruszyło ją ich oddanie. Cieszyła się, że chociaż oni w Clementine stanęli po jej stronie - sprawiający problemy chłopcy, których nie znosili jej koledzy nauczyciele.

Gdy usiadła przy stole, matka podniosła wzrok znad talerza.

- O co chodziło?

Susan zjadła jeszcze trochę sałatki. Nie chciała mówić mamie, że całe miasto już się dowiedziało o zamiarach zwolnienia jej z pracy. Słyszac odgłos zamykanych drzwi samochodu, dobiegający sprzed domu, poczuła wielką ulgę. - Przepraszam, że wciąż wstaję - powiedziała - ale chyba ktoś przyjechał.

Ledwo zdążyła otrzeć usta, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Pobiegła do drzwi na wyścigi z histerycznie szczekającym psem. Kiedy wyjrzała przez wizjer, poczucie ulgi zniknęło.

Na progu stał uśmiechnięty mężczyzna. Hal Beecher dobiegał czterdziestki, ale wyglądał chłopięco pomimo przerzedzonych jasnoblond włosów i stroju jak z klubu country: kosztownej koszulki golfowej i spodni w kolorze khaki.

O cholera, pomyślała. Dlaczego nie mógł przyjść jakiś miły świadek Jehowy, handlarz sprzedający odkurzacze albo ktokolwiek inny, byle nie Hal z nakazem eksmisji?

Podnosząc Peavy'ego i otwierając drzwi, Susan klęła filozofię męża, sprowadzającą się do słów: „Kupuj na miejscu”.

Z powodu tej zasady hipoteka ich domu znalazła się w rękach bankiera. Brian, zwolennik kupowania na miejscu, powinien przynajmniej uwodzić cudze żony poza miastem.

Tym razem nie wyobraziła sobie szpilki. W myślach łamała laleczkę Briana kołem.

- Cześć, Susan - powiedział Hal niepewnym, może nawet zdenerwowanym tonem.

Jeśli naprawdę przyszedł z tymi dokumentami, to miał powody do niepokoju. Chociaż nie wybrała sobie tego domu, przeżyła w nim sześć lat. Zdążyła pokochać świetliki w dachu i wzgórze za wielkimi oknami, meksykańskie płytki i ładną małą fontannę w pustynnym ogrodzie. Gdyby to mogło pomóc, zamknęłyby się z mamą w domu jak Butch i Sundance przed ostatecznym starciem.

- Cześć, Hal - wykrztusiła, chociaż jak zwykle nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Z powodu hipoteki i sprawy ich małżonków w jego towarzystwie czuła się dziwnie.

Uniósł palcem jej podbródek.

- Głowa do góry, Suz. Musimy być silni.

Peavy warknął. Uciszyła go, chociaż była wdzięczna, że wyraził jej uczucia.

Nienawidziła, gdy Hal nazywał ją Suz.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna wrzucić warczącego psiaka za pasek spodni Hala. Wybrała bardziej cywilizowane rozwiązanie: odsunęła się na bok i wskazała ręką duży pokój.

- Wejdz, Hal - zaprosiła, postanawiając zachowywać się jak dorosła. - Usiądź, proszę. Właśnie skończyliśmy kolację.

Poprowadziła go obok rzędu wiszących na ścianie czarno - białych fotografii przedstawiających mieszkańców pustyni. Na zdjęciach jej autorstwa były: idąca tarantula, z wyraźnie widocznymi włoskami, zając na cienkich nogach, ogryzający korę z drzewa. Na ulubionej fotografii Susan samica kojota prowadziła sześć szczeniaków na tle porannego nieba: Dziwne, pomyślała Susan, że One dobrze wiedzą, po co żyją, podczas gdy ja wciąż mam jakieś wątpliwości.

Kątem oka zobaczyła, jak matka, opierając się na balkoniku, próbuje przenieść do kuchni miseczki po sałatce. Odwróciła głowę.

- Nie waż się zmywać - zawołała. - Pamiętaj, że dziś moja kolej.

Zawsze była jej kolej, ale mama nigdy się nie zorientowała, że coś jest nie tak - albo przynajmniej udawała.

Maggie odstawiła miski.

- Dobry wieczór, panie Beecher. Przepraszam, ale już pójdę. Jestem trochę zmęczona.

Nigdy nie opuszczała towarzystwa i nawet dzikie konie nie wyciągnęłyby jej z salonu. Gdyby zachowywała się tak, jak zwykle, chciałyby się dowiedzieć, co sprowadza Hala. Susan zerknęła na nią z obawą, ale uspokoiła się, gdy matka, idąc do swojej sypialni, wzięła gazetę z programem telewizyjnym.

Wszystko stało się jasne. W ośrodku rehabilitacyjnym matka polubiła idiotyczne reality shows. Wizyta Hala przynajmniej uratowała Susan od oglądania przymilnego, czystośniętego prowadzącego, który dręczył wygłodzonych zawodników w dżungli.

- Proszę wypocząć, pani Maggie - zawołał Hal, ale jego uśmiech znikł tak szybko, że Susan nie była pewna, czy w ogóle go widziała. Patrząc na smutną twarz mężczyzny, zastanawiała się, czy nie była w błędzie co do przyczyny, dla której tu przyszedł. Może chciał jej powiedzieć coś nowego, czego dowiedział się o Jessice i Brianie?

Miała nadzieję, że znaleziono ich w jakimś okropnym meksykańskim więzieniu albo, jeszcze lepiej, w tureckim. Zatrzymała tę myśl dla siebie, podejrzewając, że gdyby żona Hala teraz weszła do pokoju, on rzuciłby się na kolana i błagał o wybaczenie za to, że swoim postępowaniem na pewno skłonił ją do odejścia. A gdyby otrzymał wiadomość o aresztowaniu Jessiki, wysłałby jej do więzienia paczki.

Susan uważała oddanie Hala za idiotyczne - w końcu Jessica zostawiła nie tylko jego, ale i dziecko - lecz zgodnie z plotkami, które usłyszała od matki, większość kobiet w Clementine bardzo interesowała się Halem z powodu jego smutku. A może raczej dlatego, że miał miłą powierzchowność, sporo pieniędzy i, co najważniejsze, był dostępny.

- Co cię sprowadza? - zapytała, zatrzymując się przed skórzaną sofą w kolorze karmelowym. Gdy się zawahał, odgadła: - Konfiskata domu albo ...

Chciała dodać: „albo coś nowego w śledztwie”, ale w ostatniej chwili stchórzyła.

- A może postanowiłeś przyjąć moją propozycję i zamiast domu weźmiesz Peavy'ego?

Piesek jak na komendę wyszczerzył zęby.

Hal spojrział na nią, poważnie marszcząc czoło.

- Chyba nie skorzystam z tej propozycji - powiedział. - Ale rzeczywiście chodzi o dom.

Susan usiadła i przycisnęła palce wolnej dłoni do czoła, czując narastający ból. Tak bardzo nie chciała o tym teraz myśleć. Starając się za wszelką cenę odsunąć to, co nieuniknione, zmieniła temat i zapytała o jego czteroletniego syna.

- Jak się ma Robby?

Na twarzy Hala malowała się teraz rozpacz. Wydawał się jej teraz bardziej nieszczęśliwy niż kiedykolwiek przedtem. Pierwszy raz Susan dostrzegła to, co musiały widzieć inne kobiety. Tragedia sprawiła, że Hal stał się bardziej atrakcyjny - podczas gdy ona była drażliwa i z każdej strony spodziewała się ataku.

Ale chyba lepiej jest się gniewać niż budzić litość ... prawda?

Hal podciągnął nogawki i usiadł blisko niej.

- Jakiś czas spędzi u mojej siostry. Może się tam bawić z kuzynami, wydaje się znacznie weselszy. Bardzo za nim tęsknię, ale ... w domu ma koszmarne sny. Woła matkę, a ja nie wiem, co powiedzieć.

Chociaż jeszcze przed chwilą Susan chciała się odsunąć na koniec sofy, teraz szczerze współczuła Halowi. Co ona powiedziałaaby dziecku, gdyby je miała? Przecież nie mówiłaby: „Cicho, kochanie. Mamusia wyobraża sobie, że tatuś piecze się na rożnie” .. Ponieważ, niezależnie od wszystkiego, Brian nadal byłby tatusiem, a ona zachowałaby się naprawdę podle, niszcząc wyobrażenie dziecka o nim.

Peavy szamotał się w jej rękach, wypuściła go więc. Na szczęście pobiegł w stronę sypialni mamy, zamiast wbić ostre zęby w nogę Hala.

Bankier zerknął na nią. W jego niebieskich oczach widziała błaganie o zrozumienie.

- Czasami, kiedy wracam z pracy, słyszę, a raczej wydaje mi się, że słyszę ich śmiech. Robby'ego i ... Alyssy.

Susan nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wymówił imię zmarłej córki. Poczuli się bardzo niezręcznie i pomyślała, że konfiskata domu byłaby jednak bezpieczniejszym tematem.

Uśmiech Hala wydawał się smutny i nieobecny.

- Wyobrażam sobie także, że Jessica jest w domu - ciągnął. - Śpiewa w kuchni, gotując, tak jak kiedyś, zanim straciliśmy Aylsę.

Susan poklepała go po dłoni. Nic dziwnego, że biedaczek się rozklejał. Ona przynajmniej miała tu swoją mamę. Jak utrzymałaby równowagę psychiczną, gdyby musiała żyć ze wspomnieniem zaginionej i zmarłej?

Ucisnął jej dłoń. Zorientowała się, że w końcu zdjął obrączkę. Susan wyrzuciła swoją z tylnego tarasu w dniu, gdy usłyszała, że Briana widziano z Jessicą. Wspomnienie było świeże i nadal sprawiało jej ból. Mogła sprzedać obrączkę z diamentami, żeby zapłacić część rachunków. Wmawiała sobie, że to był jedyny powód, dla którego jeszcze o niej myślała.

- Przyjaciele, rodzina i pastor są cudowni - powiedział Hal - ale czasami myślę, że tylko ty możesz mnie naprawdę zrozumieć. Ty ... my ... ponieśliśmy taką samą stratę.

Głaskał jej kłykcie, zdobywając się na uśmiech.

- Chcę ci pomóc, Susan, w spłacie rat za dom. Wyrwała dłoń, bardziej odruchowo niż świadomie. - Nie możesz - powiedziała, kręcąc głową.

- Mogę, i, co więcej, chcę. - Patrzył na nią ciepło i z troską. - Jesteśmy w takiej samej sytuacji, Susan, dokładnie w takiej samej. Nie rozumiesz? Musimy trzymać się razem.

Coś nowego zamigotało w jego oczach, na widok czego Susan dostała gęsiej skórki. Prosił ją nie tylko o współczucie - albo przynajmniej tak mu się wydawało. Susan bardzo się

zdziwiła. Przecież była taka pewna, że nadal kochał Jessicę.

Poczuła mdłości, uświadamiając sobie, że ta propozycja jest zapowiedzią zobowiązania. Ktoś taki jak Hal nie nakłaniałby jej do seksu ani nie żądałby, żeby została zastępczą matką dla jego dziecka, ale była pewna, że z czasem, powoli, zacisnęłaby się wokół niej pętla. Wystarczyło, żeby powiedziała: „tak”.

- Powiedz „tak”, Susan. Pozwól, żebym to dla ciebie zrobił. - Wskazał ręką pudła, które postawiła w rogu. - Ty i twoja matka nie możecie się wyprowadzić. Nie po tym, co przeszłyście.

Ból, którego się spodziewała, teraz ogarnął ją wraz z falą irytacji. Co takiego jest w mężczyznach, że nie zwracają uwagi na tłum zainteresowanych kobiet i przyczepiają się do tej jednej, która wolałaby, żeby zostawiono ją w spokoju?

Energicznie pokręciła głową.

- Nawet gdybyś mi teraz pomógł, nie miałyby to znaczenia. Jeśli bank nie zabierze domu, to prędzej czy później skonfiskuje go urząd skarbowy. Wszystko jest zapisane na Briana. Kupił dom przed ślubem. .

- O tym pomyślimy w stosownym momencie - upierał się Hal. - Płać tyle, ile możesz. Wiem, że pensja nauczycielki nie wystarczy, ale mogę ...

- Nie rozumiesz - przerwała, czując się tak, jakby chwyciła koło ratunkowe. - Nie dostanę już pensji, przynajmniej jeśli rada szkoły osiągnie swój cel. Może nawet będę musiała opuścić miasto.

- Co? - Wydawał się szczerze zaskoczony.

Susan ucieszyła się, że jeszcze nie wszyscy w Clementine wiedzą o jej zwolnieniu. Przynajmniej na razie.

- Chcą mnie wyrzucić - wyjaśniła. - Rodzice skarżyli się z powodu plotek.

- To niesprawiedliwe, do cholery! Jak mogą być tacy głupi? Drgnęła, zaskoczona gwałtownością tego wybuchu.

- Życie nie zawsze jest sprawiedliwe - powiedziała ostrożnie.

- Powinieneś to wiedzieć.

Opuścił ramiona i ukrył twarz w dłoniach, żeby nie zobaczyła łez. Czy myślał o zmarłej córce, czy o synu, który wciąż cierpiał z powodu zniknięcia matki? Choć Hal wzbudził jej niepokój, poczuła także szczery żal.

- Znajdę ich - obiecała sobie i jemu. - Znajdę Jessicę i Briana, Hal. Przysięgam.

Spojrzał na nią.

- W ciągu ośmiu miesięcy nikt nie znalazł śladu. Nikt.

- Ja tak - przyznała. - Nawet dwa.

- Co? - Widząc jej wahanie, naciskał. - Co znalazłaś? Pomyślała, że zaraz wyda mu się żałosna. Magazyn, który mógł się okazać pusty, oraz zepsuty twardy dysk, do którego na razie nie miała dostępu. Jeśli zamierzała podtrzymać Hala na duchu, nie powinna mu podawać szczegółów.

- Wolę nie mówić - odparła w końcu - bo te ślady mogą się okazać niewarte wzmianki. Ale coś mi mówi, że się nie mylę. Czuję, że czegoś się dowiemy.

- Przekazałaś informację szeryfowi? Wytrzymała jego spojrzenie.

- Jemu wcale nie zależy. Co to ich wszystkich obchodzi? Szeryf Abbott nie straci pracy. A matka zastępcy Ramireza nie trafi do jakiegoś domu opieki w Kalifornii.

- Zauważyłem to samo - powiedział Hal. - Zawsze, gdy proszę go o informacje, radzi mi,

żebym zajął się własnym życiem. To jest tak cholernie zniechęcające!

- Dobrze cię rozumiem. Mieli osiem miesięcy na rozwiązanie tej zagadki. Nie będę dłużej czekać, Hal.

Jego twarz się rozjaśniła.

- Może zbadamy te dowody razem?

Susan wstała i ruszyła w stronę drzwi. Zawahała się jednak, odwróciła i zobaczyła go tuż za sobą. Zaskoczyło ją, że była od niego kilka centymetrów wyższa. Nigdy przedtem nie zwróciła na to uwagi, może dlatego, że miał szersze bary niż większość mężczyzn. Brian mówił jej kiedyś, że podczas studiów na Uniwersytecie Rice w Houston Hal uprawiał zapasy. Może dlatego był tak umięśniony - a może z powodu wspinaczki skałkowej, którą zaczął uprawiać po śmierci córki. „Żeby rozładować żal po stracie”, dodał Brian, a Susan zastanawiała się, kto pomaga Jessice.

Teraz oczywiście wiedziała. Drań!

- Jeśli okaże się, że to coś ważnego, albo jeśli będę potrzebowała pomocy, dowiesz się o tym pierwszy - zapewniła.

Hal zmarszczył brwi.

- Pokaż mi, co znalazłaś. - W jego głosie usłyszała nieoczekiwaną szorstkość, która zaraz zmieniła się w desperację. - Nie uważasz, że na to zasłużyłem? Mój Boże, czy ty wiesz, co przechodzę? Rozumiesz, co zrobił mi twój mąż?

Miał minę skrzywdzonego dziecka - a przecież był dorosły, o siedem lat starszy od Susan. Nagle zadzwonił dzwonek. Odwróciła głowę.

- Przepraszam - powiedział błagalnie Hal. - Nie miałem prawa tego powiedzieć, obwinić cię za to, co on zrobił.

- Nic się nie stało - odparła, bardzo zakłopotana. - Przepraszam, muszę otworzyć drzwi.

- Susan! - zawołał, łapiąc ją za rękę.

Od razu pomyślała, że Hal powinien raczej dotykać współczujących pań, tak chętnych, aby go pocieszać. Odwróciła się od niego, ruszyła do drzwi frontowych i energicznie otworzyła.

Dopiero później zastanawiała się, dlaczego najpierw nie wyjrzała przez wizjer.

## ROZDZIAŁ 4

Luke nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Susan powitała go naga. Kiedy otworzyły się drzwi, Hal Beecher podszedł z tyłu i objął ją ramieniem - niewątpliwie władczym gestem.

Na ten widok Luke poczuł się, jakby go ktoś uderzył. Gdy odmówił jej pomocy, zwróciła się do męża kochanki Briana - tego samego człowieka, który miał odebrać jej dom?

- Maddox ... - powiedział po prostu Hal, wyciągając prawą rękę. Luke zignorował ten gest.

- Nie wiedziałem, że już się wprowadziłeś.

Susan strząsnęła z siebie ramię Hala i rzuciła mu spojrzenie, od którego zwiędłyby nawet plastikowe kwiaty.

- Pan Beecher się nie wprowadził - powiedziała dobitnie. - I właśnie wy - chodzi.

Luke powstrzymał się od uśmiechu. To mu się bardziej podobało.

- Już jestem spóźniony. - Beecher zmarszczył brwi i spojrzał na swojego roleksa, wysadzanego brylancikami, które lśniły w świetle. - Obiecałem siostrze, że do niej wpadnę, żeby utulić Robby'ego przed snem.

Luke na chwilę poczuł się podle. Jak mógł drwić z tego biedaka, który wyraźnie marzył o uczuciu Susan? Ale ona pochyliła się i musnęła ustami policzek bankiera.

- Dziękuję, Hal - powiedziała. - Jestem naprawdę głęboko wdzięczna za twoją propozycję.

Lekko obróciła głowę i zerknęła na Luke'a. Czyżby sprawdzała, jak zareaguje? Zaciśnęła zęby, ale po chwili się opanował i obojętnie wzruszył ramionami. Co go obchodzi, kogo całuje Susan?

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie - odparł Hal. - Możesz dzwonić o każdej porze.

Odwracając się, rzucił Luke'owi gniewne spojrzenie i wyszedł przed dom.

Oświetlona ceglana dróżka wiała się obok niewielkiej kamiennej fontanny i między dwiema jukami, przypominającymi wartowników, strzegących przejścia. Spośród ich ostrych liści wystawały długie łodygi, zakończone masą kremowych, dzwonkowatych kwiatów, składających płatki po zmroku.

Ich słodki zapach przywołał wspomnienie jeszcze słodszej nocy. Luke z trudem łapał oddech, krew krążyła mu szybciej w żyłach.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk wyłączanego alarmu w samochodzie Beechera. Bankier wsiadł do czarnego hummera z chromowanymi zderzakami. Luke wcześniej uznał, że musiał to być samochód jakiegoś gościa sąsiadów Susan.

- Kosztowny gust - powiedział o Hala, mając nadzieję wywołać jakiś komentarz albo, jeszcze lepiej, wyjaśnienie powodu jego wizyty.

Susan nie zareagowała - ani nawet nie zaprosiła go do środka.

- Może to nie moja sprawa - powiedział.

- Żadne „może” - odparła. - I wiesz, że robi mi się niedobrze na widok dwóch dorosłych mężczyzn, zachowujących się w ten sposób.

- Dlaczego myślisz, że choć trochę obchodzi mnie, co robi Beecher?

- „Nie wiedziałem, że już się wprowadziłeś!” - naśladowała go, jakby był przypadkiem groźnego zatrucia testosteronem. - Błagam, Luke. Uczę w szkole średniej. Doskonale wyczuwam sarkazm.

Wzruszył ramionami.

- Może mi się nie podobało, że ten facet wykorzystuje moją szwagierkę. Kobieta... kobieta w twojej sytuacji może być słaba.

Wzniosła oczy do nieba.

- Nie wobec mężczyzny, zapewniam cię. Teraz nie dałabym dwóch doków za cały wasz rodzaj, chyba że potrzebowałabym pomocy przy odkręceniu słoika lub ...

- W naprawie zepsutego twardego dysku? Uśmiechnęła się do niego z poczuciem winy.

- Touche, d'Artagnanie i ... przepraszam. Przesadziłam, wkładając wszystkich mężczyzn do jednego worka z twoim bratem. Chociaż do tej kategorii niewątpliwie zalicza się także szeryf i jego pyskаты zastępca, Ramirez. Nie zapomnijmy też o doktorze Winthropie i męskiej części rady szkoły.

- Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, po tych wszystkich rozczarowaniach w każdej chwili możesz się natknąć na przyzwoitego mężczyznę. I zmienić zdanie o całym rodzaju.

- Cóż, zapewniam cię, że nie będzie to Hal Beecher. Nie mogę nawet na niego spojrzeć, nie myśląc o ... o sprawach, których nie chciałabym znów przeżywać. Wolałabym leczenie kanałowe!

A ja? - zastanawiał się Luke. Czy możesz patrzeć na mnie, nie myśląc o Brianie ... nie widząc go? Chociaż jego brat był jasnowłosym, typowym Amerykaninem, Luke wiedział, że istniało rodzinne podobieństwo, choćby nawet nie chciała go dostrzec ich własna matka.

- Myślę, że przyjechałeś nie tylko po to, żeby chronić mnie przed Halem - powiedziała Susan. Odgarnął włosy z oczu.

- Muszę z tobą porozmawiać. Zaprosisz mnie do środka?

Susan zerknęła przez ramię i pokręciła głową.

- Żartujesz? Moja mama zabiłaby każdego Maddoksa, który pojawiłby się w zasięgu ręki, a szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby już była gotowa na przeżywanie takich emocji. Zaczekaj chwilę. Sprawdź, jak się czuje, i wezmę torebkę. Obiecałam jej, że przywiozę koktajle od Swensana. Możesz ze mną jechać.

- Nie boisz się, że ktoś zobaczy nas razem? - zapytał dość głośno, by jego słów nie stłumił grzmot. - Jeszcze po południu obawiałaś się tego tak bardzo, że umówiłaś się ze mną godzinę drogi stąd.

Wzruszyła ramionami.

- Kto nas zobaczy o tej porze? Znasz Clementine. Po siódmej zwijamy chodniki.

Uśmiechnął się i pomyślał, że nie brak mu nocnego życia Austin. Może sprawiała to rozległa ciemność rozciągająca się nad hrabstwem Ocotillo, z rzadka rozświetlana lampami... Może pieśni owadów i księżyc za chmurami? A może po prostu trzydzieści trzy lata to dobry wiek, żeby zacząć wpadać w nostalgię.

- Weź ten dysk, dobrze? - zaproponował.

Jej oczy rozbłyły. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- A ja myślałam, że będę musiała cię zmęczyć albo przynajmniej zaśladać czekoladowym koktajlem, dopóki nie zaczniesz błagać o litość.

Po prostu czuje wdzięczność, pomyślał Luke, ale to nie powstrzymało go od pogładzenia jej po plecach. Jego organizm od razu zareagował na dotyk smukłego, doskonałego kobiecego ciała. W głowie jak błyskawice migaly mu obrazy: połączone usta, gdy dotykał jej piersi, dwa ciała, splecione pod baldachimem gwiazd.

Zakłopotany, odsunął się, zanim opanowało go szaleństwo.

Błagając w myślach, żeby nie wyczuła jego podniecenia, wrócił do tematu rozmowy.

- Nie ... nie rób sobie zbyt wielkich nadziei - ostrzegł. - Nie wiem, czy da się tam cokolwiek znaleźć, nawet jeśli uda mi się uruchomić dysk.

Przez chwilę stała bez ruchu, patrząc na niego dziwnie, a potem odwróciła się, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

O cholera, pomyślał. Poczwała, jak napierał na nią z subtelnością bagnetu.

Przez chwilę miał nadzieję, że nie wróci: takie odtrącenie byłoby mniej bolesne, niż próba rozmowy o tym, co się wydarzyło.

Jak by jej to wyjaśnił? Nie chodzi o ciebie, Susan. Po prostu od dawna nie tuliłem kobiety. Skrzywił się na myśl o tym, jak żałośnie by to zabrzmiało.

Jeri, jego ostatnia dziewczyna, dała mu do zrozumienia, że zrezygnowałyby z pracy w Seattle, gdyby wymyślił jakiś powód, żeby została. Ale jego coś powstrzymywało, jak zawsze z dziewczynami, odeszła więc - czy upłynął już rok? Od tamtej pory był tak zaprzątnięty pracą, a później sprawą Briana, że z trudem znajdował czas, by zrobić pranie, nie mówiąc o randkach z następną kobietą. Jednak to nie usprawiedliwiało ...

Wróciła Susan, z torebką na ramieniu i kluczami w dłoni.

- Przepraszam, że tak długo to trwało. Musiałam zrobić coś w kuchni.

- Może ja poprowadzę? - zaproponował, mając nadzieję, że okaże się wspaniałomyślna i uda, że nic się nie stało. Bardzo tego chciał. - I tak zastawiłem twojego dzipa. Zaparkowałem na podjeździe, tuż za garażem.

Zamykając za sobą drzwi, pokręciła głową.

- Wiesz, nie opanowałam jeszcze sztuki trzymania dwóch koktajli na pędzącym motocyklu.

Luke starał się nie myśleć o jej ciele - tym samym, które przed chwilą tulił przyciśniętym do niego na siedzeniu kawasaki. Co się z nim dziś działo?

- Przyjechałem pikapem - powiedział szybko. - Zobacz sama. Prowadząc ją do swojego auta, zastanawiał się, jak by się ułożyło ich życie, gdyby w szkole średniej był bardziej cierpliwy albo zdobył się na trochę wytrwałości. Czy naprawdę połączyłby ich związek, jaki Luke uważał za możliwy?

Skrzywił się, zirytowany, że ciało całkowicie zawładnęło jego umysłem.

Powinien wymyślić jakąś wymówkę i natychmiast odjechać - wziąć twardy dysk i wrócić na ranczo, żeby nad nim popracować.

Właśnie miał to powiedzieć, gdy detektor ruchu włączył światła przed garażem. Nawet w tym słabym oświetleniu jego stary pikap zaśnił.

- Wspaniały! - Susan podbiegła do samochodu i z uznaniem przeciągnęła dłonią po tylnym zderzaku. - Który to rocznik?

- Chevy z pięćdziesiątego piątego. Teraz dobrze tego nie widać, ale jest turkusowy z białym dachem.

- Przepiękny. Sam go naprawiłeś?

- Od początku do końca. Wszystkie części oryginalne - pochwalił się, nie mogąc powstrzymać idiotycznego uśmiechu. Może jednak nic się nie stanie, jeśli zabierze ją na krótką przejażdżkę.

- Naprawdę super - powiedziała. - Prawdziwe dzieło miłości. Jej podziw i zrozumienie ostatecznie rozwiały myśli Luke'a o wyjeździe.

Ona by się nie śmiała tak, jak kiedyś Brian, że wydał więcej na części niż był wart cały pikap.

- Szkoda, że nie widziałaś, w jakim stanie go kupiłem - mówił Luke. Stary farmer z Hill Country trzymał go w stodole pełnej rupieci. Myszy wszystko pogryzły. Pod maską znalazłem całe stado.



Przypomniał sobie, jak Jeri zniechęciła to jego „zashedzone” auto i była wściekła, gdy spędzał przy nim wiele godzin. Ale przecież Jeri nienawidziła wszystkiego, co nie dotyczyło jej.

Kosztowna w utrzymaniu. Dlatego nie poprosił jej, żeby odrzuciła propozycję pracy w Seattle.

- Zawsze lubiłeś stare samochody - zauważyła Susan.

Jej słowa zbyt wyraźnie przypominały mu kabriolet El Dorado z 1966 roku, który wyremontował w szkole średniej - i to, jak go wykorzystali. Bojąc się, że zadrzy mu głos, odetchnął głęboko.

Susan zatarła ręce jak dziecko.

- Pozwolisz mi poprowadzić?

- Hm, nie. Biegi źle wchodzą i jest trochę dziwne ... Susan zaśmiała się i usiadła na miejscu dla pasażera.

- Nie zmieniłeś się ani trochę - poinformowała go.

- Co to ma znaczyć?

Mówiąc, otworzyła okno.

- Nigdy nie byłeś zwolennikiem dzielenia się, chyba że chciałeś ode mnie spisać pracę domową z chemii.

- Której mi zresztą nigdy nie dałaś.

- Bo jej nie potrzebowałeś - odparła lekko. - Wystarczało, że raz na jakiś czas pojawiłeś się na lekcji.

Ponieważ była to prawda, nie ciągnął tematu i przez chwilę jechali w przyjemnym milczeniu. Reflektory oświetliły tablicę z napisem: WITAMY w CLEMENTINE, 7300 MIESZKAŃCÓW. Po chwili w ich blasku załśniły oczy zwierząt przy drodze. Zwalniając, Luke minął stadko pekari obrożnych, małych, włochatych zwierzątek nieco przypominających dziki.

Przez otwarte okna słyszał ich kwiczenie. Czuł zapach piżma.

- Dziwne miejsce na spotkanie rady szkoły - skomentowała Susan. - Przypuszczam, że wyznają tę samą świńską politykę.

Skrzywił się.

- Uczniowie wyrzuciliby cię z klasy za ten dowcip.

- Dopiero, gdyby ktoś im go wyjaśnił - odparła, ale ciepło w jej głosie zadawało kłam słowom.

Oboje zamilkli, nieco zakłopotani. Luke zastanawiał się, czy myślała o swojej klasie i czy będzie tęskniła za pracą w szkole.

Choć Brian spędzał dużo czasu w salonie samochodowym, czasami narzekał, że Susan poświęcała tyle godzin na przygotowania do zajęć i sprawdzanie klasówek. Założyła też klub, z którym chodziła na wycieczki na pustynię. Kilka razy w roku nawet biwakowali. Zrobiła bardzo dużo zdjęć do roczników szkoły.

„Jakby to mogło jej dać dodatkowe pieniądze - zrzędził Brian. - Kto by tyle pracował za nic?”

Luke pomyślał o jej słowach, skierowanych do niego, i o tym, jak podsumowała jego wysiłki, by wyremontować auto. „Prawdziwe dzieło miłości”.

- Znajdziemy jakiś sposób, żebyś nie straciła pracy - zapewnił ją, zaskoczony determinacją we własnym głosie. - Jeśli nie pomoże nam w tym twardy dysk, to wymyślimy coś innego.

W przednią szybę uderzyły krople deszczu. Nie było ich tyle, żeby włączać wycieraczki, ale dość dużo, by Luke skupił się na prowadzeniu. Mimo to czuł, że Susan mu się przygląda. Przysiągłby, że tak jest.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie? - zapytała w końcu. - Nie zrozum mnie źle. Bardzo się cieszę, że mi pomożesz, ale jeszcze po południu stanowczo odmawiałeś.

- Zadzwoiłem do starego znajomego ze studiów - wyjaśnił.

- Poślubił kobietę z Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego.

- Z laboratorium kryminalistycznego?

Minęli nowe budynki, wzniesione w miejsce dawnych firm, na przykład sklepu Pop Norton's, które chyba zbankrutowały.

W odpowiedzi na pytanie Susan, Luke pokręcił głową.

- Nie, ale Jane pracowała tam kilka lat. Nadal ma znajomych, poprosiłem więc, żeby sprawdziła, co się dzieje z twoim komputerem.

- I czego się dowiedziałeś? - ponagliła Susan. Padało coraz silniej. Pochyliła się, żeby zamknąć okno.

- Chwileczkę. - Luke zmagał się z przyciskiem, uruchamiającym wycieraczki. W końcu walnął dłonią w deskę rozdzielczą i usłyszał rytmiczny szum wycieraczek.

Reflektory oświetliły miejsce, gdzie stawiano nową stację benzynową. Z wielkości placu budowy wnioskował, że przy stacji będzie też sklepik i kawiarnia. Ze smutkiem pomyślał o pracownikach, którzy będą pomnażać fortunę jakiejś bezimiennej korporacji, zamiast działać na własny rachunek.

- Wszystko się rozrasta, zmienia - skomentował, zaskoczony własnym pragnieniem, by rodzinne miasto pozostało takie, jak było. I żeby odwiedzając je, mógł się cofać w czasie.

- Nie zmieniaj tematu, Luke. Mów! - nakazała Susan, gdy skręcił w lewo, w stronę samochodowej restauracji Swensona.

Przy okienku nie było kolejki, zamówił więc trzy koktajle u nastolatki o kręconych włosach.

Luke nie wziął od Susan dwudziestu dolarów, które podała, i zapłacił sam. Dziewczyna zaczęła miksować koktajle w staromodnych, srebrnych kubkach. Ucieszył się, widząc, że przynajmniej niektóre tradycje Clementine pozostały święte.

Gdy ustał warkot miksera, odezwała się Susan. - Gadaj. Co ci powiedziała ta kobieta?

- Twój komputer nie dotarł do laboratorium kryminalistycznego. A przynajmniej nie ma o tym wzmianki w aktach. - Wiedziałam! Wiedziałam, że coś ...

- To nie wszystko - przerwał Luke. - Nie mają danych o żadnych przedmiotach, wziętych z twojego domu.

- Drań! - wybuchła Susan. - Dlaczego szeryf Abbott ...

Urwała, nagle przypominając sobie o nastolatce, która z ciekawością zerkała przez ramię.

- Możliwe, że żona mojego kolegi się pomyliła - powiedział Luke. - Może materiały tam są, tylko zarejestrowano je w innym katalogu. Albo zostały wysłane gdzie indziej.

- A może ktoś je zabrał. Ktoś, kto nie chce, żeby odnaleziono Briana szepnęła Susan.

Luke'owi też to przyszło do głowy, ale nie powiedział tego głośno. Gdyby Susan wpadła na ranczo i zaczęła wykrzykiwać oskarżenia, matka zamknęłaby się w sobie i nigdy nie poznaliby prawdy.

Dziewczyna podała im koktajle i nie przejmując się deszczem, wychyliła się z okienka tak daleko, że Luke mógł policzyć kolczyki w jej uchu.

- Hej, pani Maddox! - zawołała. - Wydawało mi się, że to pani. Jak leci?

- W porządku, Caitlyn. Nie poznałam cię w nowej fryzurze. - Susan nawinęła na palec pasmo swoich prostych włosów. - Loki są wspaniałe.

Dziewczyna się rozpromieniła. Luke pomyślał, że też tak wyglądał, gdy Susan powiedziała kilka miłych słów o jego aucie.

- To świetnie, że chodzi pani na randki - stwierdziła nastolatka. - Przecież jeszcze nie czas, żeby wypadła pani z gry.

- Nie mam natury gracza - oznajmiła Susan - a to nie jest randka.

- Jasne!: - Caitlyn uśmiechnęła się szeroko, mrugnęła do Luke'a i zamknęła okienko.

Gdy odjeżdżali spod restauracji, Susan walnęła się dłonią w czoło i opadła na siedzenie.

- Świetnie, że przyjechaliśmy tu razem. Teraz Caitlyn opowie wszystkim, których zna.

Luke wzruszył ramionami.

- Minęło osiem miesięcy, odkąd Brian odszedł z inną kobietą. Nawet gdybyś zaczęła chodzić na randki, kto mógłby ci to mieć za złe?

- Zastanówmy się - odparła Susan, wyraźnie poirytowana. - Rada szkoły, wszyscy plotkarze, których zdaniem to ja jestem winna całej sytuacji... i nie myśl, że tylko ja ucierpię. Pamiętaj o swojej matce. Jak się zachowa, kiedy usłyszysz, że chodzisz ze mną na randki?

- Z matką dam sobie radę - upierał się, choć nie był do końca przekonany.

- Zresztą ta dziewczyna mnie nie rozpoznała.

Susan się zaśmiała.

- Nie doceniasz Caitlyn. Założę się o dwadzieścia dolców, że do jutra ona i jej koleżanki wszystkiego się domyślą.

- Ale jak?

- Samochód - odparła. - Nie można powiedzieć, żeby nie rzucał się w oczy.

- Nigdy przedtem nie przyjechałem nim do Clementine. Zresztą, czy nie sądzisz, że wpadasz w paranoję?

Mówiąc te słowa, zrozumiał, że popełnia błąd. Oczywiście, że czuła się prześladowana przez plotkarzy i radę szkoły.

Odezwała się, zanim zdążył przeprosić.

- Dobrze, że ty prowadzisz, a ja zapięłam pasy.

- Dlaczego?

- Bo naprawdę potrzebuję twojej pomocy przy tym twardym dysku - powiedziała, wyciągając urządzenie z torebki i kładąc na siedzeniu między nimi - a mógłbyś odmówić, gdybym zaraz wylała ci koktajl na kolana.

Upił łyk zimnego napoju. Poczul w ustach słodki, kremowy smak. - Szkoda świetnego koktajlu czekoladowego.

Po chwili usłyszał siorbnięcie i jęk przyjemności, od którego stanęły mu włoski na karku.

- Mm ... - mruknęła Susan. - To jest takie pyszne! Mój Boże ... zbyt dawno nie piłam tego koktajlu.

Luke pomyślał, że jednak powinna go oblać. Może by go ochłodziła. Starając się opanować niestosowne myśli, zaczął się zastanawiać, jakie kody zabezpieczeń, pliki antywirusowe i metody mógłby zastosować, żeby uruchomić twardy dysk Briana ... myślał o wszystkim, byle nie słyszeć dźwięków, które wydawała. Był tym tak zajęty, że kilka minut później bardzo zaskoczył go okrzyk Susan.

Rzucił spojrzenie, mające oznaczać: „Uduszę cię, jeśli nie przestaniesz wydawać tych

wszystkich dźwięków, które kojarzą mi się z orgazmem!”

- O Boże! - krzyknęła, wpatrując się z przerażeniem w coś w oddali. - Mama!

Spojrzał w tę samą stronę i zobaczył migocące, czerwone światła ... oraz wóz policyjny z otwartymi drzwiami, zaparkowany krzywo przed domem Susan.

- Nie wpadaj w panikę - nakazał, zwalniając. - Zaraz ...

Obracając głowę, zobaczył, że było już za późno: Susan wyskoczyła z pikapa i biegła przez podwórko.

Luke modlił się, żeby zaraz nie przeżyła koszmaru.

## ROZDZIAŁ 5

Biegając w stronę uchylonych drzwi frontowych, Susan zahaczyła rękawem o ostre liście juki.

- Mamo!?! - krzyknęła, uwalniając rękę i wpadając do domu.

W pokoju dziennym nie zobaczyła ani matki, ani zastępcy szeryfa. Żaden dźwięk nie wskazywał, dokąd mogli pójść. Miała złe przeczucie, a może po prostu deja vu?

Nie znajdując nikogo w kuchni, pobiegła do sypialni mamy. W głowie wirowały jej wspomnienia tamtej okropnej nocy zeszłej zimy, gdy wróciła do pustego domu. W panice przeszukiwała te same pokoje, czując, że jej życie nieodwracalnie się zmieni.

Zamarła, słysząc łagodny męski głos, mówiący tak, jak się mówi do przerażonego dziecka ... lub do umierającej kobiety. Nie rozróżniała słów, bo zagłuszał je odgłos kroków tuż za nią.

Poczuła dłoń na ramieniu.

- Jestem przy tobie - zapewnił ją Luke.

Razem weszli do pokoju gościnnego, gdzie mężczyzna w beżowej koszuli zastępcy szeryfa i w ciemnobrązowych dżinsach kuczał naprzeciwko Maggie Dalton, siedzącej na łożku. Na ekranie telewizora, którego dźwięk był wyciszony, migotał denerwujący obraz: pokazywano w zwolnionym tempie tor lotu kuli.

To jakiś program o detektywach, uświadomiła sobie Susan, zaczynając znów oddychać.

Matka patrzyła na nią wytrzeszczonymi oczami. Rozpuszczone włosy wyglądały jak gradowa chmura wokół jej bladej twarzy.

- Już. Jest... Susan. Widzi pan, mówiłam, że wróci.

- Mamo ... - Susan chwiała się na nogach jak nowo narodzony żreback.

Luke ścisnął ją za ramię i dawał jej siłę, żeby nie upadła.

- Krew - powiedziała matka Susan. Jej brązowe oczy były zatroskane. Masz na sobie krew.

- Krew? - zapytała Susan. - Ja nie ... co się tu dzieje?

Zastępca Ramirez wstał i zwrócił się w jej stronę z ponurym wyrazem twarzy, który nie zmienił się od czasów szkoły średniej. Z powodu wypadku i operacji plastycznej jego rysy wydawały się nienaturalne. Skóra była zbyt napięta, wyraźnie zaznaczały się pod nią kości i mięśnie. Krótko ostrzyżone czarne włosy nie zasłaniały długiej blizny nad czołem.

Na pytanie odpowiedział Luke, dotykając ramienia Susan.

- Pewnie skaleczyłaś się o jukę.

Susan nie zwracała uwagi na kropelki czerwieni na swojej nagiej skórze.

Wpatrzyła się w ciemne oczy Manuela Ramireza. Ściągnął swoje szerokie usta.

- Gdy pani nie było, zadzwoniła siostra, Carol. Jak przekazała naszej dyspozytorce w centrali, pani Dalton wydawała się zagubiona. Nie wiedziała, kiedy i dokąd pani wyjechała.

Powiedział to karcącym, nieprzyjemnym tonem. Po chwili spojrzął na Luke'a. Susan prawie słyszała myśli Ramireza: na pewno się zastanawiał, dokąd pojechali i czy może odbyli małe spotkanie klasowe w samochodzie Luke'a. Wyobraziła sobie podejrzenie, wypełniające dziurę, którą zastępca szeryfa nazwałby „motywem”.

Cholera!

Oddychając głęboko, przyklękała przy matce i ujęła jej powykrzywiane dłonie.

- Mamo, zapomniałaś, co powiedziałam? Pojechałam do Swensona po koktajle. Czekoladowe. Pamiętasz?

- Chyba to pani o nich zapomniała - wtrącił się Ramirez. Maggie przeniosła wzrok na Luke'a.

- Co, na miłość boską, robi tu ten chłopak? Luke nie spuszczał Ramireza z oczu.

- Koktajle są w samochodzie. Nie myśleliśmy o nich, kiedy zobaczyliśmy światła wozu policyjnego.

Susan zerknęła na Luke'a i Manuela, wpatrujących się w siebie. Gdyby byli kojotami, wyszczerzyliby zęby, podnieśli ogony i zjeżyli sierść na karku.

Znów męskie odstraszenie, pomyślała. Ale dlaczego? Czy kiedyś, dawno temu, nie byli przyjaciółmi?

- Słyszałaś mnie? - zapytała matka. - Co ... Maddox robi w tym domu?

- Gdy wychodziłam, Luke wpadł, żeby zapytać, jak się czujemy - wyjaśniła Susan - Zawiózł mnie do miasta po koktajle.

- Jeśli już lepiej się pani czuje - zaczął Luke, uśmiechając się przyjaźnie do staruszki - przyniosę koktajl z samochodu. Szkoda, żeby się zmarnował. Przy okazji odprowadzę zastępcę Ramireza. Przecież już się przekonał, że nie stało się nic złego.

Ramirez srogo spojrzał na Susan, a ona zauważyła drżenie mięśnia jego szczęki. Prychnął przez nos, jakby był gwizdkiem czajnika i wypuszczał z siebie parę.

- Proszę zadzwonić do siostry - nakazał zastępca szeryfa. - I powiedzieć, że jest pani z mamą. .. przynajmniej teraz.

- Dobrze, panie zastępco. - Susan wstała. Musiała spuścić wzrok, żeby nadal patrzeć mu w oczy. - Dziękuję, że przyjechał pan do mojej matki. Doceniam ...

Przypomniała sobie uchylone drzwi i coś jej wpadło do głowy. Rozejrzała się po pokoju.

- Chwileczkę. Gdzie Peavy? Czy ktoś widział mojego psa?

Ramirez spojrzał na swoje buty ze skóry strusia. Wzruszył ramionami.

- Coś otarło się o moje nogi, kiedy pani mama otworzyła drzwi. Czy to naprawdę był pies?

- Nieduży, ale ...

- Na pewno wybiegł obok mnie - wtrąciła się matka. - Nie ... nie pamiętam. Ale on nigdy ... nie odchodzi daleko.

- Pomogę ci go znaleźć - zaoferował się Luke. - Tylko przyniosę twojej mamie koktajl.

Odwrócił się i ruszył korytarzem, prowadzącym do pokoju dziennego. Nagle się zatrzymał i spojrzał przez ramię.

- Idzie pan?

Ramirez skinął głową, nie spuszczając oczu z Susan. Patrzyła na niego, czując mrowienie na karku. Dostała gęsiej skórki. Z rosnącą obawą czekała na jakieś pytanie, może nawet oskarżenie.

Zastępca szeryfa pierwszy odwrócił wzrok i odszedł.

Susan odwróciła się i opadła na łóżko, obejmując matkę ramionami. Na ekranie zobaczyła kobietę, upadającą twarzą na jasny betonowy podjazd. Susan tuliła matkę, a w telewizorze strumyczki krwi na zawsze poplamiały beton.

Dochodziła północ, gdy Susan oznajmiła Luke'owi, że rezygnuje z poszukiwań Peavy'ego.

Stojąc na tylnym tarasie, ostatni raz oświetliła latarką szarozielone igielki jałowca. Mokre od deszczu, lśniły, jakby przenikały je świetliki.

- Gdyby tu był - powiedziała - znaleźlibyśmy go albo przynajmniej byśmy usłyszeli. Mama ma rację. Peavy nigdy nie ucieka daleko.

Luke wyłączył swoją latarkę, która po kilku godzinach świeciła znacznie słabiej.

- Pewnie schował się pod tarasem sąsiada albo w kącie jakiejś szopy na narzędzia. Założę się, że rano wróci.

Patrzając w stronę wzgórz, Susan westchnęła.

- Wiem, co tam jest. Co najmniej tuzin zwierząt, które chętnie by go zjadły.

Dlatego sąsiedzi trzymają koty zamknięte w domu.

Nieliczni, którzy tego nie robią, znajdują ogony, sierść, kawałki futra, a nawet łapy. Ale najczęściej nic.

Luke pomyślał o ogłoszeniu, które mijał po południu, przejeżdżając obok poczty. Pod słowami „zaginął” i „nagroda” widniało zdjęcie rudego kota z wielkimi, zielonymi oczami.

- Mam nadzieję, że się mylisz - powiedział, chociaż gdyby był hazardzistą, postawiłby dużą sumę na kojoty.

- Ten głupi psiak zawsze sprawiał więcej kłopotów niż jest wart. - Zgasiła . latarkę. Padało na nich tylko światło z okna kuchni oraz blask przesłoniętego chmurami księżyca. Mimo to odwróciła twarz. Domyślał się, że chciała ukryć łzy.

Choć nigdy by się do tego nie przyznała, dobrze wiedział, że kochała swojego pieska. Luke zapragnął ją przytulić.

Lepiej nie, pomyślał.

- To był długi, ciężki dzień - powiedziała wreszcie Susan głosem drżącym od zmęczenia lub żalu.

Przysunął się bliżej, na tyle blisko, że słyszał jej oddech w ciszy nocy. Tak blisko, że czuł delikatny zapach jej skóry. Tak blisko, że pragnął jej skosztować ...

Jeszcze raz, pomyślał. Wspomnienie tamtej nocy nigdy go nie opuściło.

Wyraźnie pamiętał jej jęki, gdy doprowadził ją do orgazmu, jej zapach i smak ... oraz to, że był zbyt młody i głupi, by zrozumieć, iż takich chwil nie przeżyje z żadną inną kobietą.

Zamykając oczy, pocałował ją w głowę, tuż nad uchem. Jej włosy, które musnął ustami, przypominały mu ciepły jedwab. Tak samo jak kiedyś.

To był czysty pocałunek. Krewny, a nawet przyjaciel, mógłby tak pocałować cierpiącą kobietę. Ale za prostym gestem skrywał się dawny sekret.

Chciał zapytać Susan: „Naprawdę dochowałaś tajemnicy?”

Czy powiedziałaś wszystko mojemu bratu?”

Ale gdy się od niego odsunęła, nie złamał niewypowiedzianej umowy: z nikim o tym nie rozmawiać, nawet między sobą.

Przesunęła dłonią po włosach, jakby chciała je wygładzić.

- W każdym razie dziękuję ... - powiedziała - że zostałeś tak długo, pomagając mi go szukać. I za to, że obiecałeś naprawić ten twardy dysk.

- Zobaczę, czy będę umiał coś zdziałać - odparł szybko. - Na razie nie róbmy sobie nadziei.

- Dasz radę.

Jej słowa były tak ciche, że ledwie je usłyszał. Ale niezachwiana wiara, która w nich brzmiała, odbijała się echem w jego myślach podczas krótkiej drogi do domu.

Serce obserwatora zabiło szybciej na myśl o tym, że była tak blisko miejsca, gdzie czekał.

Przeszła kilka metrów od niego po chłodnej ziemi.

Wystarczyłoby wyskoczyć z jałowca, żeby pogłodzić te długie, gołe nogi, wsunąć się pod jej spódnicę i...

Ta myśl wystarczyła, żeby jego członek stanął na baczność.

Płonący żar kontrastował z lodowatą powłoką, która wydawała się pokrywać jego oczy. I nagle podszedł do niej mężczyzna, ten, którego obecność sprawiała, że dłonie obserwatora

drżały. Facet tak cholernie go wkurzał, że obserwator chciałby chwycić najbliższą gałąź i złamać ją na pół.

Po chwili pomyślał, że kość też byłaby dobra. A może raczej skręciłby mu kark. Tak. To przypomniałoby kobiecie, że święta przysięga, raz złożona, nie może zostać złamana, gdy tylko pojawi się jakiś zainteresowany mężczyzna.

Ten drań wkroczył na jego terytorium. Obserwator dobrze to widział. Zobaczył ich sylwetki na tle kuchennego okna, gdy mężczyzna przytulił twarz do jej włosów.

Chciał, żeby krzyknęła, tak jak powinna, żeby odskoczyła i walnęła faceta w głowę. Kiedy tego nie zrobiła, lód przed jego oczami zgęstniał, a on poczuł delikatną skorupę mrozu, sztywniejącą na bijącym w piersi sercu.

Gdy tylko pikap odjechał, a światła w domu zgasły, obserwator wyszedł z wilgotnego jałowca i ruszył w stronę klatki, gdzie zostawił pieska ... tego samego, którego kiedyś trzymała między piersiami.



## ROZDZIAŁ 6

Była zmęczona, dlatego dźwięk nieprędko przebił się do jej świadomości. Powoli dotarło do niej, że ktoś jest w domu.

Susan gwałtownie otworzyła oczy, czując pulsowanie krwi.

Serce zabiło jej jeszcze szybciej, gdy zobaczyła sylwetkę, pochyloną nad nią w ciemności.

- Bardzo za tobą tęskniłem.

Wysoka postać stała w cieniu, ale Susan zawsze by rozpoznała głos Briana, nawet po długim czasie. Nie mogła się odezwać ani poruszyć. Paraliżował ją strach.

W żaden sposób nie mogła go powstrzymać przed wejściem do łóżka. Czowała jego nagość, dużą dłoń, przesuwającą się po jej boku i dotykającą piersi. Tak, jakby nigdy jej nie porzucił ani nie zmienił jej życia w piekło. Jakby nadal oboje pragnęli seksu.

- Dziś nie mogę. Nie mogę - powiedziała, odwracając się i ściskając prześcieradło w dłoniach.

- Jezu, Susan. Nie jesteś pierwszą kobietą na świecie, która poroniła. Jak mamy spróbować jeszcze raz, jeśli ty mi nie pozwalasz ...

Wspomnienie odblokowało jej zeszywniałe mięśnie. Zaczęła machać rękami i krzyżeć: „Nie!”

On jednak nadal przyciskał się do Susan, całując ją w szyję. Końce jego palców, wywołując dotykiem rozkosz i poczucie winy zarazem, powędrowały od sutków do wstydlivego ciepła między nogami.

Dopiero gdy położył się na niej, zobaczyła, że to nie Brian. Gdy w nią wszedł, wykrzyknęła imię „Luke” i zobaczyła gwiazdy, błyszczące na letnim niebie nad jego głową.

Obudziła się zaplątana w spocone prześcieradło. Z jękiem usiadła i odgarnęła z twarzy mokre włosy.

Ten sen nic nie znaczy, absolutnie nic, powtarzała sobie ... ale nagle zrozumiała, że nie wszystko było snem. Usłyszała nieznaną dźwięk.

Co to?

Dostała gęsiej skórki, gdy coś uderzyło w ścianę po jej prawej stronie, oddzielającą sypialnię od gabinetu. Ten sam dźwięk słyszała we śnie.

Cokolwiek to było, pochodziło z głębi domu. Zerkając na lśniące cyfry na budziku, próbowała sobie wmówić, że to matka.

Ale co robiłaby w gabinecie o trzeciej pięćdziesiąt osiem?

Słyszając drapanie, Susan zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie, że mama była dziś tak zdezorientowana, iż Carol zadzwoniła do biura szeryfa. Wstając z łóżka, przypomniała sobie też, co mówiła Roberta o piecyku gazowym. Czy stan matki mógł się nagle pogorszyć?

Susan, całkowicie obudzona, włożyła szorty. Miała już na sobie za duży podkoszulek, w którym spała. Po omacku dotarł~ do drzwi i cicho obróciła gałkę.

Rozejrzała się po korytarzu. Oprócz nocnej lampki, którą włączała, żeby mama bez trudu trafiła do drugiej łazienki, nic nie rozpraszało ciemności w domu.

Nagle usłyszała stłumione stuknięcie. Zerkając na zamknięte drzwi gabinetu po prawej stronie, pomyślała o Peavym. Czy ktoś mógł go tam przypadkiem zamknąć? Albo celowo, poprawiła się w myślach, przypominając sobie, jak często mama traciła cierpliwość z powodu złego zachowania chihuahuy. Wyobraziła sobie to z łatwością: matka skarciła psiaka za kopanie w doniczkę albo podarcie poduszki, a potem zamknęła go w gabinecie, tuż przed telefonem od Caro!. Nic dziwnego, że mama zapomniała o psie, skoro nie potrafiła nawet

powiedzieć starszej córce, dokąd pojechała Susan.

Sytuacja taka była bardzo prawdopodobna i Susan poczuła ulgę, rozlewającą się ciepłą falą po całym ciele. Dziwne, że Peavy nie zaszczekał, słysząc jej wołanie, ale to było w stylu tego małego głupka: mógł sobie smacznie spać, gdy ona się zamartwiała.

Idąc w stronę gabinetu, zaśmiała się z własnej głupoty.

- Peavy, pieseczku - zawołała cicho, wyobrażając go sobie, merdającego ogonkiem tuż za drzwiami. - Wyjdź, ty mały, okropny ...

W głębi korytarza coś kliknęło. Dźwięk był ostry, metaliczny, przypomniał jej program kryminalny, którego urywki widziała wcześniej w sypialni matki.

Pistolet! - krzyknęła w myślach, obracając się w stronę, skąd dochodził dźwięk. Dostrzegła człowieka, biegnącego w jej kierunku.

Zanim zdążyła krzyknąć, drzwi gabinetu gwałtownie się otworzyły. Dłoń drugiego intruza zacisnęła się na jej karku, sprawiając dotkliwy ból.

Poczuła pchnięcie i uderzyła głową we framugę. Drewno zatrzęszczało a może to była kość w jej czole? Nagle napastnik ją puścił i osunęła się na ziemię.

Mogła upłynąć minuta, ale i godzina, do czasu, gdy obudziły ją kolejne dźwięki. Czowała, że coś jest nie tak.

Gdzieś w pobliżu słyszała jakieś głosy. Ktoś wysuwał szuflady, opróżniał pudła, ktoś szedł po schodach i trząsał drzwiami. Ten ostatni dźwięk obudził w niej jakiś instynkt. Czowała, że musi jak najszybciej uciec.

Ale gdy starała się unieść głowę, ból - Boże, jaki straszny! - przeszył jej czoło, wywołując mdłości. Jęczała, czując nieprzyjemne ciągnięcie w łokciu i tępy ból biodra. Podłoga pod jej policzkiem była twarda i lepka.

Dezorientacja przerodziła się w panikę.

Dostrzegła pomarańczowe płomienie, choć nadal miała zamknięte oczy.

Zmusiła się, żeby je otworzyć, i zobaczyła korytarz w żółtawym świetle. Chwiał się i unosił tak, że dostała mdłości.

Nie mogła dłużej tam leżeć. Teraz już rozumiała: w gabinecie wybuchł pożar, ogień trawił papiery, rozrzucone po podłodze.

Drgnęła, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi i szuranie nogami. Czy napastnik wrócił, żeby znów ją skrzywdzić?

- Susan? - Wśród trzasku płomieni głos matki wydał jej się drżący i stary. - Susan!

Susan otworzyła oczy i w żółtej mgłę zobaczyła mamę, opartą na balkoniku. Mama coś mówiła, ale dźwięki nie chciały się ułożyć w żaden sens. Susan uniosła się lekko, próbując się bliżej przysunąć. Gdy zmieniała pozycję, poczuła, że zalewa ją czarna fala.

- Wstawaj! - rozkazała matka, tym razem bardzo stanowczo, jak w czasach, gdy Susan próbowała zakryć głowę kołdrą, zamiast wstać i iść do szkoły. Matka szturchnęła ją stopą.

Dźwięk syreny przed domem i kolejne szturchnięcie przekonały Susan, że nie będzie już spania.

Kilka chwil później rozległ się głos mężczyzny, wbiegającego do środka.

- Pani Maddox, jest tu pani? Maggie, słyszysz mnie?

- Hector ... - Matka zakasłała i po chwili mówiła dalej. - Hectorze, potrzebuję pomocy. Susan nie wstaje.

Hector Abbott? Mama wezwała szeryfa, żeby wyciągnął ją z łóżka?

Susan zasłoniła oczy ramieniem, gdy nad jej głową rozblęsnęło światło, a w korytarzu

odbijały się echem kroki szeryfa.

- Maggie, wyjdź na zewnątrz. - Hector także zaczął kasłać. - Postaram się ugasić ogień, a potem wyciągnę twoją córkę.

Przerażona jego tonem Susan spojrzała zza ramienia i zobaczyła go nad sobą, z gaśnicą w rękach. Powietrze było gęste od dymu.

Gdy matka nie wykonała polecenia szeryfa, Susan znalazła w sobie siłę, żeby się obrócić. Z trudem wstała, opierając się na dłoniach i kolanach.

Ból szarpał jej czoło. Aby nie zemdleć, skupiła się na syku gaśnicy i zapachu popiołu. Jęcząc, wstała na nogi. Matka, kaszląc, szarpała ją za łokieć.

Gdy tylko wstała, płuca się zbuntowały, a z oczu popłynęły łzy. Było tu więcej dymu niż przy podłodze. Ale ponieważ matka nie mogłaby wyczołgać się z domu, Susan tylko się pochyliła, zamiast posuwać się na czworakach.

Przy pierwszym kroku zachwiały się pod nią nogi, ale Hector Abbott mocno objął ją w pasie i podtrzymał.

- Idźcie, obie - nakazał i zdecydowanym ruchem zatrzęsął drzwi gabinetu. - Chyba opanowałem ogień, ale wciąż jest dużo dymu.

Nagle, szokująco wyraźnie, Susan przypomniała sobie kliknięcie pistoletu, które słyszała.

- Ci ludzie - wymamrotała, przerażona myślą, że intruzi wciąż mogli tu być i zastrzelić ją, mamę i szeryfa Abbotta.

- Wyszedł - zapewnił szeryf, popychając ją do przodu. - Kiedy tu podjeżdżałam, widziałem, jak wybiegał. Wezwałem pomoc przez radio, ale przypuszczam, że już dawno zniknął.

- Dwaj - powiedziała Susan, krztusząc się dymem. - Było ich dwóch. Idąc w stronę świeżego powietrza, zastanawiała się, czy jeszcze śni. Jak inaczej wytłumaczyć, że siwowłosy szeryf Abbott odegrał rolę bohatera, ratując nie tylko dom, ale prawdopodobnie także ich życie?

Coś jej mówiło, że dwaj mężczyźni czegoś się przestraszyli, zanim skończyli swoje zadanie. I że po znalezieniu tego, po co przyszli, zamierzali zabić ją i jej matkę.

Mimo że szeryf Hector Abbott przekazał przez radio, że ugasił ogień, członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej Clementine przejechali przez miasto na sygnale - niech ludzie nie śpią! - i wpadli do domu Susan. Skoro już wezwanie obudziło chłopców, musieli się zabawić.

Ochotnicy byli wściekli, że Hector wkroczył w ich kompetencje. To nic, że od ponad trzydziestu lat był szeryfem hrabstwa.

- Jak pan mógł wejść w ogień? - zapytał srogo kapitan Arturo Rivera. - Nie wie pan, że my jesteśmy do tego przeszkoleni? Nawet nie miał pan sprzętu!

Arturo był mężczyzną tak niskiego wzrostu, że mógłby zostać dżokejem, zamiast sprzedawać ubezpieczenia przy Prickly Pear Avenue. Mimo to podczas akcji zawsze wydawał się nieco wyższy, zwłaszcza swoim ochotnikom, których prowadził. Hectorowi to nie przeszkadzało, z wyjątkiem chwil, gdy Arturo czuł potrzebę pouczenia go.

Słyszając przekleństwa, Hector spojrział w stronę, skąd dobiegały. Susan krzyczała na ratowników, żeby nie kładli jej na nosze. Chcieli ją zanieść do karetki, która była już w drodze. Susan siedziała na podjeździe obok wozu policyjnego, przyciskając do głowy ręcznik, żeby zatamować krwawienie.

- Wszystko w porządku - upieniła się. I rzeczywiście, wyglądało na to, że nic jej się nie stało, nie licząc guza wielkości gęsiego jaja, który wyraźnie dostrzegł Hector. - Nie słyszycie?

Odmawiam leczenia. Podpiszę, co chcecie.

Najmłodszy syn Millerów, chłopak z trądzikiem na twarzy, który niedawno skończył szkołę średnią, z zapałem wyjaśniał jej ryzyko, związane z nieleczonym wstrząśnieniem mózgu. Hector chciał mu poradzić, żeby nie marnował śliny. Susan Maddox nie była kobietą, która potrzebuje mężczyzny do podejmowania za nią decyzji.

Zauważył, że bardzo często patrzyła na matkę, siedzącą na tylnym siedzeniu wozu policyjnego. Maggie wyglądała na zagubioną, jej bladą twarz oświetlały migające koguty wozu strażackiego. Hector pomyślał, że Susan martwiła się o starszą kobietę bardziej niż o siebie.

Chciał się zgłosić na ochotnika do opieki nad Maggie, ale Arturo nie skończył jeszcze wykładu.

- Wszyscy troje mogliście zginąć - mówił agent ubezpieczeniowy.

- Ale nie zginęliśmy - warknął Hector. - Dostałem wezwanie. Sąsiad wstał, żeby podkraść trochę ciasta, które upiekła żona. Wydawało mu się, że ktoś przebiegł z boku tego domu. Przyjechałem to sprawdzić i zobaczyłem uciekającego człowieka. Zostawił otwarte drzwi frontowe. Przez okno zobaczyłem coś, co wyglądało jak płomień. Wbiegłem więc do środka z gaśnicą. Słyszałem krzyki pani Dalton, która kazała Susan wstać. Co ty byś zrobił na moim miejscu, człowieku? Miałem je tam zostawić? Przecież ogień mógł się tylko rozprzestrzenić.

Arturo zignorował jego słowa.

- Stwierdziłem spore szkody, ale w większości niezwiązane z pożarem. Powyciągane szuflady, wszędzie pudła. To wygląda na kradzież, a może wandalizm.

- Teraz, kiedy ja wykonałem twoje zadanie, ty chcesz pracować za mnie? zapytał Hector, wciąż zirytowany, że Rivera nie pozwolił mu wejść z powrotem do domu. Arturo powiedział, że jego ludzie muszą sprawdzić, czy nic się nie tli w ścianach, bo ciśnienie z gaśnicy rozrzucało płonące papiery po całym gabinecie, i „przewietrzyć krzyżowo”, jak upierali się nazywać otwieranie okien. - Dymu chyba już nie ma. Zajrzę tam. Kiedy przyjedzie zastępca Forrester, przyślij go do środka.

- Nie wiem, czy tam jest bezpiecznie - zaczął Arturo, ale Hector już szedł w stronę domu.

Wewnątrz zastał widok, jaki opisał Rivera: pudła z urządzeniami kuchennymi i książkami, leżące bezładnie na podłodze, płyty kompaktowe stracone z półki, porozrzucone fotografie, które wyglądały tak, jakby ktoś grał nimi w karty - i wszędzie smród dymu oraz środka chemicznego z gaśnicy.

Niechcący zmiażdżył butem leżącą na ziemi żarówkę. Nagle usłyszał, że ktoś wszedł do domu.

- O Boże ... jak to wygląda ...

Odwrócił głowę i zobaczył Susan, stojącą w progu. Nad lewym oknem miała przyklejony kwadratowy kawałek gazy.

- Jak pani tu weszła? - zapytał, zaskoczony, że uciekła ochotnikom i zastępcy Forresterowi, który nie powinien jej wpuszczać.

- To przecież mój dom - powiedziała ze łzami w oczach. - Musiałam zobaczyć ... co tu zrobili.

Zmarszczył brwi, spodziewając się wybuchu płaczu, a może i ataku hysterii.

Dobrze znał jej upór, wiedział więc, że nie wyprowadzi jej z domu, dopóki wszystkiego nie zobaczy. Dlatego postanowił chodzić z nią po pomieszczeniach, obserwować jej reakcje i postarać się odtworzyć przebieg zdarzeń.

Wbrew jego przypuszczeniom, nie rozplakała się, tylko zakłęła, gdy mijali wejście do gabinetu. Nie zwracając uwagi na gęsty dym ani na wypaloną w okładzinie dziurę, pod którą leżała kupka popiołu, Susan wpatrywała się w kilka czerwono brązowych plamek na płycie tuż przy drzwiach.

Hector pomyślał, że z pewnością była to jej krew, ale obrysował ślady kredą. - Zrobimy badanie i porównamy z twoją krwią. Być może te ślady zostawił któryś z napastników. Nigdy nie wiadomo. Mogłaś go podrapać w czasie szarpaniny.

Gdy on rysował na podłodze, Susan odwróciła się, jakby ten widok był dla niej zbyt bolesny. Zanim szeryf zdążył wymyślić, co powiedzieć, minęła go i weszła do pomieszczenia, gdzie musiała się chyba znajdować jej sypialnia.

Po podłodze były rozrzucone poplątane ubrania, a materac został zdjęty z ramy łóżka. Susan minęła to wszystko i przyklękła obok swojej torebki, leżącej przy nocnej szafce. Podniosła portfel i wyjęła z niego dwie dwudziestodolarówki i jedną dziesięciodolarówkę oraz kilka banknotów jednodolarowych.

- Nie chodziło im o pieniądze. Proszę spojrzeć, zostały też karty kredytowe. W pokoju dziennym widziałam swój aparat fotograficzny.

Przerzuciła pasek torebki przez ramię i zajrzała do szkatułki z biżuterią, stojącej na toalecie.

- Dziwne - powiedziała. - Niczego nie brakuje.

Hector zauważył, że jej biżuterię stanowiło przede wszystkim srebro i turkusy, ale Susan podniosła dwa duże kolczyki z diamentami.

- Prezent na rocznicę ślubu - wyjaśniła. - Spodziewałabym się, że włamywacze zabraliby to i gotówkę.

- Czyli nie przyszli tu, żeby kraść - powiedział szeryf.

Podobało mu się, że opanowała zdenerwowanie i zaczęła myśleć logicznie. - Albo coś ich spłoszyło. Może słyszeli, jak nadjeżdżam, albo któryś z nich widział przez okno, jak szedłem w stronę domu.

Coś tu nie pasowało. Złodzieje na pewno przyjechaliby tu samochodem, żeby wynosić telewizory, magnetowidy i inne ciężkie przedmioty, a przecież szeryf widział mężczyznę uciekającego pieszo. Susan chyba się nie myliła: to włamanie nie miało motywu rabunkowego.

- A dzieciaki? Te, które pani uczyła? - zapytał. - Przychodzi pani do głowy ktoś, kto sprawiał kłopoty, a pani musiała go zdyscyplinować? Na pewno pani wie, że kilka miesięcy temu uczniowie zdemolowali nowy dom zastępcy dyrektora. Pisano o tym w lokalnej gazecie.

Pokręciła głową.

- Moi uczniowie ... moje dzieci nigdy by mnie nie skrzywdziły.

Wzruszył ramionami.

- Może pani zaskoczyła młodocianych włamywaczy. Pewnie sądzą, że już się pani wyprowadziła i dom jest pusty. Przerażone dzieciaki są zdolne do zachowań, w które nigdy nie uwierzyłyby ich matki. Widziałem wiele takich przypadków.

Rozglądając się z Susan po następnych pomieszczeniach, wyeliminował także tę wersję zdarzeń. Gdyby to dzieciaki poturbowały kobietę, prawdopodobnie wpadłyby w panikę i wybiegły z domu, zamiast przeszukiwać jej rzeczy. Wandale na pewno rozwaliliby wielki telewizor w pokoju dziennym, wyrzuciliby zawartość lodówki, może wytłukliby całą porcelanę i uciekliby, zabierając aparat fotograficzny. Tutaj wydarzyło się coś innego. Szeryf był bardzo zaniepokojony.

Wrócił z Susan do gabinetu, gdzie zniszczenia były największe. Zwęglona zawartość szuflad biurka i szafek zaśmiecała wyłożoną płytkami podłogę. Szafa także została przeszukana. Na ziemi leżały pudełka i lśniące płyty CD, a także te małe plastikowe prostokąty, które ludzie wkładają do komputerów.

- Czego szukali tu włamywacze? - zastanawiał się głośno Hector. Susan przez chwilę się wahała, a potem pokręciła głową.

- Jak po huraganie! Proszę złapać tych drani, żebym mogła im osobiście podziękować.

Czy mu się zdawało, czy starała się zmienić temat? Czy wiedziała albo zgadywała coś, czego nie chciała mu powiedzieć?

Zastanawiał się, czy nie wezwać Manuela Ramireza. Zapytałby zastępcę, czy nie zauważył nic dziwnego, gdy wieczorem przyjechał do matki Susan. Po chwili szeryf uznał, że lepiej tego nie robić. Nie dlatego, że nie chciał obudzić swojego pracownika, odpoczywającego po służbie. Hector Abbott obawiał się, że przyłapie Ramireza z Grace Morton, dwudziestodwuletnią strażniczką więzienną, żoną znanego z porywczosci właściciela baru. Lepiej nie rozpętywać piekła. Zwłaszcza że gdyby zwolnił Grace - której przełożony skarżył się na jej agresywność - ta wniosłaby skargę do Komisji Równych Szans, podnosząc krzyk, że jest dyskryminowana jako kobieta.

Przestał więc myśleć o Ramirezie i Grace Morton.

- Gdyby przyszło pani coś do głowy ... - powiedział do Susan. Szturchnęła stopą nadpalony segregator.

- Przejrzę te wszystkie rzeczy i zorientuję się, czy coś zginęło. Może zabrali stare formularze podatkowe lub hasła do kont, a nawet rachunki z numerami kart kredytowych? Teraz może będą chcieli mnie naprawdę okraść.

Hector podrapał się po włosach, myśląc o tym, co powiedziała.

- Możliwe, ale raczej nie wyobrażam sobie złodziei, którzy zostawiliby gotówkę, karty kredytowe i brylanty, żeby szperać w szafkach w gabinecie. Przecież takie papiery mogliby ukraść ze skrzynki pocztowej. Nie, to, co się tu stało, wygląda tak, jakby ktoś szukał czegoś konkretnego.

Susan zbladła. Szeryfowi wydawało się, że zadrżała jej ręka, gdy przytrzymała się framugi drzwi.

- To ten zapach - powiedziała, orientując się, że dziwnie na nią spojrział. Robi mi się słabo. Wyprowadził ją z domu i pomógł usiąść na zderzaku samochodu strażackiego.

- Proszę głęboko oddychać - poradził - i nigdzie stąd nie odchodzić. Musimy spisać pani zeznania.

- Przecież już mówiłam ... Uśmiechnął się.

- Ludzie w takiej sytuacji zawsze narzekają. Tłumaczę im, że musimy kilka razy pytać o to samo, bo z czasem przypomina się więcej szczegółów.

Susan jęknęła. Szeryf poszedł do Forrestera, żeby kazać mu zdjąć odciski palców i pobrać do analizy próbkę krwi z podłogi. Był to człowiek w starszym wieku i nie poruszał się zbyt szybko, ale wykazywał się zwykle bystrością, mógł więc zauważyć coś, co Hector przeoczył.

Może uda mu się wyjaśnić, dlaczego ktoś przeszukał ten sam gabinet, w którym Hector i jego zastępcy zbierali dowody w grudniu zeszłego roku. Było tak, jakby intruz przypuszczał, że znajdzie coś ważnego wśród rzeczy, które oni uznali za nieistotne. A może sprawca po prostu bardzo chciał odnaleźć zaginionego Briana? I był na tyle zdesperowany, by zaryzykować włamanie do zamieszkanego domu. Gdy właścicielka go przyłapała, próbował ją zabić.

Komu oprócz Susan tak bardzo zależało na znalezieniu Briana? Na pewno nie jego matce. Virginia Maddox kilkakrotnie dała Hectorowi do zrozumienia, że wolałaby, żeby jej syn nie wrócił, niż miałby stanąć przed sądem za swoje finansowe nadużycia. Brat, Luke, także chciał odnaleźć Briana, ale zdaniem Hectora był zbyt mądry, żeby plądrować gabinet. Zresztą szeryf wiedział, że gdyby Luke zaproponował Susan amatorskie śledztwo w tej sprawie, od razu by się zgodziła.

Hector Abbott wykluczył też producentów samochodów, sprzedawanych w salonie Maddoksów. Korporacja z Detroit bez trudu odbije sobie straty, spowodowane przez jednego nieuczciwego dilera. Ktoś, kto zdemolował gabinet, zrobił to chyba z powodów osobistych.

Szeryf pomyślał także o Halu Beecherze. Chociaż bankier nie zawracał mu głowy tak jak Susan, oświadczył jasno, że pragnie odzyskać żonę. W dodatku Brian Maddox ukradł mu pieniądze. Mimo to Hector nie wierzył w winę Hala. Podobnie jak Luke Maddox, Beecher po prostu poprosiłby o pozwolenie na przeszukanie gabinetu. A gdyby nawet posunął się do czegoś tak idiotycznego, to zrobiłby to raczej w pierwszych dniach, gdy szalał z bólu po zniknięciu żony.

Pozostawała jeszcze jedna możliwość, której Hector nie mógł wykluczyć: że wrócił sam Brian Maddox ...

Zorientował się, że zostawił coś w gabinecie. Coś, co musiał odzyskać za wszelką cenę, nawet gdyby trzeba było zamordować własną żonę.

## ROZDZIAŁ 7

Niebo, czerwone o świcie, teraz stało się jasnoniebieskie. Susan była bardzo zmęczona pytaniami. Ile razy miała mówić, że było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć rysy twarzy napastników, i że nie rozpoznała ich głosów? Ile razy musi powtórzyć, że nie wie, czego chcieli?

A jednak za każdym razem, gdy od nowa zeznawała, w myślach rodziła się wątpliwość, szybka jak błyskawica. Czy jeden z głosów naprawdę wydawał jej się znajomy, czy tylko nabrała takich podejrzeń z powodu niekończących się pytań szeryfa i jego podwładnego?

Gdy zastępca Forrester poprosił, żeby jeszcze raz opisała „wydarzenia”, zwróciła się do szeryfa Abbotta i zagrała atutową kartą.

- Muszę zawieźć mamę do jej mieszkania, żeby wypoczęła tam, gdzie będzie się czuła bezpieczna.

Rysy twarzy Hectora złagodniały, gdy zerknął na jej matkę, siedzącą w szlafroku na tylnym siedzeniu cruisera. Miała zamknięte oczy i pochyloną głowę. Potargane, siwiejące włosy opadły jej na ramiona, ale sen i poranne światło wygładziły zmarszczki na jej twarzy, przypominając, jak ładną kobietą była w młodości.

Hector skinął głową w stronę swojego zastępcy. Był to puciołowaty pięćdziesięciokilkulatek z brzuchem ubrany w przyciasną beżową mundurową koszulę.

- Wiemy już dość.

Forrester wrócił do swojego wozu.

- Pani także zanocuje w mieszkaniu mamy? - zapytał Hector.

- Nie ma mowy, żebym spała tutaj - oświadczyła Susan. - Przecież napastnicy są jeszcze na wolności. Chciałabym tylko wziąć parę rzeczy, jeśli pozwoli mi pan tam wejść.

- Tak. Skończyliśmy w środku, a strażacy zabrali spalone papiery z gabinetu. Proszę jednak uważać. Goście zostawili bałagan.

Ze smutkiem pomyślała o czekającym ją przykrym zajęciu. - Wrócę i posprzątam później.

- Najpierw proszę dobrze wypocząć - powiedział tonem dobrego dziadka, a nie szeryfa - i iść do lekarza, tak jak pani polecono. Bo inaczej będę musiał zadzwonić do pani starszej siostry, żeby tu przyjechała i zajęła się obiema paniami.

- Proszę tylko nie dzwonić do Carol! - warknęła Susan, zbyt późno dostrzegając uśmiech pod jego siwymi gęstymi wąsami.

Podrapał się po nich. Tak dobrze знаła ten gest, że od razu poczuła się swobodniej. Ale nagle przypomniała sobie z przerażeniem, że ten człowiek mógł zniszczyć lub ukryć dowody, zabrane z jej domu.

- Niech pani sama nie prowadzi samochodu - poradził. - Może po kogoś zadzwonię?

Natychmiast pomyślała o Luke'u; o tym, jak było jej przyjemnie, gdy przytulił ją poprzedniego wieczoru, i jak cudownie byłoby teraz, gdyby znowu ją objął.

Mogłoby się to też okazać bardzo niebezpieczne. Wiedziała, że gdyby przyjechał Luke, na pewno puściłyby jej nerwy, a przecież teraz musiała się opanować i trzeźwo myśleć jak nigdy. Zresztą wolała nie ryzykować. Szeryf mógł się domyślić, że we dwoje nie tylko oglądali dowody, ale i sprawdzali, jak prowadził śledztwo.

- Z głową już znacznie lepiej, tylko trochę boli - odparła ostrożnie. - Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Szeryf Abbott spojrział na nią przenikliwie. Przestraszyła się, że wie o twardym dysku, który znalazła. Czy wygadała się jej mama, Agnes albo może Roberta? A nawet jeśli nie



powiedziała mu tego żadna z nich, to czy ona powinna zrobić to teraz? Przecież bała się, że właśnie twardy dysk z informacjami był celem napastników.

- To nie zbrodnia - powiedział szeryf.

Była zaskoczona i jeszcze bardziej zmieszana.

- Co?

- Jeśli się kogoś potrzebuje.

Westchnęła, uśmiechając się cynicznie.

- Ja też tak kiedyś myślałam. Jeszcze osiem miesięcy temu.

Odwróciła się na pięcie i weszła do domu, chcąc zabrać potrzebne rzeczy i opanować nerwy. Idąc do swojej sypialni, zajrzała do gabinetu. Zadrżała na widok spalenizny na ścianie. Uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, żeby cały dom stanął w płomieniach.

Cofając się od drzwi, zerknęła na plamy krwi, starannie obrysowane kredą.

Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, jak tam leżała, bezbronna - i jaka byłaby bezsilna, gdyby napastnicy poszli do pokoju jej matki.

Czuła się tak, jakby świat zachwiał się w posadach. Walczyła z zawrotami głowy.

- Czego chcieliście, sukinyńy? - zapytała głośno. - Dlaczego przyszliście tutaj? I dlaczego właśnie wczoraj?

Dom, w którym mieszkała sześć lat, nie udzielił jej żadnej odpowiedzi. Pierwszą przerażającą wskazówkę znalazła w swoim czerwonym dziupie, do którego wsiadła piętnaście minut później.

Drzwi sypialni Luke'a otworzyły się gwałtownie.

- Na miłość boską! - wykrzyknęła matka zamiast powitania.

- Sto razy powtarzałam, żebyś nie pozwalał temu śmierdzącemu psu wchodzić na łóżko.

Zaklął, widząc komunikat na monitorze komputera.

- Luke! - Głos matki zabrzmiał ostro i karcąco. - Słyszałeś, co mówiłam? Ten pies ...

- Co? - Oderwał wzrok od monitora i spojrzał na Duke'a, rozciągniętego na nieposłanym łóżku. - Przepraszam. Zejdź, piesku. Nawet nie zauważyłem, że tu wszedł.

Ani że już skończyła się noc, dodał w myślach. Najwyraźniej był już ranek, sądząc po świetle, wpadającym przez wschodnie okno, i po kubku z parującą kawą w dłoni matki. Aromat był tak silny, że Luke miał ochotę wyrwać jej kubek i wypić jego zawartość.

Gruby czarny pies wstał, przeciągnął się, obrócił raz i położył w tym samym miejscu na rozkładanej, obitej dżinsiem sofie.

Virginia, już ubrana i gotowa do działania, upiła łyżeczek gorącej kawy.

- Całą noc bawiłeś się tą idiotyczną maszyną - zauważyła. - Złaź, Duke! Stary pies zeskoczył z sofy, poszedł w róg pokoju stękając dramatycznie, i próbował się wygodnie ułożyć.

- Ktoś musiał uruchomić ten komputer. - Dotknął płaskiego monitora i uśmiechnął się do matki, łagodząc przytyk: w ogóle nie interesowała się nowoczesnym pecetem, który podarował jej na gwiazdkę. Poświęcił wiele godzin na jego konfigurację i objaśnianie matce, jak za pomocą Internetu planować podróże, wyszukiwać powieści ulubionych pisarzy i badać genealogię. Gdy jednak po kilku miesiącach wrócił do domu, znalazł ten komputer w swoim pokoju, pokryty warstwą kurzu. - Poza tym wcale się nie bawię, tylko pracuję. Przecież ci mówiłem, że kiedy tu mieszkam, muszę się kontaktować z firmą. Do tego jest mi potrzebny twój komputer.

Całonocna praca nie miała nic wspólnego z firmą Spokój Ducha, ale Luke wolał, by matka

się nie domyśliła, że szukał czegoś w związku z Brianem. Zresztą tym nie musiał się przejmować: tak jak się spodziewał, gdy tylko wspomniał o swojej pracy, w oczach matki pojawił się gniew.

Zastanawiał się, czy zmieniłaby swój stosunek do niego, gdyby wiedziała, ile już zarobił na tej „zabawie”. Ale nigdy nie próbował w ten sposób zdobyć jej aprobaty, a już na pewno nie robiłby tego dziś, zmęczony i zniechęcony brakiem postępów.

Oczywiście natychmiast zmieniła temat.

- Zjadłbyś śniadanie? Dawno nie używałam gofrownicy.

Odczytał to jako propozycję zawarcia pokoju. Ucieszył się. Może z pełnym żołądkiem, kiedy wypije pół dzbanka kawy, wpadnie na nowe pomysły.

- Dzięki, byłoby świetnie. Wskoczę tylko pod prysznic i zaraz przyjdę do kuchni.

Myjąc się i goląc, rozmyślał o swoich próbach uruchomienia zepsutego dysku. Był specjalistą w dziedzinie zabezpieczania danych, nie ich odzyskiwania, ale znał pewne sztuczki, które często pomogły mu w przeszłości. Przypuszczał, że głowice dysku przylgnęły do obudowy, wypróbował więc stare, sprawdzone metody: stukanie gumowym młotkiem i zrzucanie urządzenia z małej wysokości na blat. Włożył nawet to cholerstwo do plastikowej torebki i przez kilka godzin chłodził w zamrażalniku. W tym czasie zdrzemnął się w fotelu. Jednak za każdym razem, gdy podłączał dysk do portu w komputerze mamy, urządzenie odmawiało współpracy.

Później szukał w Internecie identycznego twardego dysku, żeby wymienić kontroler, a nawet, gdyby było to absolutnie konieczne, silnik. Nie było to łatwe zadanie, bo tego modelu nie produkowano już co najmniej od trzech lat. Wreszcie na nocnym czacie miłośników techniki namierzył faceta, który twierdził, że ma taki dysk. Teksańczyk, mieszkający teraz w Boise, obiecał że natychmiast prześle go Luke'owi, jeśli on w zamian wyśle mu potrawę z grillu ze sławnego lokalu w Austin.

Chociaż Luke już dotrzymał swojej części umowy, postanowił jeszcze przeprowadzić próbę z lodówką. Kolejna metoda zawiodła. To go nie zdziwiło. Czuł, że cokolwiek zrobi, nie uda mu się odzyskać żadnych danych.

Nigdy nie lubił się poddawać, ale ta porażka okazała się bardziej dotkliwa niż wszystkie poprzednie. Może dlatego, że pamiętał twarz Susan i nadzieję, lśniąca w jej niebieskich oczach, okolonych długimi rzęsami.

Czy mógłby znów zawieść jej zaufanie?

Wytarł się, po czym włożył czyste dżinsy i prosty, czarny T - shirt. Nie zwracając uwagi na dzwonek telefonu - na pewno ktoś dzwonił do matki - spokojnie uczesał swoje ciemne włosy. Trzeba się ostrzyć, pomyślał, i szybko poszedł do kuchni, bo poczuł zapach spalenizny.

Matka stała przy zlewie, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, a z gofrownicy wydobywały się ciemne kłęby dymu. Luke wyciągnął wtyczkę z gniazdka i otworzył okno. Na szczęście nie włączył się jeszcze alarm przeciwpożarowy. - Ale stoi? - pytała matka dzwoniącego.

Luke nie zamierzał podsłuchiwać, ale znieruchomiał, słysząc niepokój w jej głosie.

- Nie byłabym zdziwiona - powiedziała po krótkiej przerwie - gdyby sama to zrobiła, skoro nie może go mieć.

Serce zabiło mu szybciej, bo był przekonany, że matka mówiła o Susan. O kim innym wyrażałaby się z tak jawną wrogością?

Chciał zwrócić na siebie jej uwagę i po cichu zadać pytanie.

- Hm ... - mruknęła matka, zanim zdążył to zrobić. - Jak ciężko mogła zostać ranna, jeśli

odmówiła wyjazdu do szpitala? Nie wiem ...

- Co się stało? - wybuchnął Luke. - Co?

Zasłoniła słuchawkę dłonią.

- Luke, twoje maniery są całkowicie ...

Nie dałby się zbyć w ten sposób. Chyba było to widać po jego minie, bo szybko skinęła głową i zakończyła rozmowę telefoniczną.

Rozłączyła się i, marszcząc brwi, spojrzała na dymiącą gofrownicę.

- Dzwoniła Jessie Miller. Jej najmłodszy syn, Ray, pomaga w ochotniczej straży pożarnej, kiedy tylko przyjeżdża na ferie z uczelni. Bardzo go to wciągnęło. Jessie boi się, że on rzuci naukę i ...

Luke ponaglił ją zniecierpliwionym gestem.

- Doszłabym do tego - powiedziała matka. - W nocy w domu Briana wybuchł pożar. Ray mówi, że to nic poważnego. Hector Abbott ugasił ogień gaśnicą, zanim płomienie się rozprzestrzeniły.

- A Susan? Ona została ranna czy jej matka?

Virginia wzięła do ręki kubek z kawą.

- Nic im nie jest. Ta Dalton uderzyła się w głowę. Mówi, że ktoś ją zaatakował i że cały dom został zdemolowany. Ale nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek z Clementine ...

- Ktoś się do nich włamał? - zapytał Luke, zapominając o zmęczeniu. Intruz zdemolował dom i podłożył ogień.

- Ona tak mówi, ale czy ty nic nie rozumiesz? To może być sztuczka, żeby wzbudzić współczucie. Myśli, że w ten sposób zachowa dom i pracę. Co robisz? - Jadę do niej - powiedział, nalewając kawy do srebrnego podróżnego kubka. - Dowiem się, czy ona i jej mama czegoś potrzebują. Mogę pomóc w sprzątaniu ...

- Nie ma ich w domu. Pojechały do mieszkania jej matki. Pamiętasz, gdzie to jest. Stary, biały dom przy ulicy Mirage.

Skinął głową.

- Dobrze. Czyli wiem, gdzie je znaleźć. Z żalem zerknęła na gofrownicę.

- A śniadanie?

Wcisnął pokrywkę na kubek.

- Nie zjem, ale bardzo ci dziękuję.

Przed wyjściem z domu pobiegł do sypialni, żeby odłączyć twardy dysk od komputera matki. Pomyślał, że ktoś, kto przewrócił dom Susan do góry nogami, czegoś tam szukał. Chociaż wątpił, żeby komukolwiek zależało na zepsutej części komputerowej, wolał nie zostawiać dysku.

Już wychodził, gdy stanęła przy nim matka.

- Luke? - zapytała dziwnie niepewnym głosem. Obrócił się w jej stronę.

- Czy ty ... - Wyprostowała plecy i dumnie uniosła podbródek. - Czy ty nie wiesz, co to lojalność?

Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek.

- Tak - odpowiedział. - Właśnie się przekonuję, że wiem. Odwrócił się i wyszedł, starając się nie trzasnąć drzwiami.

## ROZDZIAŁ 8

Obrózka była zawieszona na dźwigni kierunkowskazu. To właśnie znalazła Susan, gdy wsiadła do swojego dżipa.

Chociaż ze zmęczenia mąciło jej się w oczach, przez łyzy długo wpatrywała się w niebieski skórzany pasek. Wielkie nieba, jaki łąj dak bez serca mógłby ...

- Susan? - zapytała matka. - Wszystko w porządku?

Patrząc na bladą twarz mamy, Susan postanowiła jej nie mówić, że drapieźnik, który porwał Peavy'ego, mógł być człowiekiem. Powie dopiero wtedy, gdy będzie musiała albo przynajmniej kiedy mama porządnie się wyśpi w swoim łóżku. Zdaży jeszcze porozmawiać z nią i z szeryfem o tym, co znalazła.

- Będzie dobrze - obiecała ze ściśniętym gardłem.

Szybkim ruchem zsunęła obrózkę z dźwigni kierunkowskazu i schowała ją pod siedzeniem. Przyczepione do obroży numerki zadźwięczały, ale mama chyba nie zwróciła na to uwagi.

Susan wcale nie miała ochoty wyjmować obroży ani zastanawiać się, kto mógł ją zostawić w samochodzie i co to oznaczało dla Peavy'ego. Podobnie jak wszystkie inne nieszczęścia, które ją spotykały, i to wydawało się nierealne. Jak scena z koszmaru, którym ostatnio stało się jej życie.

Zaczęły jej drżeć dłonie na kierownicy. Zmusiła się, żeby myśleć o tym, co tu i teraz: o jeździe dżipem przez miasto, o mamie na siedzeniu pasażera i o jasnym świetle, płynącym z bezchmurnego nieba. Dziś musiała tylko ułożyć mamę do snu, a potem wziąć ciepłą kąpiel, żeby zmyć zapach dymu i zaschniętą krew.

Dam radę, powiedziała sobie. Gdy dotarła do ulicy Mirage, drzenie rąk ustąpiło.

Czekała już na nie Roberta, miała twarz jeszcze bardziej zarumienioną niż zwykle. Susan wjechała na miejsce parkingowe przed dużym, wiktoriańskim budynkiem, który niejaki pan Littleton i jego dwaj synowie piętnaście lat temu przerobili na kamienicę z mieszkaniami do wynajęcia.

Roberta, owdowiała przed czterema laty, mieszkała dwa domy dalej, w niebieskim budynku, który pamiętał lepsze dni. Podobnie jak kilka innych budynków w mieście, dom Roberty był pozostałością po czasach, gdy ranczerzy dobrze zarabiali i na stare lata, kiedy przekazali gospodarstwo synowi, przenieśli się do miasta. Maggie Dalton często mówiła ze smutkiem, że w Clementine nikt już nie pamięta lat, gdy hodowcom bydła, dobrze się powodziło. Teraz ranczerzy ledwo wiązali koniec z końcem. Hodowali egzotyczne zwierzęta, sprzedawali pozwolenia na polowania, a nawet przyjmowali bogatych „faciów” z miasta, żeby za pieniądze mogli popracować na prawdziwej farmie.

- Wszystko w porządku? - zapytała Roberta, pomagając Maggie wysiąść z dżipa. - Helen Rivera, żona komendanta, powiedziała mi o pożarze przez telefon.

Roberta uściskała matkę Susan, która od razu trochę się rozchmurzyła. Sądząc po tym, jak rozbłysły jej oczy na widok drzwi mieszkania, bardzo się ucieszyła, że wreszcie wraca do siebie.

- My ... poradzimy sobie - powiedziała Maggie upartym, choć drżącym głosem. - Przecież pochodzimy z rodziny Daltonów.

Roberta na pewno zawiadomiła Agnes, bo kilka minut później otyła kobieta wysiadła ze swojego buicka. Jej obfity biust podskakiwał przy każdym szybkim kroku.

Agnes spojrzała na twarz Susan.

- Wielki Boże! Ależ ty wyglądasz z tym Wezuwiuszem na czole!

- Zawsze umiałaś powiedzieć coś miłego - odparła Susan.

- Zapomniałaś zamknąć drzwi na klucz? Nie oglądasz wiadomości? Szaleńcy są wszędzie!  
Susan odwróciła się, bo nie była w nastroju do sprzeczki.

Zanim zdążyła pomyśleć, że szaleniec to nieodpowiednie określenie, Roberta wzięła ją za rękę. - Moje biedactwo - zagruchała. - Przyłożymy lód i opowiesz nam, co się właściwie stało.

Susan zbyła kobiety gestem. Zajęły się więc Maggie, która była zbyt zmęczona, żeby protestować. Zanim Susan wzięła długą kąpiel i wyszła z łazienki ubrana w czyste szorty i T-shirt z nadrukiem Wielkiego Kanionu, Agnes i Roberta zrobiły już mamie herbatę, pomogły jej włożyć koszulę nocną i położyły ją do świeżo pościelonego łóżka. Siedziały teraz w jej pokoju i ściszymi głosami omawiały wydarzenia nocy. Susan pomyślała, że powinna zadzwonić do Carol, zanim zrobi to któraś z koleżanek siostry.

Odwlekała tę chwilę. Sączyła herbatę, która zdążyła już trochę wystygnąć, gdy ona przez kilka minut przykładała do czoła torebkę z lodem. Ból ustępował. Żałowała, że nie da się tak łatwo uspokoić emocji ... szkoda, że nie można przyłożyć woreczka z lodem do serca.

Siedząc przy dębowym stoliku ze słuchawką w ręku, pomyślała, że jej mama ma wielkie szczęście, że przyjaźni się z Robertą. Przyjaciółka miała klucze i od czasu do czasu sprzątała mieszkanie. Dzięki niej na meblach nie było teraz ani pyłka.

Susan chciałaby, żeby jej przyjaciele byli tak lojalni. Odetchnęła głęboko, wybrała numer telefonu komórkowego swojej starszej siostry i przekazała okrojoną wersję zdarzeń.

Od krzyków Carol rozbolała ją głowa.

- Ktoś próbował cię zabić! - wrzeszczała Carol w słuchawkę.

- Mógł też zrobić krzywdę mamie!

Nie było wątpliwości, że ta druga sprawa była dla niej ważniejsza. Susan pomyślała, że z dziecięcej rywalizacji po prostu się nie wyrasta.

Jak mogła przewidzieć, Carol zaraz zaczęła sugerować, że powodem tego nieszczęścia były „okropne” kłopoty Susan.

- Odkąd Brian cię rzucił ... - jak zwykle powiedziała to tonem, niepozostawiającym wątpliwości, że to Susan zrobiła coś złego i dlatego mąż ją opuścił. Carol zawsze uważała Briana za świetną partię, kogoś zbyt dobrego dla jej młodszej siostry. - Masz coraz więcej problemów! A teraz odbijają się na zdrowiu mamy. Nabrałam co do tego pewności, kiedy rozmawiałam z nią tamtego wieczoru, więc ...

- Doniosłaś na mnie do szeryfa, bo pojechałam po koktajle - dopowiedziała Susan.

- Skąd miałam wiedzieć? Mama dziwnie mówiła. Nie potrafiła zebrać myśli...

- Oglądała telewizję, to wszystko - poinformowała ją Susan.

- Mówiłam ci, jak bardzo wciągają ją te programy. Naprawdę nie jest w złym stanie. Bez obawy mogę ją zostawić na dwadzieścia minut.

- Czyli zrobiłabyś to i teraz? Mimo że ktoś włamał się do domu L.

- Już jej nie zostawię. Roberta mieszka bardzo blisko, Agnes i jej mąż też.

Jeśli będę musiała wyjść, zawiadomię kogoś z nich.

- Przywieź ją tutaj - błagała Carol. - James i ja z radością zapewnimy jej potrzebne leczenie. Mamy pieniądze, żeby w razie czego wynająć opiekunkę.

Susan skrzywiła się, gdy Carol wspomniała o swoim nadętym mężu, inżynierze, który zarabiał mnóstwo forsy i bardzo się tym przechwalał. Siostra Susan i mężczyzna, za którym pojechała aż do Kalifornii, stwierdzili, że nie czuliby się „wygodnie” - cokolwiek to miało

znaczyć - płacąc za rehabilitację Maggie, gdy lekarz z ubezpieczalni stwierdził, że już nie przysługuje jej darmowe świadczenie. Natomiast Brian od razu zgłosił się na ochotnika do pomocy, ale niedługo potem uciekł z miasta z całą forszą, jaką tylko mógł znaleźć.

Susan w myślach przystawiła zapaloną zapałkę do krocza laleczki voodoo, przedstawiającej męża.

- Sama mogę zająć się mamą ... - zaczęła, ale siostra nie słuchała.

- Albo po nią przyjadę. - W głosie Carol brzmiała szczerza rozpacz. - Musi przy mnie być, żebym mogła spać spokojnie. Proszę!

Susan zwalczyła impuls, który kazał jej się nie zgodzić. Zagryzła wargę.

Czy zdoła ustrzec mamę przed człowiekiem, który nocą zakradł się do jej domu, przed draniem, który porwał, a może i zabił jej pieska? Wiedziała też, że najprawdopodobniej straci pracę - jeśli w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie wydarzy się coś bardzo ważnego.

Czy powinna narażać życie mamy - i denerwować siostrę - z powodu dumy, uporu i dawnych zatargów?

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała po chwili. - Muszę trochę odpocząć i zebrać myśli. Obiecuję, że się nad tym zastanowię.

- Tak? - Carol nie spodziewała się ustępstwa.

- Jeśli mówiłaś szczerze i nie był to tylko argument w kłótni.

- Oczywiście, że nie, Susan. Ja tylko ... na pewno dobrze się czujesz? Może jednak powinnaś zrobić prześwietlenie?

Susan zapewniła ją, że wszystko jest w porządku, i skończyła rozmowę. Pomyślała, że jest chyba okropną siostrą, skoro Carol, słysząc, że się zgadza, natychmiast podejrzewa ją o zaburzenia psychiczne po wypadku.

Parkując pikapa na ulicy Mirage, Luke zobaczył Susan. Wyciągała coś ze swojego czerwonego dzipa. Śpiwór i mała walizka już leżały na chodniku. Schował kluczyki do kieszeni i podbiegł do niej.

- Trzeba było do mnie zadzwonić! - Te słowa wyrwały mu się same. - Ktoś z rodziny powinien przy was być.

Gdy zwróciła ku niemu głowę, spojrzał z przerażeniem na guz nad jej lewym okiem.

- Z rodziny - powtórzyła, ale to do niego nie dotarło. Przyglądał się ciemnofioletowemu siniakowi i rozcięciu. Skóra obok rany była śmiertelnie biała.

Pomyślał ze zgrozą, że człowiek, który to zrobił, mógł ją nawet zabić.

Gdy sobie to uświadomił, nogi się pod nim ugięły.

Bezwiednie sięgnął ręką do jej twarzy.

- Susan ...

Odskoczyła, jakby się bała, że dotknie bolącego miejsca. Zauważył, że w prawej dłoni ściska jakiś mały przedmiot.

- Jak mogę ci pomóc? - Przysiągł sobie, że zrobi wszystko, o co go poprosi, nawet zamorduje drania, który śmiał ją skrzywdzić. Trząsł się z wściekłości. Dawno się tak nie czuł.

- Możesz ... możesz ... O Boże ... - Głos jej się załamał.

Upuściła na jego wyciągniętą rękę przedmiot, który trzymała. Coś zadźwięczało. - Weź to. Proszę.

Spojrzał na niebieski pasek, z początku nie rozumiejąc. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to obroża Peavy'ego.

Odetchnął głęboko, próbując zebrać myśli. Wiedział, że zamiast się wściekać, powinien ją

uspokoić.

- Spójrz! - nakazała. - Z początku też nie zauważyłam. Myślałam, że brzęczą numerki, ale ... Zachwiała się na nogach. Upadłaby, gdyby nie podtrzymał jej ramieniem.

- Susan - powiedział. - Chodźmy do domu. Usiądziesz.

Opadła na niego i zarzuciła mu ręce na ramiona. Objął ją mocno.

- Obrączka... - szepnęła mu do ucha. - Spójrz na nią... obrączka.

Nie chciał wypuszczać jej z ramion nawet na chwilę. Ale gdy usłyszał jej słowa, włoski zjeżyły mu się na karku.

Zobaczył szeroką złotą obrączkę, wsuniętą na obrożę między numerkami.

Wciąż podtrzymując Susan, popatrzył na trzy diamenty - te, których błysk tak często widział na palcu brata.

Odruchowo zacisnął dłoń na obrączce.

- To Briana?

Odsunęła się od niego. Chyba opanowała ogarniający ją strach.

- Tak - powiedziała, kiwając głową.

- Ale gdzie? Jak?

- W środku - powiedziała i sięgnęła po torbę. Był szybszy.

- Ja to wezmę.

Nie zaprotestowała, gdy podniósł jej bagaże i podszedł do swojego pikapa, żeby wziąć uszkodzony twardy dysk. Gdyby choć przez chwilę sądził, że mu na to pozwoli, wziąłby ją na ręce i zaniósł do środka.

Zaprowadziła go do mieszkania Maggie na pierwszym piętrze. Było małe, ale schludne i przytulne, ładnie urządzone, mimo że dosłownie wszędzie były rozłożone koronkowe serwetki. Jedna leżała nawet pod monitorem starego komputera, stojącego na lekkim stoliku w rogu salonu. Zamontowany w oknie klimatyzator z szelestem chłodził wnętrze.

Luke zerknął na drzwi w korytarzu, które przed chwilą zamknęła Susan.

- Pokój mamy - wyjaśniła. - Maggie właśnie zasnęła. Dzięki Bogu, przyjaciółki już poszły. Dłużej bym tego nie wytrzymała.

Spojrzał na nią pytająco.

Chyba zrozumiała jego spojrzenie.

- Z powodu twojej mamy i brata Maddoksowie nie są teraz zbyt lubiani. Pewnie masz dość tego, że wszyscy gadają o sprawach twojej rodziny.

- Po jakimś czasie można przywyknąć - powiedział. On sam się nie przyzwyczaił, ale przypuszczał, że jednak jest to możliwe.

Susan minęła niebieski fotel i usiadła na wyściełanej sofie w staromodny, kwiecisty wzór. On także usiadł. Ich kolana się dotknęły. Ucieszył się, gdy udała, że tego nie zauważa. Może potrzebowała cielesnego kontaktu. A może, tak jak on, poczuła przeskakującą iskrę, to groźne, trudne do zwalczania przyciąganie.

Rozpiął niebieską obrożę i zsunął z niej złoty krążek. Nie sądził, że jeszcze kiedyś zobaczy ślubną obrączkę brata.

- Gdzie to znalazłaś?

- Obroża wisiała w dziupie, znalazłam ją rano. Ktoś ją tam podrzucił, ale nie wiem, kiedy. W nocy, po wybuchu pożaru, koło domu kręciło się mnóstwo ludzi.

Gdy próbował jej oddać obrączkę, pokręciła głową. - Nie, nie chcę ... nie mogę ... nie dotknę jej.

Rozumiał to uczucie. Położył obrożę i obrączkę na stoliku. - Słyszałem o włamaniu.

Skinęła głową. W jej dużych niebieskich oczach pojawiły się łzy.

- Włamywaczy było przynajmniej dwóch. Usłyszałam hałasy, a kiedy wyszłam z sypialni... O mój Boże ... Czy to mógł być Brian? Czy to on zostawił swoją obrączkę? A co z biednym Peavym?

Starając się nie myśleć o tym, co mogło się stać z pieskiem, Luke ujął dłonie Susan. Wydawały się lodowate, choć w mieszkaniu było ciepło. Wyczuwał nabrzmiałe żyłki. Obawiał się, że Susan zaraz straci panowanie nad sobą.

- Wszystko po kolei - powiedział, gładząc kciukiem grzbiet jej dłoni. Uważał, że zadając łatwe pytania, pomoże jej wziąć się w garść. - Nie znalazłaś psa, tylko obrożę?

Znów skinęła głową.

- Myślisz, że ktoś go za ...

- Skupmy się na tym, co wiemy na pewno. Ktoś podszedł na tyle blisko, żeby zdjąć mu obrożę. Tylko tyle możemy powiedzieć.

Usłyszał jej westchnienie.

- Dobrze.

- Ktokolwiek to był, miał obrączkę Briana albo jakąś bardzo podobną.

- Jego. Przyjrzyj się.

Obracając obrączkę, Luke spojrzał na wygrawerowaną wewnątrz datę ślubu Briana i Susan. Westchnął, przypominając sobie, że nadal są małżeństwem.

- Masz rację - przyznał. - Brian mógł zgubić obrączkę, zanim stąd uciekł, albo może ją gdzieś zastawił... Nie sądzę, żeby to on wrócił.

Choć jego brat wyrządził wiele zła, Luke nie wyobrażał sobie, żeby mógł kogoś skrzywdzić fizycznie - nawet psa, którego kiedyś uratował przed śmiertelnościami zastrzykiem w schronisku. Ale gdyby Luke się mylił i gdyby Brian z jakiegoś powodu próbował zabić Susan, to czy byłby aż tak szalony, żeby dręczyć ją, zostawiając obrożę i obrączkę w dziupie? Nie, pomyślał Luke. Może oszukiwał się jak matka, ale bardzo chciał wierzyć, że za tymi okropnościami stał ktoś inny.

- Rozpoznałabym go. - Susan kiwnęła głową, jakby dopiero teraz to do niej dotarło. - Nawet w ciemności. Słyszałam przecież głosy. Jego na pewno bym poznała.

Luke położył obrożę i obrączkę na stoliku obok pudełka z twardym dyskiem.

- Czy któryś z tych głosów wydał ci się znajomy?

- Ja ... nie wiem. Myślałam ... - Pokręciła głową. - Byłam przerażona i oszołomiona, wszystko działo się tak szybko ... Zanim się zorientowałam w sytuacji, ktoś chwycił mnie za szyję i uderzył głową o framugę drzwi.

Patrząc na ranę na jej czole, Luke wyobraził sobie straszną scenę: Susan leżąca na podłodze, w kałuży krwi, pochyleni nad nią dwaj mężczyźni ... Znów poczuł wielką złość na drani, którzy to zrobili. Złość, ale i strach.

- Czy oni ... zrobili coś jeszcze? - wykrztusił chrapliwym głosem. - Czy ci dranie ...

- Nie, Luke, nie. - Była zaskoczona gwałtownością jego reakcji. - Nie próbowali mnie zgwałcić. Kiedy upadłam, wrócili do gabinetu. Nic mi nie będzie.

- Skąd wiesz? Byłaś u lekarza?

Z irytacją zacisnęła usta.

- Powiedziałaś, że wszystko w porządku.

- A jak się czuje twoja matka?



- Nie została ranna. Jest tylko trochę roztrzęsiona. Nie pokazałam jej tych rzeczy ... - Susan wskazała obrączkę i obrozę.

- Tylko ty je widziałeś. - Nic nie mówiłaś szeryfowi? Zmarszczyła brwi.

- Chciałam, kiedy już trochę odpocznę. Ale teraz się zastanawiam. Czy te przedmioty też znikną, jak wszystko przedtem? I jak to będzie wyglądało, jeśli nagle przyniosę obrączkę Briana? Może Hector Abbott ma gdzieś tę całą sprawę, ale Manuel Ramirez wciąż mnie podejrzewa ..

Przypominając sobie zachowanie zastępcy szeryfa, Luke kiwnął głową.

- Chyba masz rację. Pomyśl jednak, jak to będzie wyglądało, jeśli ich nie zawiadomisz, a oni znajdą te rzeczy przy tobie.

Zamknęła oczy i odchyliła się w tył, milcząc. Ciągłe gładził kciukiem jej dłoń. Chciał przerwać, ale nie mógł. Jakiś impuls kazał mu ją przytulić, pocieszyć jak dziecko, które właśnie obudziło się z koszmarne snu.

Nie byłaby z tego zadowolona, pomyślał. Co gorsza, wiedział, że proste pieszczoty pociągnęłyby za sobą inne, o wiele mniej niewinne formy pocieszenia.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego uważnie. Był pewien, że odczytała jego myśli. Wyrwała rękę i odsunęła kolana od jego kolan.

- Słusznie. Później zadzwonię do szeryfa i powiem mu, co znalazłam w dziupie. Nieważne, co zrobi z tymi rzeczami. Po prostu nie chcę już na nie patrzeć.

Wzięła kilka jednorazowych chusteczek z pudełka stojącego na stoliku i wytarła nimi obrączkę, a potem włożyła ją do kieszeni szortów.

Wskazała na twardego dyska w pudełku.

- Znalazłeś coś?

Pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale ...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Susan wstała, marszcząc brwi.

- Może to właśnie szeryf - powiedziała. - Nie wyobrażam sobie, kto inny ... Luke wsunął twardego dyska pod sofę, a Susan otworzyła drzwi.

- Marcus? - powiedziała na widok wysokiego chłopca, uśmiechającego się do niej spod brudnej grzywki, opadającej na oczy. Trudno było odgadnąć, jaki był naturalny kolor jego włosów pod czarnymi i złotymi pasemkami, efektem niejednego farbowania, ale przynajmniej grzywka odwracała uwagę od brzydkich krost na twarzy.

- Pani Maddox, niech pani zobaczy, co znaleźliśmy! - zawołał wesoło.

- Peavy! - wykrzyknęła z radością Susan. Minęła Marcusa i podeszła do niższego chłopca, stojącego tuż obok. Chłopak patrzył w podłogę. W rękach trzymał pieska, który zaczął się szarpać na widok swojej pani.

- Właściwie to znalazł go Jimmy - uściślił Marcus. - Ale to ja go rozpoznałem. Jego zdjęcie stało na pani biurku. I to ja się domyśliłem, gdzie pani jest, kiedy zobaczyliśmy na drzwiach domu napis: „Nie wchodzić”. Co się stało? Wygląda pani jak po wypadku.

Patrząc na nią, dotknął swojego czoła.

Ignorując pytanie, wzięła wijącego się pieska z rąk Jimmy'ego. Chłopak z początku wydawał się Luke'owi, stojącemu za Susan, niższy od kolegi. Po chwili dostrzegł jednak, że Jimmy bardzo się garbi i jest wyraźnie przygnębiony. Nic dziwnego. Niedawno chyba ktoś ogolił mu głowę, uszkadzając skórę w kilku miejscach. Pozostało zaledwie kilka milimetrów ciemnobrązowych włosów. Jimmy miał na sobie wyraźnie za ciasne ubranie. Luke wiedział,

że nastolatki wolą nosić zbyt duże dzinsy i T - shirty.

Jimmy zerknął na twarz Susan, którą właśnie lizał piesek, a potem odwrócił wzrok, jakby ze strachu. Albo jakby bardzo się w niej kochał.

Luke dobrze go rozumiał. Dotarło do niego, że on też znalazł się w fatalnej sytuacji: zakochał się w żonie własnego brata.

Ale najpierw była moja, pomyślał wbrew sobie, zapominając, jak to wszystko skończyło się przed laty.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Susan do chłopaków. - Dziękuję wam obu. Bałam się o niego. Gdzie go znalazłeś, Jimmy?

- Na dworze. - Chłopiec odchrząknął, nie podnosząc wzroku.

- Kiedy łąziłem w pobliżu swojego domu. Wie pani, na Rocky Rim.

- Na Rocky Rim? - powtórzył Luke. Przypominał sobie, że było tam opuszczone osiedle. Jeśli Jimmy mieszkał w tej dziurze, to wyjaśniałoby, dlaczego tak niedbale wygląda i ma zniszczone buty. - Ale to co najmniej osiem kilometrów od domu Su ... pani Maddox. Peavy nie doszedłby tam sam.

Marcus podniósł wzrok. Zacisnął usta.

- Co pan mówi? My go nie wzięliśmy. Gdyby pan coś o nas wiedział...

Luke podniósł rękę, chcąc uspokoić chłopca.

- Nie powiedziałem, że któryś z was go tam zabrał. Tylko że ktoś musiał to zrobić. - Patrząc na Susan, dodał: - Pewnie ta sama osoba, która się do ciebie włamała.

- Ktoś się włamał do pani domu? - wtrącił się Jimmy, ośmielając się spojrzeć na nią. - Proszę nam powiedzieć, kto, a my ...

- Kiedy tylko się dowiem, od razu was poinformuję - obiecała Susan. - To jest mój szwagier, Luke Maddox. Pomaga mi. Luke, poznaj Marcusa Bingham i Jimmy'ego Archera. Są świetni z biologii, kiedy tylko pamiętają, żeby przyjść na lekcję.

Marcus uśmiechnął się przepaszająco, a Jimmy wzruszył ramionami. Obaj byli zaskoczeni, gdy Luke po kolei podał im rękę.

- Zawsze przychodzimy na wycieczki - przypomniał Marcus Susan.

- Za działalność w klubie ekologicznym nie ma stopni - zauważyła. - Podobno wpadacie do szkoły także na lunch.

- I na zajęcia techniczne w warsztacie samochodowym - dodał Marcus. - Razem naprawiamy moją starą brykę. .

- Wejdźcie do środka - zaprosiła Susan. - Chcę coś pokazać Jimmy'emu. Zajmując swoje miejsce na sofie, Luke zauważył, że Marcus wszedł energicznie i usiadł na jedynym fotelu.

Natomiast Jimmy zrobił tylko krok, żeby Susan mogła za nim zamknąć drzwi. Luke zobaczył, że chłopak ma zabandażowaną prawą rękę.

Peavy, którego Susan wciąż trzymała na rękach, przestał merdać ogonkiem, wyszczerzył zęby na Jimmy'ego i rozszczękał się na dobre.

- Cicho, mały niewdzięczniku! - skarciła go Susan, nie przestając gładzić beżowego futerka. - Zaniosę go do pokoju i dam mu wodę i chrupki. Lepiej, żeby nie obudził mamy.

Po powrocie wzięła swoją torebkę z kuchennego blatu i wyjęła z niej kopertę. Uśmiechnęła się do Jimmy'ego.

- Wejdź dalej, usiądź z nami.

Zerknął na nią. Po kilku chwilach wahania wszedł do salonu i odsunął krzesło od stołu. Opierając się na nim jedną dłonią, stał i czekał, dopóki Susan nie przyniesie mu koperty.

- Rozpoznasz ten adres? - zapytała.

Sądząc z jej skupionego spojrzenia, bardzo jej zależało na odpowiedzi chłopca. Miała już tyle problemów, Luke zastanawiał się, o co może chodzić z listem.

Spojrzała na niego, jakby czytała w myślach.

- To faktura, przesłana Brianowi za wynajem magazynu w Rocky Rim. Firma nazywa się U-Store-All. Nie słyszałam o takim przedsiębiorstwie, nie ma go też w książce telefonicznej.

- To jeden z domów u nas - mruknął Jimmy, patrząc na adres zwrotny.

- Co? - zapytała Susan.

- Jeden z domów na osiedlu. Stary dziwak, hipis Boone, wynajmuje ludziom puste mieszkania.

- Nie rozumiem - powiedziała Susan. - Dlaczego Brian miałby wynajmować coś takiego?

- Czasami - wyjaśnił chłopak, tym razem trochę głośniej - ludzie mają rzeczy, które woleliby ukryć. Na przykład coś w beczułkach. Jeśli ktoś chce pozbyć się tego legalnie, musi dużo zapłacić.

- Narkotyki? - zapytała Susan.

- Albo toksyczne substancje - dodał Luke. - Teraz przepisy regulują wyrzucanie dosłownie wszystkiego: od lodówek przez olej silnikowy po stare komputerowe monitory. Wiele osób nie chce za to płacić.

- Mówisz, że przechowują tam toksyczne odpady? - Susan była przerażona. - Tam, gdzie mieszkają ludzie?

Jimmy wzruszył ramionami.

- Nikt się nie przejmuje dzikimi lokatorami. Kogo to obchodzi, czy ...

- Mnie, stary - wtrącił Marcus. - To nie w porządku, że bogate skur..., to jest, dranie, wyrzucają tam swoje śmieci.

- Zgadzam się - powiedziała Susan. - Ale nie wyobrażam sobie, żeby właśnie coś takiego chciał ukrywać Brian. Wiem, że płacił za utylizację śmieci z salonu samochodowego. Musiał więc chować tam coś innego.

- Może potrzebował adresu, na który przychodziłyby listy, o jakich nie chciał nikomu mówić - zasugerował Jimmy. - Ludzie czasami to robią. Zdziwiłaby się pani! Tam dociera poczta.

- Gdyby oto chodziło, to przecież wystarczyłoby wynająć skrytkę pocztową? - zastanawiała się Susan. - Kto by się tego czepiał? Powiedziałby, że to na korespondencję przychodzącą do salonu samochodowego. Tak robi połowa przedsiębiorców w mieście.

Luke posmutniał na myśl o utraconej firmie ojca.

Zastanawiał się jednak nad innym możliwym wyjaśnieniem.

- Niektórych rzeczy nie prześlą ci do skrytki pocztowej. Firmy kurierskie, jak FedEx czy UPS, wymagają adresu, kiedy wysyłane są duże paczki albo oficjalne dokumenty.

- Na przykład? - zapytała Susan.

Luke spojrzał na nastolatków. Kiwnęła głową. Zrozumiała.

- Nie wiem - odparł.

- Cokolwiek tam było, wszystkiego się dowiem. - Susan wyciągnęła rękę.

Jimmy nie oddał jej koperty.

- Boone pani nie wpuści. Straciłby klientów, gdyby ktoś się dowiedział, że oddał czyjeś rzeczy żonie klienta. Zresztą lepiej, żeby pani tam nie chodziła. Ktoś mógłby pani zrobić krzywdę.

- Ktoś już zrobił - powiedziała cicho. Jimmy nie okazał, że to usłyszał.  
- Niech mi pani zostawi tę kopertę. Ja i Marcus przyniesiemy wszystko, co tam jest...  
- Tylko nie róbcie nic niezgodnego z prawem - nakazała Susan. Obaj podnieśli prawe dłonie.

- Słowo skauta! - powiedzieli chórem.

Zaśmiali się potem, a Luke nie miał wątpliwości, że już wielokrotnie złamali taką przysięgę. .

- Bez obawy - powiedział Marcus, podnosząc się z fotela. - Jeśli Jimmy i ja zajmujemy się sprawą, nie może się wydarzyć nic złego!

Susan patrzyła, jak wsiedli do starego kabrioletu cadillaca. Przerdzewiała karoseria była pomalowana w brązowe i beżowe plamy, w kolorach pustynnego kamuflażu. Przednia szyba tak popękała, że Susan zastanawiała się, jak w ogóle Marcus może prowadzić.

- Jeśli zostaną aresztowani... - zaczęła.

- Kto wniesie skargę? - zapytał Luke. - Na pewno nie ten Boone. Przecież nie zaryzykuje, że władze zwrócą uwagę na jego nielegalne interesy. - Rozumiem, co masz na myśli.

- Ten samochód ... - Luke skinął głową w stronę oddalającego się cadillaca.

- Wygląda prawie tak samo jak ...

Susan zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała rozmawiać o tamtym kabrioletcie, niebieskim eleganckim el dorado, którym jeździł Luke w czasach szkoły średniej. Nie mogli ryzykować tej rozmowy. Uwolniłaby zbyt wiele wspomnień.

Luke milczał, jakby wyczytał to w jej myślach. Peavy zaczął popiskiwać w pokoju. Susan wypuściła go i wróciła do salonu.

- O czym wtedy myślałeś? - zapytała Luke'a. - Czego nie można wysłać do skrytki pocztowej?

- Odpisów aktu urodzenia, kart ubezpieczenia społecznego ... Potrzebny jest adres. Takich dokumentów potrzebuje człowiek, jeśli ...

- Jeśli chce sfabrykować nową tożsamość - dokończyła za niego Susan.

- Właśnie.

Usiadła na sofie i westchnęła.

- Nie mam siły teraz myśleć o tym draniu i jego panience.

Żyją sobie spokojnie pod zmienionymi nazwiskami, opalają się gdzieś na plaży, wydając pieniądze innych!

Obróciła się i położyła się na sofie, podkulając nogi, żeby nie zepchnąć Luke'a. Poczowała, jak unosi jej bose stopy i kładzie je sobie na kolanach. Pomyślała, że nie powinien tego robić, ale była zbyt zmęczona, by zaprotestować.

- Na pewno jesteś wykończona - powiedział, kładąc dłonie na jej łydkach. Żałowała, że ostatnio nie zrobiła pedikiuru i nie miała ślicznych, zadbanych stóp, jak jej siostra. Ale nawet kiedy jej życie nie było w rozsypce, nie potrafiła z siebie wykrzesać zainteresowania dla takich babskich spraw.

- Ty też chyba nie jesteś w dobrej formie - powiedziała, nie otwierając oczu.

Czując jego palce na swoich kostkach, obawiała się, że Luke jest w lepszej formie, niż mogłaby to znieść. A jednak, gdy jej dotykał, poczuła się jak w oazie spokoju. Po chwili głęboko zasnęła.

- Zabieraj łapska od mojej córki!

Kiedyś Luke'a często budziły takie krzyki. Odruchowo wstawał i uciekał.

Teraz tylko otworzył oczy i spojrzął na Maggie Dalton, opartą na balkoniku. Patrzyła na niego tak, jakby chciała go zabić.

Starał się usiąść, ale nie mógł, bo leżała na nim śpiąca, ciepła Susan. Gdy spał, obróciła się i przytuliła do niego. Obejmował ją w talii, a jej jedwabiste włosy łaskotały go w nos.

Gniewne słowa matki nie obudziły Susan - przynajmniej tak sądził Luke po jej głębokim oddechu i lekkim pochrapywaniu, które w innych okolicznościach wywołałoby uśmiech na jego twarzy. Nie chcąc jej budzić, wstał, najostrożniej jak mógł, przeszkadzając jednak pieskowi, zwinętemu w kłębek u jej stóp.

Peavy wyszczerzył zęby. Luke wreszcie stanął przed matką Susan.

- Wiem, jak to wygląda - powiedział z przeproszącą miną. - Ale oboje byliśmy wykończeni, to wszystko. Siedzieliśmy na kanapie i rozmawialiśmy, nie wiem, co się stało.

Omam nie wybuchnął śmiechem, gdy wzniosła oczy do nieba, tak samo, jak zrobiłaby jej córka. .

- Teraz ... jest jej ciężko - powiedziała Maggie. - Ostatnie, czego jej trzeba, to ty ... nie możesz jej ...

Z zaciętą twarzą szukała w pamięci słowa. Zamiast pomóc, czekał w milczeniu.

Nagle rozbłyły jej oczy.

- Wykorzystać! - dokończyła.

- Nigdy bym tego ... - Urwał w pół słowa, bo uświadomił sobie, że to właśnie by zrobił. Wcale tak bardzo się nie zmienił od tamtych szalonych czasów i nadal pragnął Susan. Chociaż wobec prawa, całego miasta, a może nawet samego Boga była żoną Briana.

- Nawet nie próbuj kłamać - powiedziała. - Wy, Maddoksowie, wszyscy jesteście tacy sami. Ale ja nie pozwolę na to w moim domu! Wynos się stąd natychmiast. Już cię nie ma!

Jedną ręką opierając się na balkoniku, drugą pokazała mu drzwi.

- Hej, gdzie się podziały twoje dobre maniery? - zapytała Susan zaspanym głosem, siadając na sofie. Patrzyła na matkę z czułością i wyrzutem zarazem. Znow próbujesz oczarować mojego gościa?

Ziewnęła, zasłaniając usta ręką. W niebieskich oczach migotały wesołe iskierki.

- On ma cholerne ... cholerne szczęście, że już nie mam ... strzelby twojego ojca - powiedziała Maggie. - A ty powinnaś się wstydzić, młoda damo. Mężatka...

- Ciekawe, że właśnie teraz przyjmujesz to do wiadomości - przerwała Susan. - Słuchaj, Luke nie jest Antychrysem i wcale nie próbuje mnie uwieść. Tylko pomaga mi sprawdzić pewne fakty, które przedstawię radzie szkoły.

- Raczej pomaga sobie. - Maggie odwróciła się i poszła do kuchni.

Luke zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że dawno już minęło południe.

- Powinienem wrócić do domu. Wczoraj obiecałem mamie, że będę na miejscu, kiedy kowal przyjedzie podkuć konie.

- Zatrzymała je? - zapytała Susan. - Kilka miesięcy temu mówiła, że już znalazła kupca.

- Oczywiście, że zatrzymała - odparł Luke, nie umiając ukryć goryczy. Przecież należały do Briana. Gdyby mogła, kazałaby je pozłocić!

- Penny jest moja - poprawiła Susan. - A przynajmniej tak myślałam. Świetnie, że twoja mama jest innego zdania. - Dlaczego?

- Bo zamiast ją pozłocić, natychmiast sprzedałaby ją do rzeźni.

Uśmiechnęła się. Luke wiedział, że wcale nie podejrzewała jego matki o takie okrucieństwo. Virginia Hale Maddox, choć nienawidziła żony Briana, była córką, wnuczką i

prawnuczka ranczerów. Koń był dla niej świętością.

- Możesz na niej jeździć, kiedy tylko zechcesz - powiedział Luke. - Oba konie powinny pobiegać. Może dosiądę Jeta i wybiorę się z wami na przejażdżkę?

Jej spojrzenie złagodniało. Luke zastanawiał się, czy myślała teraz o jeździe po pastwisku, obecnie wydzierżawionym innym hodowcom bydła, albo po skalistych krańcach niegdyś rozległego rancza. A może wspominała pikniki z Brianem, gdy zabierali ze sobą koc, żeby kochać się pod gołym niebem?

To była bolesna myśl, której nie mógł się pozbyć.

Zmarszczyła brwi, jakby wiedziała, co go dręczy.

- Nie należę już do Maddoksów, chociaż wyrok sądu uprawomocni się dopiero za kilka tygodni. Przestańmy udawać, że jesteśmy rodziną.

Spojrzał na nią, bardzo pragnąc zapytać, kim dla niej jest i dlaczego poprosiła go o pomoc. Jeszcze bardziej pragnął wziąć ją w ramiona i pokazać, o jakim związku myślał.

Ale, pamiętając o obecności jej matki - i nie chcąc powodować następnego wylewu - tylko kiwnął głową.

- Do zobaczenia niedługo.

Wyszedł bez słowa. Pochłonięty myślami, zapomniał, że zostawił coś bardzo ważnego: zepsuty twardy dysk swojego brata, leżący pod sofą.

## ROZDZIAŁ 9

Próbując przebrnąć przez system automatycznej informacji firmy ubezpieczeniowej, Susan podejrzewała, że dyrekcja firmy chce zminimalizować liczbę zgłoszeń, uniemożliwiając klientom kontakt z agentami. Była już bardzo wściekła, gdy w słuchawce wreszcie odezwała się żywa osoba.

Na szczęście urzędniczka uspokoiła ją, proponując, że już po południu jej dom obejrzy rzeczoznawca.

Później Susan zatelefonowała do Roberty. Gdy tylko się rozłączyła, telefon znów zadzwonił. Myśląc, że przyjaciółka mamy chce jeszcze coś wyjaśnić w sprawie planów, które przed chwilą ułożyły, chwyciła słuchawkę.

- Tak?

Gdy nikt się nie odezwał, poczuła ucisk w żołądku.

- Halo? - zapytała i słuchała uważnie.

Słyszała tylko ciszę ... a może także czyjś oddech?

Mimowolnie dotknęła palcami wybrzuszenia, jakie w jej kieszeni tworzyła obrączka. Brian?

Zanim zdążyła głośno wypowiedzieć to imię, w słuchawce rozległo się kliknięcie i sygnał połączenia, który wydał jej się głośny jak dźwięk syren.

- Kto ... kto dzwonił? - zapytała mama z kuchni. Susan wyszła z sypialni i podeszła do niej.

- Ktoś się rozłączył.

To się zdarza, mówiła sobie. Kretyni słyszą nieznanomy głos i nie chce im się wyjaśniać, że wystukali zły numer. Nie ma się czego bać, nie istnieje żaden związek między tym telefonem a wydarzeniami poprzedniej nocy i tym, co znalazła rano w dziupie.

Nieprawda, ostrzegał ją instynkt. Dobrze wiesz, że ten telefon wcale nie był przypadkowy.

Gdy przypomniła sobie cichy syk oddechu w słuchawce, zjeżyły jej się włoski na rękach. Ale matka już pytała o coś w związku z ubezpieczeniem.

- Bardzo długo czekałam na połączenie, ale umówiłam się z rzeczoznawcą o wpół do szóstej, w domu - powiedziała Susan. - Rozmawiałam już z Robertą. Wpadnie po ciebie dziesięć po piątej i pójdziecie do niej na kolację. Obejrzyjecie film na wideo.

Mama mieszała w misce rzadkie ciasto o słodkim zapachu.

Gdy tak stała w kuchni, otoczona swoimi rzeczami, wydawała się spokojniejsza i sprawniejsza niż kiedykolwiek przedtem w domu Susan.

- Nie potrzebuję nia... niani. - W jej głosie zabrzmiało wyzwanie. Susan dobrze rozpoznawała uparte zaciśnięcie szczęki.

- Mówi, że przygotowuje swoją słynną potrawkę z tuńczyka, przyda ci się więc coś na nadkwasotę ... a może nawet na przeczyszczenie!

Maggie zrobiła srogą minę. Dowcip jej nie rozbawił.

- Co robisz? - zapytała Susan. W szafkach było niewiele produktów, a ona przed kilkoma miesiącami opróżniła lodówkę, zostawiając kilka puszek i otwarte pudełko proszku do pieczenia.

- Te ... cynamonowe ciasteczka, które tak bardzo ... lubisz - odpowiedziała matka.

- Cynamonowe? - Susan zerknęła na piecyk, nastawiony na dwieście sześćdziesiąt stopni. - Nie sądzisz, że temperatura jest trochę za wysoka?

Regulując piekarnik, dziękowała Bogu, że w przeciwieństwie do jej kuchenki, ta była elektryczna. Maggie może przypalić ciasteczka, ale przynajmniej nie wysadzi całego domu w

powietrze. Susan chciała też przypomnieć, że upalny lipiec nie jest dobrą porą na pieczenie, zwłaszcza w tej ciasnej kuchni.

- Jakie włożyłaś składniki? - zapytała.

- Wpadli Agnes i Herb kiedy rozmawiałaś przez telefon.

Byli w sklepie i kupili nam takie ... okrągłe białe ... jajka, mleko i tak dalej. Pomyślałam, że je wykorzystam. Zniosę trochę ciasteczek do Roberty.

Susan zerknęła na blat kuchenny, gdzie stał otwarty pojemnik z cynamonem, oraz na zlewozmywak, w którym leżał paperek po maśle i kilka skorupek jajek. Chyba nie dodała do ciasta czegoś niejadalnego.

- Przez te wszystkie ... lata - mówiła matka, mieszając w miseczce sproszkowany cynamon z cukrem - miałam wielką pokusę ..

Susan się uśmiechnęła.

- Wiesz, że uwielbiam te ciasteczka.

Maggie zerknęła na nią ostro, jej brązowe oczy zaśniły.

- Ma ... chłopcy Maddoksów. O nich mówię. Wiesz ... co myślałam ... co myślę o tym, że kupili nasze ranczo na tej ... aukcji. Ty byłaś taka ...

- Zbuntowana - podpowiedziała Susan - Tak, chyba właśnie wtedy spodobał mi się Brian.

Nie pomyślała jednak o nim. Wróciła pamięcią do tamtej nocy w ostatniej klasie szkoły średniej, kiedy wymknęła się na przejażdżkę z Lukiem. Robiła coś niedozwolonego, co w jej nastoletnim umyśle urosło do rozmiarów dramatu. Wyobrażała sobie, że ona i Luke są jak Romeo i Julia z zachodniego Teksasu. A przecież byli tylko typową parą nastolatków, walczącą z burzą hormonów.

Maggie brała kawałki ciasta i kręciła z nich w dłoniach kulki wielkości orzecha włoskiego. Każdą z kulek zanurzała w cynamonie z cukrem, a potem kładła na foremce, której nie posmarowała tłuszczem.

- Właśnie dlatego ... - zaczęła matka - dlatego ... poślubiłaś ... tego sukin ...

Susan pokręciła głową.

- Nie wzięłam ślubu na złość, mam. Jeśli ktoś to zrobił, to raczej Brian. Przynajmniej tak to teraz widzę.

Poznała Briana w salonie samochodowym, dokąd poszła z koleżanką, która chciała kupić pierwszy samochód w swoim życiu. Potem umawiali się przez kilka lat. Dobrze się razem bawili, jeżdżąc na koniach ze stajni Maddoksów i biwakując na pustyni w czasie wakacji. W roku szkolnym oddalali się od siebie. A jednak matka już suszyła mu głowę o to, że „spotyka się z kobietą z nieodpowiedniej klasy”.

Niedługo później zaczął się zalecać coraz bardziej - i zaskoczył Susan oświadczeniami. Była podekscytowana i pochłonięta przygotowaniami do ślubu, nie zorientowała się więc, że on chciał tylko zrobić na złość matce. Teraz widziała to bardzo wyraźnie. Dziwiła się, że we wczesnej młodości okazała się taka głupia i zaślepiona.

- Nie wiem, czy Brian zdawał sobie z tego sprawę - powiedziała. - Może wydawało mu się, że to miłość. Przynajmniej przez jakiś czas.

Mnie zresztą też, pomyślała, ale nie mogła się do tego przyznać głośno. Maggie włożyła ciasteczka do piekarnika, a potem odwróciła się i spojrzała na córkę. Susan przygotowała się, że usłyszy dużo przykrych słów o braciach Maddox.

Nie była pewna, czy to zniesie, zwłaszcza teraz, gdy ostatnie kłopoty tak bardzo wytrąciły ją z równowagi.



Maggie ją zaskoczyła: wyszła zza kuchennego blatu i mocno ją do siebie przytuliła. To dowodzi, pomyślała Susan, że pomimo innych problemów ośrodek matczynych uczuć w jej mózgu nie został uszkodzony podczas wylewu.

Później, gdy Jimmy i Marcus odprowadzali Susan do dżipa, roześmiała się, widząc, że bardzo ostrożnie trzymają w palcach plastikowe torebki - jakby ciasteczka, które w nich były, zaraz miały wybuchnąć.

W domu, pilnowani przez jej uśmiechniętą mamę, zjedli po jednym. Susan także ugryzła ciasteczko. Było słone jak Morze Martwe.

- Pyszne, prawda? - zapytała matka, a chłopcy, niech ich Bóg błogosławi, nie zaprzeczyli.

Susan próbowała wcisnąć resztę swojego ciasteczka Peavy'emu, ale musiała to przyznać małemu draniowi: miał zasady.

- Wezmę to świństwo - zaproponowała.

- Nie trzeba - powiedział Marcus. - Mój głupi młodszy brat zawsze podkrada mi batoniki. Dobrze mu robi, kiedy natknie się na to!

- Chyba przyłączę się do akcji. - Jimmy podał mu swoją torebkę. - Niech Simon to zje. Dostanie nauczkę!

Na szczęście Susan właśnie przekazała mamę pod opiekę Roberty, tego wieczoru nikomu już nie groziło więc niekontrolowane pieczenie.

Marcus szukał kluczyków do samochodu.

- Dzięki, chłopaki - powiedziała Susan - Za Peavy'ego i za to. Poruszyła jednym ramieniem, żeby zwrócić uwagę na zniszczoną teczkę, którą przytrzymała pachą. Kiedy Marcus jej wręczał pakiet, zdążyła zobaczyć kilka kopert w środku.

- Tyle zdążyliśmy zabrać, zanim wpadł Boone z krzykiem. Musieliśmy uciekać - wyjaśnił Jimmy. - Później wrócimy po resztę.

- Nawet o tym nie myślcie - nalegała. - Nie chcę, żeby stało się wam coś złego. Wystarczy mi to, co przynieśliście.

Chciała przejrzeć pocztę od razu, ale wołała tego nie robić przy chłopcach.

A teraz, kiedy wreszcie sobie poszli, musiała się spotkać z rzeczoznawcą z firmy ubezpieczeniowej. Zabrała teczkę ze sobą. Bała się zostawić ją w mieszkaniu, gdzie przecież mogła przyjść mama, Roberta, a nawet Agnes i przejrzeć jej zawartość.

Dziesięć minut po wyjeździe z ulicy Mirage Susan skręciła w boczną drogę, przy której tak długo mieszkała. Zwalniając, rozglądała się po okolicy, porośniętej pustynnymi roślinami, szukając śladów przemocy, do której tu doszło.

Z zewnątrz dom wyglądał zwyczajnie, miło i spokojnie, jak chłodna oaza w upale lata. Ona jednak chciała go minąć, odjechać jak najdalej od wspomnień szczęku broni i uścisku twardej dłoni na swojej szyi, wściekłych szeptów i głośnego trzasku płomieni.

- Już ich nie ma - powiedziała sobie, ale nagle poczuła pulsujący ból w czole.

Uznała, że zamiast wchodzić do środka, lepiej będzie zaczekać na rzeczoznawcę na podjeździe. Czuła się nieswojo.

Nie wyłączyła silnika i zablokowała od środka drzwi samochodu.

Zerknęła na zegarek i zorientowała się, że przyjechała o pięć minut za wcześnie. To dość czasu, pomyślała, żeby przejrzeć listy do Briana. Jeśli zdołam się do tego zmusić. Bardzo chciała znaleźć jakieś wskazówki na temat zniknięcia męża, ale też bała się informacji, na które mogła przy okazji natrafić. Od ponad ośmiu miesięcy za pancerzem gniewu, którym się otoczyła, czaiły się wątpliwości. Przychodziły jej na myśl okropne odpowiedzi na jedno

pytanie: dlaczego?

Czy w którymś z listów znajdzie wyjaśnienie postępów Briana? Czy dzięki temu zrozumie, jak mogła tak długo żyć z mężczyzną, który tak bardzo ją znienawidził?

Ze smutkiem pomyślała o jednej z możliwych odpowiedzi. Zastanawiała się, czy na zachowanie Briana mógł wpłynąć fakt, że po drugim poronieniu zaczęła brać pigułki antykoncepcyjne. Czy, tak jak sugerowała Virginia Maddox, to ona ponosiła winę za czyn Briana? A może zrobiła coś innego, co go od niej oddaliło? Do późnej nocy poprawiała klasówki, godzinami fotografowała dzikie zwierzęta, narzekała, że zostawiał mokre ręczniki na podłodze w łazience, albo ...

- Naprawdę powinnam iść do psychiatry - warknęła do siebie. Chyba brakowało jej piątej klepki, jeśli myślała, że drobne małżeńskie nieporozumienia mogły tłumaczyć to, co zrobił Brian.

Wzięła z teczki zaklejone koperty i zaczęła je przeglądać. Natychmiast zorientowała się, że Jimmy i Marcus ukradli pocztę kogoś innego, nie Briana.

Świetnie, pomyślała, teraz jestem współnikiem przestępstwa.

Jakbym nie miała innych problemów.

Koperty miały kilku adresatów. Do pierwszego, Seana Wellsa, były dwa listy. Drugi, Roger Ewing, otrzymał trzy, a dwa ostatnie były zaadresowane do Davida Spencera. Nigdy nie słyszała żadnego z tych nazwisk, co wydawało jej się dziwne w miasteczku wielkości Clementine.

Przypomniała sobie jednak popołudniową rozmowę z Lukiem. Brian potrzebował adresu, żeby dostawać oficjalne dokumenty, konieczne do sfabrykowania nowej tożsamości. Gdyby właśnie o to mu chodziło, wówczas nie podałyby prawdziwego nazwiska.

Otworzyła jeden z listów do Spencera i znalazła w nim wniosek kredytowy, taki sam, jakie banki rozsyłają, nieproszone, żeby pozyskać nowych klientów. Później wybrała zaadresowany ręcznie list do Wellsa, z adresem zwrotnym w Kolorado. W środku znalazła czyjś rysopis. Ktoś napisał równymi, drukowanymi literami: Wzrost: 174 cm. Waga: 71 kg. Oczy brązowe. włosy rudawobrązowe - przynajmniej to, co z nich zostało.

Zmarszczyła brwi i dokładnie obejrzała kartkę po obu stronach, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Znalazła tylko dwie nabazgrane litery, jakby inicjały:

R.E. Czy chodziło o Rogera Ewinga, czy był to tylko zbieg okoliczności?

Rozdarła jedną z kopert zaadresowaną do Ewinga.

Zauważyła jaskrawoczerwoną pieczętkę: OSTATECZNE PRZYPOMNIENIE, odbitą w rogu. Rachunek, opiewający na siedemdziesiąt pięć dolarów i osiemdziesiąt centów, dotyczył „sprawdzenia akt policyjnych przed zatrudnieniem pana Seana Wellsa”. Weryfikacji dokonała firma Safe Works z San Francisco.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - mruknęła. Czy Brian próbował zaciągnąć kredyt pod fałszywym nazwiskiem, zatrudnić kogoś, a może ... nie miała pojęcia, po co miałby potrzebować czyjegoes rysopisu.

Słyszając energiczne pukanie do okna, omal nie krzyknęła. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła łysiejącego mężczyznę w zapiętej koszuli z krótkimi rękawami i przypinanym krawacie. Mężczyzna z uśmiechem uniósł podkładkę z przymocowanymi kartkami papieru i długopisem.

Uśmiechnęła się na widok znajomej twarzy, wcisnęła zdobyte podstępem listy do teczki i wyskoczyła z dżipa. Było bardzo gorąco.

- Panie Foley, pracuje pan teraz w firmie Serenity Plus? Pokiwał głową.

- Zarabiam znacznie więcej niż nauczyciel, mówię pani. No i od dawna nikt nie zamknął mnie w komórce ze środkami czystości!

- To dobrze - powiedziała szczerze. Świry, takie jak Miliard Foley, nie powinny w ogóle wchodzić do szkoły średniej. Jeśli chciały dożyć do emerytury.

Pan Foley nie przestawał mówić, gdy zamykała dżipa. Nagle za brązowym sedanem rzeczoznawcy zobaczyła przejeżdżający wóz policyjny.

Manuel Ramirez patrzył za nią zza lustrzanych okularów. Jego pobliźniona twarz mogła wyrażać zarówno obojętność, jak i pogardę. Zastępca szeryfa na pewno już wiedział o wydarzeniach ostatniej nocy. Kiedy Susan skinęła mu głową, ruszył dalej, nie zwracając na nią uwagi.

- Na pewno szuka sklepu z pączkami.

Pan Foley zaśmiał się z kiepskiego dowcipu. Przynajmniej na chwilę Susan przestała myśleć o Ramirezie.

Przypomniała sobie o nim dopiero godzinę później, gdy wróciła do zamkniętego dżipa i zorientowała się, że teczka i koperty zniknęły.

## ROZDZIAŁ 10

Krew w żyłach Luke'a popłynęła szybciej, gdy spojrzał na linie znaków, które pojawiły się na monitorze. Poczuł przyływ adrenaliny, mimowolnie się uśmiechnął. Nie wyobrażał sobie nic bardziej emocjonującego niż elektroniczne włamanie - może oprócz elektronicznego włamania, za które legalnie otrzyma pieniądze.

Dotykając klawiszy, ostrożnie, a potem z szybkością błyskawicy, pokonywał kolejne zabezpieczenia. Tymczasem po drugiej stronie kontynentu inteligentna, młoda hackerka, którą zatrudnił - i może sprowadził na dobrą drogę - także przypuściła atak na sieć komputerową firmy inwestycyjnej, pokonując zabezpieczenia w kolejności odwrotnej do tego, co robił Luke.

Spotykając się w połowie drogi, stworzyli otwór, przez który Luke wtargnął do środka. W ułamku sekundy, zanim włączyły się następne zabezpieczenia - a system był tak doskonale skonstruowany, że nie trwałoby to dłużej - pobrał dane tysięcy właścicieli kont: od historii rachunku, poprzez numer ubezpieczenia społecznego, po nazwisko panięskie matki. Krótko mówiąc, dość, żeby nastraszyć tych ludzi, gdyby potrzebował silniejszych środków perswazji.

Ponieważ Luke nie miał pewności, czy Sibyl, jak kazała się nazywać jego współpracownica, naprawdę zrezygnowała z życia kosztem innych, zabezpieczył przed nią dane i wysłał je w zaszyfrowanym pliku do wiceprezesa przedsiębiorstwa, który chełpił się tym, że jego nowego systemu ochrony nie sforsuje żaden haker. W imieniu swojej firmy dołączył propozycję naprawy systemu i właśnie sporządzał kosztorys, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

- Części komputerowe - wyjaśnił matce, którą spotkał w przedpokoju. Otworzyła zamek i się cofnęła. Zapach piekących się bułeczek bananowo - orzechowych kontrastował z zagniewanym wyrazem jej twarzy.

- Ile tego złomu potrzebuje jedna osoba?

- To proste - odparł Luke, otwierając drzwi. - Zawsze o jedną część więcej, niż ma.

Ale zamiast kuriera, którego oczekiwał, w progu zobaczył Hectora Abbotta, trzymającego kapelusz w rękach.

- Czy mogę państwu zająć kilka chwil? - Szeryf miał poważną minę. Luke zrozumiał, że tym razem Abbott nie przyszedł po to, by pogawędzić z jego matką o wyborach.

Sądząc po tym, jak Virginia nerwowo zamachała ściereczką, ona także zdawała sobie sprawę, że chodzi o coś ważniejszego. - Czy ... - zaczęła - są jakieś wieści o Brianie?

- Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś od ciebie - odparł Abbott.

W kuchni zadzwonił dzwonek.

- Piekłam ... - powiedziała matka słabym głosem, ale nie ruszyła się z miejsca. Przypominając sobie spalone gofry, Luke poszedł do kuchni, wyłączył piekarnik i wyjął blachę z bułeczkami.

Duke wyciągnął łeb w stronę smakołyków i węszył, głośno posapując.

- Nawet o tym nie myśl, kolego! - ostrzegł Luke psa, wracając do matki i szeryfa.

Siedzieli już w salonie, na eleganckiej sofie, którą matka dawno zarezerwowała dla gości. Luke stanął za nimi. Nie mógł się zmusić, żeby usiąść.

Abbott zerknął na niego, a potem spojrzał na Virginie.

- Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że uważam cię za przyjaciółkę, Virginio, zarówno prywatnie, jak i zawodowo. Bez pomocy twojej i pań ze stowarzyszenia na pewno nie nosiłbym tej odznaki przez trzydzieści lat.

Szeryf nachwilę zamilkł. Luke czuł, że zaraz wydarzy się coś przykrego. - Ale właśnie

dlatego, że ją noszę - ciągnął Abbott - muszę poruszać pewne tematy, nawet niemiłe i mogące kogoś urazić ...

- Och, na miłość boską, Hectorze! - przerwała Virginia. - Nie owijaj w bawełnę! Jeśli wiesz coś o moim synu, powiedz od razu!

Patrzyła na niego ponaglająco. Podrapał się po wąsach.

- W porządku. Muszę powiedzieć wprost, że jeśli Brian wrócił albo jeśli miałaś z nim jakikolwiek kontakt, ukrywanie tego byłoby błędem. Konsekwencje mogłyby się okazać bardzo poważne. Dla wszystkich.

- Oczywiście. - W głosie matki pobrzmiwało zaskoczenie i oburzenie zarazem.

- Proszę mi wierzyć - wtrącił Luke. - Jeśli brat się pojawi, osobiście podam go panu na srebrnej tacy. Ale dlaczego mówi pan o tym teraz?

Szeryf wyciągnął z kieszeni obrączkę Briana.

- Rano widziałem się z panią Maddox, to jest z Susan Dalton. Powiedziała, że podrzucono to do jej samochodu, wraz z obrożą zaginionego psa.

Matka wyciągnęła rękę. Hector pozwolił jej wziąć obrączkę.

Siedząc na krawędzi krzesła, uważnie wpatrywała się w złoty krążek, jakby zaraz miał zniknąć.

- Poprzedniej nocy było włamanie - ciągnął szeryf Abbott. - Myślę, że zniszczenia i napaść na Susan to wypadek przy pracy.

Ktoś czegoś szukał w tym domu. Może zapomniał czegoś stamtąd zabrać.

- Myśli pan, że to mógł być Brian - powiedział Luke. Virginia Maddox zrobiła zagniewaną minę.

- Gdyby mój syn wrócił, na pewno nie kryłby się po kątach jak pospolity przestępca!

On jest przestępcą, chciał przypomnieć Luke.

- Skąd mamy wiedzieć, że ta Dalton cały czas nie miała obrączki? - wybuchnęła matka. - Sama mogła ją podłożyć w samochodzie. A zniszczenia w domu mogły być zamierzone ...

Abbott pokręcił głową.

- Już ci mówiłem, Virginio, mylisz się. Twoja synowa nie rozwalila sobie sama głowy ani nie podłożyła ognia. W domu była jej mama. I, jeśli choć trochę znam się na ludziach, nie miała też nic wspólnego z pojawieniem się obrączki.

- Pomagałem jej szukać psa tego wieczoru, kiedy zniknął - powiedział Luke, domyślając się, że Ramirez wspomniał o tym incydencie szeryfowi. - Była tym bardzo zdenerwowana. I zaskoczona, kiedy jeden z jej uczniów znalazł go, biegnącego bez obroży.

Matka rzuciła mu spojrzenie, które wydawało się krzyczeć: „Ty zdrajco!” Hector skinął głową w jej stronę.

- Susan nie jest podejrzana.

- A my jesteśmy? - Virginia wstała z kanapy. - I przyszedłeś tu, żeby nas ostrzec? Myślisz, że ukrywamy mojego syna. Mówię ci szczerze, nie miałam żadnej wiadomości od Briana. Ale jeśli tu przyjdzie, nie wyrzucę go. I będzie miał najlepszego adwokata, jakiego tylko można znaleźć.

Hector wstał, zrezygnowany.

- Tak, rozumiem. Ale ty zrozum także mnie. Każdy przyzwoity adwokat powie twojemu synowi, że najlepiej będzie zgłosić się dobrowolnie. I... Virginio ...

- Tak?

- Muszę na razie zabrać tę obrączkę. Jest dowodem w sprawie.

Z ociąganiem oddała mu złoty krążek.

- Jak pan sobie życzy, szeryfie.

- Musimy omówić jeszcze jedną sprawę. Od kilku tygodni po mieście krążą plotki ... Na razie ich nie sprawdziłem, ale byłem ciekaw, czy ... Może od kogoś słyszeliście ...

- Proszę powiedzieć wprost, szeryfie - ponaglił Luke. - Co gadają ludzie?

- Podobno Jessica Beecher była przy nadziei. I uciekła, bo ojcem dziecka jest pański brat. Luke przygotował się na wybuch oburzenia matki.

Ona jednak spojrzała na szeryfa Abbotta z góry. Odezwała się cichym, opanowanym głosem:

- Kiedy chcę posłuchać plotek, idę do fryzjera., Od ciebie oczekuję tylko faktów.

Z jej reakcji Luke wywnioskował, że matka była przygotowana na tę rozmowę. Jakby plotki już do niej dotarły albo jakby wiedziała, że to prawda.

Odjeżdżając wozem policyjnym, szeryf Abbott musiał przepuścić furgonetkę kurierską, podskakującą na wybojach wąskiej drogi dojazdowej. Luke ucieszył się, że kurier przywiózł mu zamówiony twardy dysk.

Chciał natychmiast pojechać do Susan i zabrać zepsuty dysk, ale najpierw usiadł do stołu z matką i zjadł kilka bułeczek z łyżeczką zeszłorocznych konfitur, popijając mocną, czarną kawą.

Siedząc nad nietkniętym śniadaniem, matka patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną.

- Pycha - powiedział, mając nadzieję nawiązać rozmowę. Gdy nie odpowiedziała, ponaglił: - Mamo?

- Twój brat tu nie wrócił. Gdyby tak było, na pewno by zadzwonił. Przecież wie, jak bardzo się wszyscy martwimy.

- Co do tego chyba masz rację - zgodził się Luke. Jego brat mógł liczyć na to, że matka przyjmie go z otwartymi ramionami i nie będzie mu robić wyrzutów. I na pewno wyciągnąłby od niej jeszcze trochę pieniędzy.

- Poza tym - powiedziała - chociaż był zły na Susan, nie wyobrażam sobie, żeby próbował ją nastraszyć lub skrzywdzić po tylu miesiącach. To nie ma sensu.

- Rzeczywiście. - Luke pomyślał też, że Susan miała rację.

Na pewno rozpoznałaby swojego męża, nawet w ciemności. - Dlaczego mówisz, że był zły na Susan?

- Dziękuję ci za pomoc - odparła, jakby nie usłyszała pytania. Wypowiedziała te słowa bardzo ostrożnie, jakby przykładła wielką wagę do ich znaczenia. - Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie przyjechał i nie zajął się ... salonem. I wszystkimi... innymi rzeczami. Naprawiłeś pompę i przejrzałeś mój samochód, a także ... pomogłeś mi uporządkować sprawy finansowe. To o wiele więcej ... znacznie więcej niż ... ach ... niż mogłabym się spodziewać.

Upił jeszcze łyk kawy, która nagle wydała mu się gorzka. Chciał zapytać:

„Czego właściwie się po mnie spodziewałaś?” Nie zrobił tego.

- Ale ... - podpowiedział, przekonany, że wcale nie miała zamiaru mu dziękować.

Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Uważam, że już czas, żebyś znowu zaczął żyć własnym życiem. W Austin.

- Chcesz, żebym teraz wrócił do domu? - zapytał Luke. Kika dni temu proponowała, żeby został u niej jak najdłużej. Dodała, że woli gotować dla dwojga i cieszy się z jego pomocy w utrzymaniu dużej posiadłości, a także z tego, że nie jest na ranczu sama.

Tylko że do wczoraj nic nie wiedziała o jego kontaktach ze szwagierką.

- Chodzi o Susan? - zapytał bez emocji.

Matka wzięła gąbkę, żeby wytrzeć blat stołu.

- Nie chcę, żebyś się mieszał w jej kłopoty.

- Jest, a raczej była, żoną Briana. Zdradził ją w najgorszy z możliwych sposobów. Jeśli Susan usłyszy tę najnowszą plotkę, będzie cierpieć jeszcze bardziej. - Miał nadzieję, że nikt nie okaże się na tyle okrutny, żeby jej to powiedzieć. - Uważam, że powinniśmy jej pomóc. Ty nie?

- Nie pozwolę na to, Luke. Nie zawiedziesz brata. Nie wiesz, co ona zrobiła.

- Co ona zrobiła? - powtórzył. - Przecież Hector ci mówił, że nie miała nic wspólnego ...

Matka strząsnęła pyłek z pustego krzesła.

- Radziłam jej uważać, zwłaszcza po pierwszym poronieniu. Ale ona mnie nie słuchała.

Luke ze zdziwienia zmarszczył brwi.

- O czym mówisz?

- Była nieuważna, nawet beztroska, chociaż wiedziała, jak bardzo twój brat chciał dzieci. Mówiła, że lekarz kazał jej dużo ćwiczyć, bo zawsze była bardzo aktywna.

- Nie jestem ekspertem - wtrącił Luke - ale to ma sens. A z konia spadła przypadkiem. Wtedy, na szlaku, był przy niej Brian. Sam mi powiedział, że nie jechali trudną trasą. Zresztą, czy lekarz nie stwierdził, że poronienie nie miało nic wspólnego z siniakami i otarciami? Wiem tylko, że się załamała po stracie dziecka. Zwłaszcza za drugim razem.

Luke nie wspomniał, że wysłał jej kwiaty, żeby wiedziała, że o niej myśli.

Tamtego wieczoru, gdy zadzwoniła, żeby podziękować, rozplakała się tak, że musiała oddać słuchawkę Brianowi. Luke czuł się fatalnie, wiedząc, że nie może jej w żaden sposób pomóc. Zwłaszcza kiedy jego brat zbagatelizował łązy Susan, pozwalając sobie na idiotyczną uwagę o szalejących hormonach.

. Wiele dziewczyn, z którymi miewał przygody, mogłoby poświadczyć, że Luke nie pasjonował się psychologią i nurtem New'Age, ale ta uwaga Briana wydała mu się obrzydliwa. Może, pomyślał, powinienem się wtedy zorientować, że między Brianem a Susan jest źle - lub wkrótce będzie.

Matka pokręciła głową.

- Ta Dalton nigdy nie chciała mieć dzieci. To wszystko.

Powiedziała Brianowi, że nie zamierza odchodzić z pracy, nawet gdyby musiała oddać dziecko do żłobka. Wyobraź sobie, maleńkie dziecko w żłobku, chociaż Brian zarabiał znacznie więcej niż potrzeba na utrzymanie rodziny.

Luke się skrzywił.

- Obwiniasz Susan o to, że ma inne poglądy na wychowanie dzieci niż ty? I dlatego, że słuchała swojego lekarza, zamiast prosić o radę ciebie?

- Czy Brian ci powiedział, że później zaczęła brać pigułki antykoncepcyjne? Kiedy znalazł je w jej torebce, był tak wściekły, że ...

- Że co? Myślał, że rozwiąże problem, robiąc dziecko żonie innego mężczyzny, kradnąc pieniądze z firmy, zaciągając wysokie kredyty i znikając? Wybacz, ale to nie trzyma się kupy, mam. - Oburzony jej słowami, podniósł kluczyki i pudełko z twardym dyskiem. - Porozmawiamy o tym później. Teraz mam coś do załatwienia w mieście.

- Z nią? - zapytała oskarżycielskim tonem matka.

- Nie jestem twoją koleżanką z Koła Konserwatywnych Pań - oznajmił Luke - i nie zamierzam startować w wyborach. Tak, zobaczę się z Susan, bo przyzwoitość nakazuje mi jej pomóc.

Splotła ramiona.

- W takim razie daję ci czas do końca tygodnia na zabranie wszystkich swoich rzeczy z tego domu.

Wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Teraz, gdy przeniosła się do mieszkania, o wiele trudniej było ją obserwować. W pobliżu nie znajdowała się żadna pusta działka, porośnięta liściastymi roślinami, wśród których mógłby się ukryć. Nie mógł też zbyt często tamtędy przejeżdżać, bo obudziłby podejrzania sąsiadek albo starszych pań, które przychodziły do mieszkania chyba przez całą dobę.

Nie cierpiał tych staruszek. Wszystkie zwracały jej głowę, nie mogła więc wypełnić złożonej obietnicy. Postanowił, że kiedyś nie pozwoli sobie przeszkadzać. Zabroni jej spotkań ze wszystkimi innymi ludźmi oprócz niego. Już niedługo, pomyślał, okaże jej swoją miłość, w prostszy i świętszy sposób niż te wszystkie cholerne, bezużyteczne słowa.

Z każdą inną kobietą byłoby to niemożliwe. Inne wydawały mu się embrionami, na wpół uformowanymi istotami o ślepych oczach i pustych duszach. Jedyna symbolika, jaką rozumiały, to bukietki i korony, nakładane na ich jasne włosy podczas szkolnych balów.

Ona była inna.

Obserwator z czią wyjął z lewej kieszeni damską obrączkę i pocałował każdy z trzech diamentów, wprawionych w lśniące złoto. Trzy jak trzeci, rozumiał, to ich szczęśliwa liczba. Trzy noce obserwował ją przez okno, zanim rzuciła obrączkę w krzew jałowca, gdzie on czekał, dopóki nie zgasła światła w sypialni. Tyle dla niego zrobiła. Nie dziwiło go, że ukrywała swoje uczucia w obecności osób trzecich. Rozumiał jej potrzebę zachowania tajemnicy. Nie był głupcem.

Ale to ona była głupia, jeśli myślała, że może w nieskończoność wzbudzać jego zazdrość. Musiała wreszcie zrozumieć, że ich uczucie jest zbyt święte, żeby je psuć babskimi wygłupami.

Z nią chciał zostać na zawsze. Jeśli nie rozumiała poprzedniego ostrzeżenia, to zrozumie wszystko później - nawet jeśli on będzie musiał napisać te słowa krwią.

- Tak ... - syknęła Susan, kiedy przestarzały komputer matki powoli połączył się z Internetem. Dzięki darmowemu oprogramowaniu, takiemu, jakie zaśmiecają skrzynki pocztowe w całym kraju, mogła podłączyć modem do linii telefonicznej i dotarła do cyberprzestrzeni.

Chociaż nie była ekspertem, po zniknięciu Briana spędziła wiele godzin przy komputerze w bibliotece, bo zastępcy szeryfa zarekwirowali jej sprzęt. Sympatyczny genealog, którego tam poznała, nauczył ją przeszukiwania dostępnych publicznie baz danych. Starła się więc znaleźć cokolwiek, co mogłoby ją naprowadzić na trop Briana.

Nic nie wskórała, za to straciła mnóstwo czasu. Spośród kilkadziesiątu Brianów Maddoksów, których odnalazła i z którymi się skontaktowała, oczywiście żaden nie był jej zaginionym mężem. Co gorsza, naraziła się na podejrzliwe spojrzenia osób, przekonanych, że zrobiła coś złego Brianowi. Pewna stara jędza zapytała nawet, czy Susan sprawdza swoje zagraniczne konta bankowe.

Teraz Susan łączyła się z Internetem ze swojego domu, zresztą szukała innej osoby. A raczej trzech innych osób.

Poprzedniego dnia po powrocie do domu przez kilka godzin próbowała sobie przypomnieć nazwiska mężczyzn z korespondencji, która zniknęła z jej dzipa. Z niezrozumiałego powodu w pamięci utkwiło jej nazwisko Sean Wells. Po kilku godzinach przypomniła sobie także Dawida Spencera. Dopiero przy śniadaniu, złożonym z zimnego mleka i płatków, doznała



ośnienia.

- Robert Ewing ... nie, Roger!

Matka zerknęła na nią znad grzanki z masłem orzechowym.

- Na pewno na pewno z twoją głową wszystko w porządku? Nie mogę zdezerterować uciec do twojej siostry, jeśli coś jest nie tak.

Susan się roześmiała.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zejdzie ten siniak. Może wtedy ludzie przestaną podejrzewać, że zwariowałam. Wszystko w porządku, mamó, zapewniam cię. Próbowałam sobie tylko przypomnieć nazwisko wykonawcy, którego polecił rzeczoznawca do napraw w domu.

Była zła na siebie, że znów kłamie, ale dopiero udało jej się przekonać mamę, że krótki wyjazd do Kalifornii dałby im obu trochę zasłużonego odpoczynku, no i uspokoiłby Carol. Susan też spałaby spokojniej, wiedząc, że matka jest daleko od człowieka, który dwa dni temu włamał się do domu.

Zaplanowały podróż, a Carol - kochana! - kupiła im bilety na samolot do Oakland, na jutro rano. Maggie była podekscytowana jak dziecko przed wycieczką. Gdy Susan przeszukiwała Internet, ona niecierpliwie czekała na Agnes, z którą wybierała się do salonu piękności, żeby zrobić sobie „kalifornijską fryzurę”, cokolwiek to znaczyło.

- Spóźnię się, jeśli... natychmiast nie przyjedzie - denerwowała się Maggie. - Jak myślisz, powinnam ufarbować włosy?

Susan odwróciła wzrok od internetowej książki telefonicznej, skąd właśnie się dowiedziała, że w kraju jest co najmniej trzystu Dawidów Spencerów, a prawdopodobnie znacznie więcej, jeśli uwzględnić tych, którzy podali tylko inicjał imienia lub mieli zastrzeżony numer.

Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć adresy zwrotne z kopert, a przynajmniej miasta ... To pozwoliłoby zawęzić obszar poszukiwań.

- Susan? - ponagliła matka.

- Och, przepraszam. Myślę, że strzyżenie wystarczy. Lepiej, żebyś nie czuła się zbyt zmęczona przed jutrzejszą podróżą. Pamiętaj, że musimy dojechać samochodem na lotnisko w El Paso. .

To nie był jedyny powód. Susan widziała już w mieście efekty pracy tej fryzjerki. Używała farb o tak jaskrawych kolorach, że na pewno świeciły w ciemności.

- Ta Agnes zawsze się spóźniała! - złościła się Maggie. - Nawet w czasach szkolnych przynosiła ... pracę domową. .. dwa dni po terminie.

- Proszę, nie dokuczaj jej. Agnes wyświadcza nam przysługę, idąc z tobą do fryzjera. To bardzo miło ze strony jej i Herba, że przynoszą nam zakupy. Nie wiem, co zrobiłabym bez niej i Robert.

Matka się uśmiechnęła.

- Ja też! Nie zapomnij ich odwiedzić po powrocie do Clementine. Nie chcę, żeby czuły się samotne.

Susan nie dała się nabrać. Słyszała, jak matka przez telefon prosiła przyjaciółki, żeby miały oko na jej młodszą córkę. Czuła, że kilka razy w tygodniu będzie dostawać domowe przysmaki. Błagała w myślach, żeby nie było wśród nich potrawki z tuńczyka, przygotowanej przez Robertę.

Po kilku minutach przyszła Agnes i wkrótce potem Susan miała mieszkanie tylko dla siebie.

Wróciła do wyszukiwania danych. Zwabiony stukotem klawiszy Peavy wskoczył jej na kolana i z zaciekawieniem wpatrywał się w migający monitor. Gdy zakłęta, niezadowolona z wyniku, zaczął ją lizać po twarzy. W końcu zestawiała go na podłogę.

Skąd miała wiedzieć, który z kilkudziesięciu Seanów Wellsów i Rogerów Ewingów pisał do jej męża?

- Na tym polega problem tego kraju - powiedziała do pieska, który patrzył na nią znacząco, chcąc wrócić na jej kolana. - Zbyt wielu ludzi nosi takie same nazwiska!

Gdyby miała resztę korespondencji, może coś by wymyśliła. Ale co właściwie mogłaby zrobić? Zadzwoić do obcego człowieka i spytać, jakie interesy robił z jej mężem? Teraz nawet tego mizernego planu nie dałoby się zrealizować, za sprawą zastępcy szeryfa Ramireza lub kogokolwiek innego, kto włamał się do jej dżipa.

Zniechęcona odłączyła się od Internetu. Postanowiła zadzwonić do firmy, którą polecił jej pan Foley. Przynajmniej wiedziała, że ubezpieczenie pokryje koszty napraw. Miała już tyle na głowie, że nie chciała się sama zajmować tą przykrą czynnością.

Właśnie gdy odszukała numer, zadzwonił telefon. Przypominając sobie wczorajszy incydent, odczekała cztery dzwonki. Pomyślała, że jest śmieszna. Dzwonił pewnie jakiś ankieter lub mama, żeby zapytać, czy zdaniem Susan nie będzie zbyt „kalifornijska” we włosach koloru jasnoblond.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi, tylko dziwna cisza, tak jak przedtem. Tym razem nie słyszała nawet najłżejszego oddechu.

- Kto dzwoni? - zapytała, szybko rozważając w myślach możliwości. Ponieważ Ramirez posunął się, jeśli to naprawdę był on, do kradzieży dowodów, to może myślał, że takim dręczeniem zmusi ją do przyznania się do winy? Albo po prostu dzwonił któryś z uczniów, tylko wstydził się odezwać? Nie dawała jej spokoju jeszcze jedna myśl: może to Brian telefonował ze swojej kryjówki.

I był znacznie bliżej niż sobie wyobrażała. Zrobiło jej się niedobrze.

- Nie dzwoń tu więcej, jeśli nie masz nic do powiedzenia! - krzyknęła do telefonu.

Nie czekając na odpowiedź, trzasnęła słuchawką tak mocno, że Peavy podkulił ogon i uciekł do pokoju gościnnego.

Nie miała mu tego za złe. Sama chciałaby się teraz schować pod łóżkiem. Zamiast to zrobić, podniosła słuchawkę. Z bijącym sercem wstukała kod zgodnie z umową z operatorem kod ten miał ją połączyć z ostatnim numerem, z którego do niej dzwonił.

Z zapartym tchem czekała, aż ktoś odbierze.

- Pierwszy bank hrabstwa Ocotillo, gdzie dobra obsługa klienta to nie tylko tradycja, ale i wielka przyjemność - wyrecytowała jakaś kobieta. Była młoda i mówiła szybko, pewnie zmęczona powtarzaniem tego samego przez cały dzień. - Jak mogę dziś zaprezentować nasze zalety?

Susan zamrugała ze zdziwienia. Jej bank?

- Najpierw proszę mi powiedzieć, kto do mnie dzwonił - wykrztusiła po chwili milczenia.

- Nazywam się Susan Dalton Maddox, mam u państwa konto. Odbieram głuche telefony, ostatnio dzwonił z tego numeru.

- Proszę zaczekać kilka chwil, z radością to sprawdzę - odpowiedziała gorliwie recepcjonistka, jakby została zaprogramowana.

Susan skrzywiła się, słysząc muzyczkę w słuchawce. Na szczęście nie musiała długo

czekać.

- Bardzo mi przykro, pani Maddox. Nikt nie przypomina sobie takiego telefonu. - Dziewczyna była szczerze zmartwiona.

- Czy jest pan Beecher? - zapytała Susan pod wpływem impulsu. - Jeśli tak, chciałabym z nim porozmawiać.

- Sprawdzę, czy może przyjąć rozmowę.

- Jeśli tak, uznam to za demonstrację doskonałości banku - powiedziała jej Susan.

Zmieniła swoje zdanie o recepcjonistce, gdy młoda kobieta się roześmiała.

- Tak - powiedziała. - Niezły tekst, prawda? Zapłacili za niego mnóstwo forsy jakiemuś konsultantowi. Zaraz panią połączę.

Hal Beecher odebrał po drugim dzwonku.

- Susan, właśnie próbowałem się z tobą skontaktować, ale ten nowy system jest koszmar. Konsultant poradził, żebyśmy...

- Przede wszystkim nie każcie tej biednej recepcjonistce recytować reklamowych tekstów.

- Przyjmuję to do wiadomości - odparł Hal.

- Czy dzwoniłeś w sprawie domu?

- Chciałem zapytać o ciebie - powiedział. - Bardzo się zdenerwowałem, kiedy usłyszałem, co się stało w twoim domu. Trudno to sobie wyobrazić. Na pewno byłaś przerażona.

- To prawda. Dziękuję za troskę. - Naprawdę czuła wdzięczność, chociaż jego szczerze słowa sprawiły, że w głowie Susan zadźwięczał dzwonek alarmowy. Miała nadzieję, że ostatnim razem zdołała go zniechęcić do bardziej osobistych kontaktów.

- Wszystko w porządku? Słyszałem, że zostałaś ranna. Chciałem przyjść do ciebie wczoraj rano, ale nie mogłem odwołać ważnego służbowego spotkania. A rada nadzorcza banku ...

- Czuję się dobrze. Może to i lepiej, że się wczoraj nie pojawiłeś. Pewnie spałam.

Obok Luke'a na kanapie, pomyślała, przypominając sobie, jak miło było przy nim leżeć. Ułożył rękę na jej talii i mocno ją do siebie przytulił.

- Jesteś tam, Suz? - zapytał Hal. - Pytam, czy są duże straty.

- Raczej nie - odparła, krzywiąc się, bo użył zdrobniającej formy jej imienia.

- Nie zniszczono nic ważnego.

- A te rzeczy, które, jak mówiłaś, mogą nam pomóc znaleźć... - Szukał słowa, prawie tak samo jak matka Susan.

- Słuchaj Hal, przykro mi, że w ogóle o tym wspomniałam.

- Wciąż je masz?

- Tak, ale naprawdę nie chcę ci robić nadziei.

Prawdopodobnie nic z tego nie będzie.

Bardzo długo milczał. Pomyślała nawet, że zepsuł się telefon.

- Hal?

- Bardzo mi przykro, Susan - powiedział z żalem. - Zwlekałem, jak długo się dało, ale teraz zarząd wywiera na mnie nacisk, nie mogę więc ...

- Mówiłam ci, żebyś się tym nie przejmował. Skonfiskujcie dom. I tak bym tam nie wróciła.

- Możliwe, że jest jeszcze jedno wyjście - powiedział, jakby nie usłyszał jej słów. - Musimy się spotkać ... jak najszybciej.

Instynkt ostrzegał ją, że nie powinna słuchać jego planów - chyba że chciałaby zostać zastępczą żoną. Zadrżała na tę myśl.

- To chyba nie będzie konieczne ... och, ktoś właśnie dzwoni do drzwi. Przepraszam, ale muszę kończyć.

Luke nie dzwonił jeszcze do drzwi, ale widziała jego pikapa, parkującego na wolnym miejscu obok dżipa. Gdy wysiadał z auta, poczuła ulgę. Tylko jemu mogła powiedzieć o skradzionych listach.

Zbagatelizowała myśl, że powinna raczej ufać pogrążonemu w żalu bankierowi o dobrym sercu, opiekującemu się dzieckiem, niż mężczyźnie, który kiedyś zabrał jej cnotę i nigdy już o tym nie wspomniał.

## ROZDZIAŁ 11

Susan zebrała włosy gładko do tyłu i spięła w kok. To uczesanie i szorty odsłaniające jej długie nogi strasznie rozpraszały Luke'a, gdy pracował nad twardym dyskiem.

Tak działał na niego sam jej widok. Kiedy opowiedziała mu o dziwnych listach, jakie otrzymywał Brian, oraz o ich niewyjaśnionym zniknięciu, odłożył kontroler dysku, który właśnie wymontowywał.

- Ramirez? - Patrzył, jak Susan przechadzała się po pokoju. - Ale dlaczego miałby to zrobić, do cholery? Przecież nie może wykorzystać nielegalnie zabranych dowodów, żeby cię aresztować, nawet gdyby chciał.

Susan zatrzymała się i zmarszczyła brwi.

- Może to nie jest jego celem. Może Ramirez jest inaczej zamieszany w tę sprawę, tylko jeszcze nie wiemy jak. Pamiętaj, że ktoś z biura szeryfa pozbył się dowodów, które zabrano z mojego domu. Czy można wykluczyć Ramireza?

- Prędzej zrobił to on niż Abbott. Hector wpadł do nas rano. Powiedział mojej mamie, że nie jesteś podejrzana ...

- Na pewno twoja matka zaraz zadzwoni, żeby mnie przeprosić. - Odwracając się w stronę telefonu, Susan przyłożyła rękę do ucha i udawała, że nasłuchuje.

- Nie liczyłbym na to. Kiedy powiedziałem, że do ciebie jadę, dała mi czas do końca tygodnia, żebym wyniósł się z jej domu. Najlepiej, żebym pojechał do Austin, gdzie nie będzie mnie ciągnęło do współpracy z wrogiem.

- Jak miło. - Znów zaczęła chodzić po pokoju. Luke pomyślał, że wygląda jak puma w klatce. - Co więc zrobisz?

Wolałby, żeby stanęła nieruchomo, bo widok jej poruszających się nóg nasuwał mu zbyt wiele niewłaściwych odpowiedzi na jej pytanie.

Jest żoną twojego brata, na miłość boską. W myślach powtarzał te słowa jak mantrę, mając nadzieję, że w końcu to sobie wmówi.

Przysiadła na jednym z dwóch wysokich taboretów, stojących przy kuchennym blacie. Niestety, nadal dobrze widział jej nogi.

- Zostanę tu - obiecał - jak długo będziesz mnie potrzebować. Zawsze mogę wynająć pokój. Czy Zajazd Sportowców jeszcze działa?

Kiwnęła głową.

- Tak, i zawsze poza sezonem łowieckim są wolne pokoje.

Ale może twoja mama ma rację. Może powinieneś wrócić do pracy.

Popatrzyła mu w oczy. W przeciwieństwie do spojrzenia matki, jej wzrok powiedział mu, że chciałaby, żeby został. Luke miał nadzieję, że ta interpretacja nie jest tylko pobożnym życzeniem.

- Rano zawożę mamę do Oakland - dodała. - Nie będzie mnie przez kilka dni, pomogę jej się zadomowić. Nie ma powodu, żebyś czekał ...

Wstał z sofy, przeszedł przez pokój i stanął przed nią, tak blisko, że odwróciła głowę. Jakby się bała tego, co mogło wyzwolić jego spojrzenie.

- Za blisko - szepnęła. - Stajemy się sobie zbyt bliscy, pracując razem nad tą sprawą.

Ujął jej podbródek i odwrócił w swoją stronę.

- Czego się boisz?

Pokręciła głową, żeby uwolnić się od jego dotyku i zamrugła, by ukryć łzy, napływające do oczu.

- Mam odpowiedzieć w punktach czy w formie powieści? - zapytała z udawanym sarkazmem.

Nie naciskał. Nie śmiał, bo znalazł się zbyt blisko granicy, którą oboje wytyczyli sobie tak wiele lat temu. Bał się, że gdyby przekroczył tę barierę, na pewno Susan kazałyby mu się wynosić, tak samo jak matka.

Luke odetchnął głęboko i zerknął na komputer po drugiej stronie pokoju. To był dobry moment na zmianę tematu.

- Mogę go otworzyć? Wymieniłem kontroler w twoim twardym dysku i jestem ciekawy, czy to coś da. Wmontowałbym dysk do swojego laptopa, ale się nie zmieści.

Mógłby przysiąc, że usłyszał westchnienie ulgi. Kiwając głową, poszła za nim w stronę komputera.

- Naprawdę myślisz, że to może się udać? Dotrzemy do plików Briana?

- Nie rób sobie wielkich nadziei - poradził Luke, odkręcając obudowę starego peceta - zwłaszcza jeśli nie zadziała od razu.

Dysk nie zadziałał. Ani za pierwszym razem, ani za drugim, ani za trzecim. Luke pokręcił głową.

- Przykro mi, Susan. Naprawdę sądziłem, że to się uda. Milczała dłuższą chwilę, wyjął więc twardy dysk.

- Może jeśli wymienię też silnik ...

- Nie zadawaj sobie tyle trudu. - Wyglądała przez okno, prawdopodobnie, żeby ukryć łzy. - Powinnam się domyślić, że nic z tego nie będzie. Powinnam to wiedzieć od początku!

Wtedy Luke zauważył uszkodzony kabel, którym połączył dwa twarde dyski. Sięgnął do kieszonki w torbie na laptopa i zastąpił przewód nowym. Nie mówiąc nic Susan, spróbował ostatni raz uruchomić twardy dysk.

- Kręci się! - wykrzyknął, gdy na monitorze starego komputera jej matki pojawiły się informacje o zawartości dysku.

Stojąc przy biurku, zaczął przeciągać myszką katalogi, żeby skopiować je na drugi dysk. Dane podatkowe, poczta elektroniczna, dokumenty tekstowe ... I nagle ...

- Cholera! - Na monitorze pojawił się komunikat o błędzie. - Dysk diabli wzięli.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Susan, która stała teraz za jego krzesłem.

Miała zaciśnięte dłonie i wyglądała tak, jakby na chwilę przestała oddychać.

Sprawdził pliki, które właśnie skopiował, i uśmiechnął się triumfalnie.

- To nic, Susan. Mamy je. Skopiowaliśmy pliki Briana i większość jest chyba nienaruszona.

Jej skamieniała twarz nagle się rozpromieniła. Susan objęła Luke'a i zanim zdążył zareagować, pocałowała go. Pocałunek był tak namiętny i radosny, że żadne z nich nie potrafiło go przerwać.

Zresztą Luke wcale nie miał na to ochoty. Gdy jego ciało krzyknęło: „Hura!”, przyciągnął ją jeszcze bliżej, ciesząc się, że do niego przyłgnęła, że rozchyliła gorące, wilgotne usta, by dotykać jego języka.

Przeszył go dreszcz rozkoszy. Pomimo wcześniejszych przyrzeczeń Luke nie mógł się opanować. Bezwiednie wsunął dłonie pod jej T - shirt i ujął jej miękkie, okrągłe piersi. Słyszając gardłowe mruczenie, rozpiął jej stanik i szybko odsłonił małe, sterczące sutki.

Bardzo chciał je pocałować, oderwał usta od jej ust. W tej krótkiej chwili usłyszał jej okrzyk zdenerwowania.

Skrzyżowała ręce na piersiach i pokręciła głową.

- Nie. Nie, Luke. Bardzo przepraszam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

Luke zaklął, był bardzo rozczerowany - i wściekły na siebie. Zdarzało mu się już przekraczać pewne granice, ale nigdy przedtem nie kochał się z mężatką. Co z niego za brat, że podrywa żonę Briana? I co za człowiek, że naraża ją na dalsze cierpienia i skandal?

A jednak w głowie kołatała mu pewna myśl: Brian nigdy na nią nie zasługiwał. Ani przez chwilę nie doceniał tego, co miał. Nigdy nie kochał jej tak, jak ...

Nie mógł skończyć tej myśli, szybko ją więc porzucił.

- A raczej wiem, dlaczego - ciągnęła Susan. - Poczułam wielką ulgę, że wreszcie mamy szansę odnaleźć Briana.

- To nie ma nic wspólnego z Brianem. - Luke próbował się powstrzymać, ale słowa popłynęły same, jak wartki potok. - Chodzi o coś, co zaczęliśmy w szkole średniej i czego nie skończyliśmy.

Chciał, żeby zabroniła mu o tym mówić albo żeby udawała, że nie słyszała.

- Mylisz się - powiedziała. Cicho i dobitnie, jakby rozumiała, że to zmieni wszystko między nimi. - Zakończyliśmy to, chociaż może zapomniałeś.

- Bardzo dobrze pamiętam. - Łatwiej było wycofać się za fasadę przemądrzałego twardziela, która tyle razy przedtem go ochroniła. - I wierz mi, kochanie, dopiero zaczynałem.

Zapięła stanik.

- Zawsze byłeś draniem. Szkoda, że tak bardzo się zakochałam, że nie dostrzegłam tego od razu.

- Jeśli się zakochałaś, bardzo dziwnie to okazywałaś. Nie odzywałaś się do mnie przez kilka tygodni! - Dziwnie było przywoływać przeszłość po tylu latach, ale ich pocałunek podпалиł zasłonę milczenia. I dobrze, niech cała spłonie, pomyślał wbrew sobie Luke.

- Miałam cholerne kłopoty w domu, ty idioto - odparła Susan. - Dostałam szlaban na kilka tygodni, tylko dlatego, że Carol widziała mnie z tobą w szkole. Szpiegowała mnie dniem i nocą, nie mogłam ryzykować, że się dowie ... że odgadnie, co zrobiliśmy.

Myślał o jej słowach. Znow zapadła cisza. Tym razem ona odezwała się pierwsza.

- Miałam tak niewiele lat, to wszystko było dla mnie takie nowe. Martwiłam się, że oddałam serce takiemu draniowi... serce i cnotę. Kiedy wreszcie nadarzył się moment, żeby pomówić z tobą na osobności, ty już przyciskałeś Lindę Finch do jej szafki.

- Kiedy nie odezwałaś się do mnie następnego dnia, pomyślałem, że wstydzisz się tego, co zrobiliśmy, i nie chcesz, bym ci o tym przypominał. Ale nie mogłem tego tak zostawić, bo ... nic nie powiedziałaś, ale wiedziałem, że byłem twoim pierwszym mężczyzną. - Skrzywił się, przypominając sobie, jak krzyknęła. Bardzo chciał wtedy cofnąć czas. Ale ona uśmiechnęła się do niego słodko i szepnęła: „Jeszcze”. .

Odetchnął głęboko, zanim mógł mówić dalej.

- Kiedy już zebrałem się na odwagę, żeby do ciebie zadzwonić, twoja mama oświadczyła, że nie chcesz ze mną rozmawiać i że jeśli nie zostawię cię w spokoju, to poskarży się moim rodzicom. I tak miałem już kłopoty, bo nie przykładałem się do nauki. Tata powiedział, że jeśli się nie poprawię, zabierze mi samochód. Tak, dlatego uciekłem.

Nie powiedział jej, ile razy myślał o tej decyzji i przeklinał siebie samego.

Teraz wiedział, że gdyby zachował się inaczej, to może byłaby szansa ...

- Zadzwoniłeś? - zapytała, ale zaraz pokręciła głową. - Jakie to ma znaczenie? To i tak nic by nie zmieniło. Mieliśmy po siedemnaście lat.

- A teraz? - Nie mógł się powstrzymać, aby nie zadać tego pytania. Pokręciła głową.  
- Za późno. Adwokat mówi, że za miesiąc znów będę się nazywać Susan Dalton, i chcę, żeby tak zostało.

- Nie zmieniłaś się bardzo - powiedział.

- O co ci chodzi?

- Pod wieloma względami nadal jesteś tą samą przerażoną dziewczyną.

- Tak, a ty draniem, jesteśmy więc kwita. Zobaczmy, co ściągnąłeś z tego dysku. Niech sama ocenię, czy zasłużyłeś na pocałunek.

Odgarnął kosmyki z jej oczu.

- A jeśli uznasz, że to było warte więcej - mruknął - czy mogę odebrać dopłatę?

- Wolnego, ty świrze. Może zażadam reszty.

Odwróciła się, ale nie dość szybko, żeby nie zauważył jej spojrzenia, które przeczyło jadowitym słowom.

Gdy Luke przesyłał dane z twardego dysku Briana na swój znacznie szybszy laptop, Susan trzymała się w pewnej odległości od niego, próbując zapomnieć o tym, co zdarzyło się kiedyś. Obrazy rozbłyskiwały jak meteory w jej świadomości: pocałunek sprzed kilku chwil przywołał wspomnienia tamtej nocy pod gwiazdami. Oddychała coraz szybciej, czuła łaskotanie na piersiach, tam, gdzie jej dotykał, gdzie chciał ją całować.

Aby ukryć targające nią emocje, poszła do kuchni i szybko zrobiła kanapki.

Jej dłonie poruszały się automatycznie, a myśli nieustannie wracały do Luke'a.

Gdyby nie zaprotestowała, żadne z nich by się nie zatrzymało. Przeraziło ją, że oprócz ulgi czuła żal. Wielki żal.

Zagryzając dolną wargę, starała się odzyskać równowagę.

Chociaż w majestacie prawa nie była już mężatką, związek z Lukiem sprowadziłby na nią tylko dalsze podejrzenia i kolejne kłopoty. Mowy nie ma, powtarzała sobie w myślach, dopóki słowa te nie straciły znaczenia i nie rozpuściły się jak kostka lodu na deszczu.

Chociaż pozostała czujna, nie ufając bardziej sobie niż Luke'owi, podeszła bliżej, gdy zaczął otwierać pliki. Postawiła przy jego łokciu talerz z kanapkami z masłem orzechowym i marmoladą, a potem stanęła za nim i patrzyła przez jego ramię na monitor. Modliła się, żeby nie wyczuł szybkiego bicia jej serca.

Luke kliknął na ikonę pliku i monitor stał się jasnoniebieski.

Na tym tle pojawiły się białe litery komunikatu: Błąd krytyczny. System zamknie się za minutę. Wszystkie niezapisane dane zostaną utracone.

- Cholerny niebieski ekran śmierci - mruknął Luke, wciskając różne klawisze, żeby zresetować laptop.

Susan odłożyła kanapkę, którą skubała.

- Coś takiego wyświetlało się niedługo przed tym, zanim padł twardy dysk. Pomyśleliśmy, że to ostatnie ostrzeżenie.

- To nie ma nic wspólnego z uszkodzeniem dysku. Zawinili zbyt dobrze wykształceni i za nisko opłacani krety, którzy są wściekli na cały świat.

- Co?

- To robak ... jak wirus. Coś w tym rodzaju.

Susan nie była pewna, czy chce jej się płakać, czy raczej kłąć.

- Zadałeś sobie tyle trudu, żeby odzyskać pliki Briana, a teraz nie będziemy mogli do nich zajrzeć?



- Tego jeszcze nie wiem. Najpierw usuńmy robaka i zobaczymy, co się stanie. Kiedyś usuwałem go z komputerów w firmie, myślę, że mam jeszcze na dysku aplikację, która ... Jest!

Uruchomił program, likwidujący robaka. Jego obojętność irytowała Susan, choć także sprawiała ulgę. Powinna być wdzięczna, że błąd, którego omal nie popełnili, nie wytrącił go za bardzo z równowagi. Za wszelką cenę próbowała się opanować. Czekaając, czy program zadziała, zmusiła się do jedzenia.

Kiedy system uruchomił się po raz drugi, Luke poinformował ją o sukcesie.

- Ale, niestety, niektóre z tych plików są zniszczone - dodał.

- Kiedy je otworzymy, pokaże nam się śmietnik. Losowe symbole. Zobaczymy jednak, co zostało.

Pomagała mu przeglądać plik po pliku. Skoncentrowała się na pracy i stopniowo przestała czuć ucisk w żołądku. Pojawiło się nowe zmartwienie.

W kolejnych otwieranych plikach znajdowali tylko rutynowe zapisy finansowe, korespondencję biznesową i e - maile - czasami adresowane do Luke'a albo do kolegi ze studiów, częściej elektroniczne biuletyny albo rachunki za płyty kompaktowe z muzyką rockową, które Brian często kupował w sieci. Po godzinie, gdy przejrzeni już prawie wszystkie pliki, była pewna, że nie znajdą nic przydatnego. Najwyraźniej Brian, przygotowując się do ucieczki, korzystał z innych środków niż komputer. A może był na tyle ostrożny, że skasował obciążające go pliki? Co prawda, przeczyło temu jego przerażenie w dniu, kiedy zepsuł się dysk, ale przecież zachowanie Briana nie miało żadnego sensu.

Była tak zaprzątnięta własnymi obawami, że omal nie przeoczyła czegoś ważnego.

- Czekaj ... cofnij. Jeszcze jeden. Tutaj.

Drżącym palcem wskazała nagłówek e - maila wysłanego do Briana. Rachunek. Zapłata D. Spencerowi.

- David Spencer - powiedziała. - Kilka listów z kryjówki Briana było zaadresowanych do niego. Myślisz, że to ten sam facet?

Przejrzała wiadomość i zorientowała się, że było to potwierdzenie przelewu bankowego. Przetarła oczy, widząc kwotę. Pomyślała, że od czytania poczty maści jej się w głowie. Ale kwota się nie zmieniła. Brian przesłał D. Spencerowi z ich wspólnego konta dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów.

- To nie ma sensu - wykrztusiła. Brian na pewno nie kupił płyt kompaktowych za taką sumę! Luke przełknął ostatni kawałek kanapki.

- O przelewach wyższych niż dziesięć tysięcy dolarów banki muszą informować władze federalne. Najwyraźniej chciał to ukryć.

- Ale co?

- Patrz ... - powiedział Luke. - Tu jest kolejny e - mail, nadany miesiąc później. Wtedy Brian wysłał D. Spencerowi równe pięć tysięcy dolarów.

- Dlaczego? - zapytała Susan. - Muszę się dowiedzieć, co sprzedawał ten facet.

Luke szukał w innych plikach nazwiska Spencer, ale nie znalazł.

- Sprawdźmy, czego możemy się o nim dowiedzieć. - Luke podłączył kabel do gniazda telefonicznego i wcisnął kilka klawiszy. Po paru chwilach laptop połączył się z Internetem.

Patrzyła zafascynowana, jak Luke wchodzi do baz danych, o których jej się nawet nie śniło, i wklepuje adres internetowy D.

Spencera, który widniał na rachunkach Briana. Luke mruczał ze złości, natrafiając na kolejne przeszkody. - Ten adres nie jest już aktywny - powiedział. - Ale daj mi kilka minut, to

może się dowiem, kto kiedyś ... Bingo!

W innych okolicznościach Susan przeraziłaby się, ile osobistych danych krążyło w cyberprzestrzeni, ale teraz poczuła wdzięczność, gdy na monitorze pojawiło się nazwisko Davida Spencera. Klikając na jakiś link, Luke znalazł nie tylko numer telefonu, ale i adres w San Francisco. Dokładny, z numerem mieszkania.

- Nie do wiary - mruknęła, zapisując te informacje na skrawku papieru. - Każdy, kto chciałby kogoś śledzić ...

- Niestety, często tak się dzieje - powiedział Luke. - Ale nie martw się. Już dawno zablokowałem dane twoje i mamy, w tym samym czasie, kiedy zabezpieczałem dane swojej rodziny.

- Hm, dzięki. Co teraz? Czy zadzwonimy ...

Kątem oka dostrzegła wóz policyjny, jadący ulicą Mirage. Stała przy oknie w takim miejscu, żeby nikt nie zobaczył jej z ulicy, i patrzyła, jak samochód zatrzymuje się obok pikapa Luke'a.

- Ramirez - powiedziała cicho, jakby zastępca szeryfa mógł ją usłyszeć. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Luke wcisnął jeszcze kilka klawiszy, a potem wyłączył komputer i stanął obok niej przy oknie.

- Niech sprawdza - powiedział. - Ubezpieczenie, rejestrację ... wszystkie papiery mam w porządku.

Zmarszczyła brwi, myśląc o teczce, zabranej z jej dżipa.

- Mam nadzieję, że w środku nie zostawiłeś nic ważnego.

Pokręcił głową.

- Nie zrobiłby tego. Na ulicy ktoś mógłby go zauważyć. Możliwe, że tylko próbuje nas zastraszyć. To w stylu Ramireza, którego pamiętam.

- Od zniknięcia Briana traktuje mnie jak jakąś czarną wdowę - powiedziała Susan, patrząc, jak wóz policyjny skręca w Oasis Drive. - Ale co ma przeciwko tobie? Myślałam, że się przyjaźniliście.

- Tak było - wyjaśnił Luke. - Do czwartej klasy szkoły średniej, kiedy wyremontowaliśmy starego mustanga, którego kupił. Zawsze chciał się ze mną ścigać. Wkurzał się, kiedy odmawiałem.

- Czyli jednak miałeś trochę rozsądku. Właśnie z powodu takich wyścigów ma pobliżnioną twarz? Miał wypadek?

Luke westchnął głęboko.

- Nie odmawiałem wiecznie. Bardzo tego żałuję.

- Chyba nie ...

- Miałem dość tego drania i jego kumpli, którzy szturchali mnie i nazywali mięczakiem. Wiem, że byłem głupi, ale ... - Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć bolesnego wspomnienia. - Stracił panowanie nad kierownicą i spadł z zakrętu, przy starym miejskim wysypisku.

- Czytałam o tym wypadku. To było straszne. Policja myślała, że nie przeżył.

- Inni chłopcy uciekli, nawet Lupe, jego przyrodni brat. Ale ja nie potrafiłem. Za nic w świecie bym go tam nie zostawił. Samochód leżał na dachu, z okien strzelały płomienie. Śmierdziało benzyną. Zrobiłem, co mogłem, wy - ciągnąłem go z auta, a potem pobiegłem po pomoc.

- Byłeś bardzo dzielny, Luke. Ale nie wspomnieli o tobie w gazetach. Zresztą, czy nie zatuszowali sprawy?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie przyczyniła się do tego moja mama i szeryf Abbott.

Manuel trafił do szpitala ... Trochę wcześniej zmarł mój tata. Poza tym zbliżały się wybory. - I sprawy potoczyły się jak zawsze w hrabstwie Ocotillo. - Starła się nie okazać goryczy.

- Pamiętaj, że Manuelowi też to pomogło. Gdyby szeryf Abbott postawił nam zarzuty, Ramirez nigdy nie zostałby jego zastępcą jako dawny skazaniec. Byłby mechanikiem samochodowym i pracowałby na pół etatu, tak jak Lupe. - Mimo to nie czuję wdzięczności.

- On też nie - powiedział Luke. - Od tego wypadku mnie nienawidzi.

- Przecież uratowałeś mu życie.

Luke wzruszył ramionami.

- Czasami człowiek potrzebuje tylko kogoś, kogo może obwiniać.

Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. Chciała dodać: każdy człowiek, to dotyczy mężczyzn i kobiet.

Nie zdążyła, bo zadzwonił telefon. Skrzywiła się, myśląc o problemach z linią telefoniczną Hala Beechera. Ale, jeśli zamierzał nawiązać z nią bliższy kontakt, to chyba wołała, żeby jego telefon wciąż źle działał.

Podniosła słuchawkę i usłyszała znajome jąkanie mamy.

- Su - Susan? Larinda właśnie wróciła z pokazu w ... w ... - Z głębi salonu dobiegł głos, przekrzykujący szmer suszarki. - W Lubbock, kochana. Klasa światowa.

Susan uniosła brew na myśl o tym, że Lubbock w stanie Teksas miałyby reprezentować światową klasę fryzjerstwa. Nic jednak nie powiedziała, bo to, że lubiła koński ogon, nie upoważniało jej do wygłaszania komentarzy na temat snobistycznych fryzur.

- Cóż, Lar - Larinda mówi, że rudy jest teraz modny jak kiedyś blond. A Noreen może jednocześnie ufarbować Agnes. Co więc co więc myślisz? Czy mam ... czy mamy to zrobić?

Susan skrzywiła się, wyobrażając sobie mamę z różowymi włosami, opartą na balkoniku. Ale zaraz pomyślała, że w czasie, gdy Larinda będzie szpeciła jej matkę, mogą znaleźć mnóstwo informacji w sprawie Briana.

- Jasne - powiedziała więc. - Bawcie się dobrze z Agnes.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Luke'a.

- Właśnie sprzedałam diabłu duszę mojej matki w zamian za kilka godzin dla nas. Wchodzisz w to?

Nie mogła nie dostrzec dwuznaczności w jego uśmiechu. Może jednak to, co się między nimi wydarzyło, wywarło na niego większy wpływ niż sądziła.

- Och, jasne, wchodzę - powiedział. - Pytanie, czy ty też.

Tylko spokojnie. Wzniosła oczy do nieba.

- Podaj mi ten numer telefonu. Dowiedzmy się, co David Spencer wie o twoim bracie.

- Możesz go nie zastać pod tym numerem - powiedział Luke, podając jej kartkę. - Zanim się rozłączyłem, sprawdziłem adres w innej bazie danych. Teraz to mieszkanie zajmuje ktoś inny.

Małżeństwo o nazwisku Van Doren. - Nic mi to nie mówi, ale przecież Spencer mógł zatrzymać dawny numer telefonu. Ludzie czasami tak robią, wiesz?

Podał jej słuchawkę.

- Chyba jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

## ROZDZIAŁ 12

Chociaż Susan bez wahania wzięła słuchawkę, Luke widział jej zdenerwowanie. Dostrzegł je w oczach i napięciu ramion, kiedy pomyliła się, wystukując numer.

Gdy jednak dotknął ramienia Susan, żeby dodać jej siły, strząsnęła jego rękę z irytacją, jak koń, który opędza się od much. zaproponowałaby, że sam zadzwoni, ale obawiał się reakcji Susan. Na pewno za nic w świecie by nie przyznała, że potrzebuje pomocy.

- Jest sygnał - szepnęła. Jej dłoń, trzymająca słuchawkę, drżała. Po chwili zasłoniła mikrofon. - Automatyczna sekretarka. I nie ...

Ktoś chyba odebrał, bo urwała w pół słowa.

- Halo, czy mogę rozmawiać z Davidem Spencerem? Zaskoczony Luke nie słyszał w głosie Susan zdenerwowania. Mówiła oficjalnym tonem, bardzo skoncentrowana. To było godne podziwu.

- Koniecznie muszę porozmawiać z panem Spencerem osobiście - wyjaśniła. - W sprawach służbowych.

Uniosła brwi, słuchając odpowiedzi.

- Rozumiem - powiedziała. - Bardzo mi przykro. Czy mógłby pan ... powinnam wiedzieć, kiedy to się stało. Czy można ... Halo?

Po kolejnej nieudanej próbie uzyskania odpowiedzi odłożyła słuchawkę i spojrzała na Luke'a.

- Umarł - powiedziała.

Myślał, że chodziło jej o telefon.

- David Spencer nie żyje - wyjaśniła.

- A Brian zaginął - dodał Luke. - Sądzone, że on także zmarł.

- Co za zbieg okoliczności. - Z tonu jej głosu wnioskował, że nie uwierzyła.

- Z kim rozmawiałaś?

- Nie mam pojęcia. Był zdenerwowany, nie chciał mówić.

Rozłączył się, kiedy zapytałam o czas zgonu.

- Myślisz, że to mógł być sam Spencer, który coś ukrywa?

Może dobrała się do niego policja skarbowa.

- A ja myślałam, że facet szasta moimi piętnastoma tysiącami - powiedziała Susan, przypominając o przelewach bankowych. - Kimkolwiek jest, nie pochodzi z Kalifornii. Ma południowy akcent, ale na pewno nie teksaski.

Luke wziął telefon i wcisnął klawisz powtarzania numeru.

- Zobaczmy, czy mnie się poszczęści. - Oby facet nie miał w telefonie funkcji identyfikacji numeru, dodał w myślach.

Ktoś odebrał po trzecim dzwonku.

- Halo? - Głos mężczyzny brzmiał ostrożnie, podejrzliwie.

Jakby facet myślał, że dzwoni wierzyciel... albo ktoś jeszcze groźniejszy.

- Chciałbym się skontaktować z panem Davidem Spencerem.

- Luke starał się mówić jak najzyczliwszym tonem.

- Zrozumcie wreszcie wszyscy, że on ...

- Chodzi o zwrot czterystu dwudziestu trzech dolarów i pięćdziesięciu ośmiu centów, w wyniku ostatniego rozliczenia kosztów ... - przerwał mu Luke. Od czasu do czasu pomagał firmom, które obsługiwał, w chwytności sabotażystów. Na ogół byli to niezadowoleni pracownicy, którzy, zanim ich zwolniono, wprowadzali wirusa na stronę internetową firmy.

Nawet najsprytniejsi z nich dawali się nabrać na sztuczkę ze zwrotem pieniędzy.

Susan uśmiechnęła się i uniosła kciuk, wyraźnie ubawiona.

- Przepraszam, kto mówi? - zapytał mężczyzna.

- J.D. Marshall z Kalifornijskiej Komisji Rozliczeń Miejskich. - Luke wątpił, żeby istniało takie biuro, ale nazwa brzmiała wystarczająco oficjalnie. Czy rozmawiam z panem Spencerem?

Nastąpiła krótka przerwa. Luke pochylił się i nasłuchiwał, czekając, aż mężczyzna wpadnie w pułapkę.

- Pana Spencera teraz nie ma, ale może pan przysłać czek pocztą.

- Zapiszę adres - powiedział Luke, a Susan podsunęła mu długopis i kartkę, na której sama coś zapisała. Gdy zanotował informację, inny adres w San Francisco, dodał: - Pan Spencer otrzyma czek za miesiąc, najpóźniej za sześć tygodni, panie ...

- Och, ja się nie liczę. Jestem jego znajomym. - Rozległo się kliknięcie i w słuchawce zabrzmiał sygnał.

Luke przekazał Susan słowa mężczyzny.

- Myślisz, że to on? - zapytała. - I że wie coś o Brianie?

Luke pokiwał głową.

- Jedno i drugie jest możliwe. Ale daleko nam jeszcze do udowodnienia tego.

Przyglądała się adresowi, który zapisał Luke.

- Co dalej? Mam go odszukać w San Francisco? I tak będę w Oakland, a może w rozmowie przekonam go, żeby mi coś wyjaśnił.

- Nie ma mowy, żebyś pojechała tam sama. - Luke nie przejmował się, że takie postawienie sprawy ją zdenerwuje. - Nic nie wiemy o tym facecie, nie znamy nawet jego nazwiska. Jeśli nagle się u niego pojawisz, możesz go przestraszyć i ucieknie, albo, co gorsza, zrobi ci coś złego.

Luke pogłaskał miejsce obok siniaka na czole Susan.

Ścisnęło go w żołądku, gdy pomyślał, że intruz mógł pozbawić ją przytomności na dłużej i zostawić, aby zginęła w płonącym domu ..

- Cholera, Susan - powiedział chrapliwie. - Czy jeszcze nie rozumiesz, że to ktoś bardzo niebezpieczny? Do twojego domu nie włamał się zwykły wandal czy złodziej. Oboje dobrze to wiemy.

Z irytacją odsunęła głowę.

- Wiem, nie jestem dzieckiem. Ale musisz mnie zrozumieć. Za dwanaście dni moje odwołanie będzie rozpatrywane przez radę szkoły. Muszę coś zrobić, coś konkretnego, żeby udowodnić, że nie byłam zamieszana w żadne przestępstwo. - Domniemanie winy? Czy tym draniom coś się nie pomyliło?

Prychnęła z obrzydzeniem.

- Chyba najlepiej określił to Mark Twain. Bóg stworzył idiotów dla treningu. A potem wymyślił radę szkoły.

- Podaj ich do sądu - poradził. - Zwalniają cię z powodu plotek.

Pokręciła głową.

- I tak by wygrali, bo od razu musiałabym wyjechać z miasta i znaleźć inną pracę. Jaka szkoła zatrudni nauczycielkę, która procesuje się z poprzednim pracodawcą?

Luke chciał zaproponować jej pieniądze, tyle, ile trzeba było, żeby wygrała walkę w sądzie. Wiedział jednak, że Susan się nie zgodzi, z dumy, a może raczej ze zdrowego rozsądku.

Zresztą, nawet gdyby w desperacji przyjęła jego propozycję, nieodwracalnie zmieniłoby to ich związek, a on i tak już z trudem utrzymywał emocjonalną równowagę.

- Możesz się zajmować czym innym - powiedział. - Przecież masz dyplom w dziedzinie ochrony środowiska. Mam klientów w Austin, którzy projektują oczyszczalnie. Zagospodarowują skażone obszary, żeby stały się bezpieczne i przydatne dla ludzi. Robią tam łądowiska, pola golfowe ... No i zarobiłabyś znacznie więcej pieniędzy.

Pokręciła głową.

- Jestem nauczycielką, Luke, i to świetną. Pewnie pomyślisz, że plotę bzdury. Brian bardzo mi z tego powodu dokuczał. Ale wiedz, że lubię pomagać dzieciakom, zwłaszcza tym, od których odwrócił się system, a często także ich rodzicom. Nie chcę, żeby moi uczniowie zobaczyli, że uciekam z powodu plotek. A już na pewno nie mogą zobaczyć, jak się sprzedaję, żeby dodatkowo wzbogacić bogate korporacje. Nawet dla szczytnego celu.

Luke słyszał taką determinację we własnym głosie, kiedy odrzucił lukratywną propozycję giganta telekomunikacyjnego. Poproszono go o napisanie programu, który pomógłby wykończyć małe, konkurencyjne firmy, i tak już trzymające się na włosku. Rekrutujący go człowiek powiedział, że Luke jest wariatem, bo pracuje w małej firmie, zajmującej się nową dziedziną elektronicznych zabezpieczeń. Ale to była jego miłość. Upór się opłacił.

Nie miał złudzeń, że ideały Susan pozwolą jej zarobić tyle pieniędzy, ile jemu jego praca, a nawet że zapewnią jej zasłużony szacunek. Ale najważniejsza jest pasja, zajmowanie się tym, do czego człowiek jest stworzony. On włożył więcej pieniędzy w remont starego pikapa, niż był wart samochód, rozumiał ją więc bardzo dobrze.

- Coś ci powiem - zaczął. - Wrócę na ranczo i postaram się dowiedzieć czegoś jeszcze o tym Davidzie Spencerze. Sprawdzę też nowy adres, zobaczę, czy jest tam zameldowany ktoś o innym nazwisku. - Chciał także przejrzeć dane bankowe, żeby sprawdzić, czy przelew, którego dokonał Brian na rzecz Spencera, da im jakieś przydatne informacje. Ponieważ jednak było to nielegalne, nie chciał, żeby Susan cokolwiek o tym wiedziała. Luke współpracował kiedyś z bankami, byłoby to więc także nieetyczne. Dobrze, że Sibyl nie ma żadnych zahamowań. Tylko na pewno zażąda wyższej stawki.

- Wyjeżdżam jutro rano, około siódmej - powiedziała Susan.

- Zadzwonisz i powiesz mi, co znalazłeś?

- Umowa stoi, jeśli obiecasz, że nie zrobisz nic w sprawie Spencera, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

Susan podniosła rękę tak jak kiedyś Marcus i Jimmy, po czym z uśmiechem powiedziała to, co oni.

- Słowo skauta.

Pikap ruszył z takim hukiem silnika, że w oknach i drzwiach przy całej ulicy Mirage pojawili się zaciekawieni ludzie. Zawstydzony Luke pomachał im ręką, pokazując, że wszystko jest w porządku. Odjechał szybko, żeby jakiś gorliwy obywatel nie zawiadomił policji, że jakiś samochodowy gangster z miasta przyjechał do Clementine i terroryzuje mieszkańców.

Luke pomyślał, że po powrocie do domu będzie musiał sprawdzić świece i zawory. Ale ten problem wydawał się bez znaczenia wobec poważniejszego pytania: Ile mam czasu, zanim determinacja każe Susan złamać dane słowo?

Przypomniał sobie narzekania Briana. „Nigdy nie słucha, kiedy jej mówię, żeby była ostrożna. Do tego klubu ekologicznego zapisały się straszne zbiry. Ale ona łązi z nimi po

pustyni, czasami nawet biwakuje. Niczego się nie boi”.

Luke musiał przyznać, że gdyby Susan była jego żoną - ta myśl przeszła jego świadomość jak ostra igła - też by się o nią bał, chociaż „dzieciaki” do tej pory ani razu nie nadużyły jej zaufania. Jednak czy w sprawie Davida Spencera wrodzona ufność Susan nie przyczyni jej kłopotów?

Tuż za tablicą z napisem ROCKY RJM Luke zjechał na pobocze i cofnął się do skrzyżowania głównej ulicy z polną, wyboistą ścieżką, która nie zasługiwała na miano drogi. Wszystko wyglądało tu okropnie, nawet opuncje i inne kaktusy. Jedyne widocznymi żywymi istotami były muchy, cały rój obsiadł przejechanego królika leżącego w koleinie po kołach ciężarówki.

Po bladym niebie przesuwały się wąskie, srebrnawe chmury.

O tej porze roku mogły zwiastować nagły deszcz, który zamieniłby drogę w rwący potok. Ale Luke wiedział, że ma jeszcze kilka godzin, może więc teraz tędy przejechać. Porozmawia ze starym hipisem, może nawet zabierze pozostałe listy, o których wspomniała Susan.

Jak brzmiało nazwisko faceta, który wynajmował puste pokoje na magazyny? Powiedział je Jimmy. Może Moone ... nie, Boone.

Luke nie był pewien, czego się spodziewać po tym spotkaniu, ale co do jednego nie miał wątpliwości. Staruszek na pewno uważa przedstawicieli prawa i żony „klientów” za swoich największych wrogów. Z bratem, który chciałby uregulować rachunek Briana, powinno być inaczej, zwłaszcza jeśli ten brat dorzuci dodatkowo pięćdziesiąt doków. „

Jechał powoli drogą, wzdłuż której stały słupy wysokiego napięcia. Ktokolwiek zaprojektował to tanie osiedle w Clementine, postarał się, żeby było oddalone od miasta. Mieszkańcy widzieli z okien bezkresną pustynię, której surowy wygląd łagodziło tylko fioletowe pasmo gór w oddali.

Luke nie jechał tędy od lat, ale nic się tu nie zmienił? przez ten czas, domy z pustaków wyglądały jak więzienne baraki. Wrażenie to potęgowały kraty, zamontowane przez dzikich lokatorów w oknach bez szyb. Tacy przestępcy okradali przede wszystkim siebie nawzajem.

Nie oznaczało to oczywiście, że oszczędzali innych.

Okradają zakład energetyczny, pomyślał, gdy spostrzegł przewody, biegnące od głównych linii. Wsunął laptop do zamykanej na klucz skrytki, którą zrobił pod siedzeniem pasażera, dotarło do niego bowiem, że on też stanie się celem rabusiów, jeśli nie będzie bardzo uważał.

Nie mieściło mu się w głowie, że mógł tu przyjeżdżać jego brat. Podobnie jak Luke, Brian był wysoki i silny, ale w przeciwieństwie do niego, nigdy nie nauczył się bić, a przynajmniej na poważnie. Zawsze gardził biednymi i był przekonany, że ich wszystkie problemy wynikają z głupoty i rozrzutności. Luke nigdy nie podzielał tego zdania, ale przyznawał, że taka postawa brata mogła być wynikiem doświadczeń w pracy. Brian mówił, że stracił bardzo dużo pieniędzy z powodu ludzi, którzy znikali z samochodami, nie płacąc za me.

Żadne z kilku aut, zaparkowanych bezładnie na osiedlu, nie było nowe.

Większość wyglądała tak, jakby nie jeżdżono nimi od lat. Wsiadł z pikapa, stanął i nasłuchiwał. Wiatr gwizdał w pustych pomieszczeniach. Luke niemal czuł, jak dzicy lokatorzy wyteżają wzrok i słuch, starając się zgadnąć, czy jest policjantem, urzędnikiem urzędu imigracyjnego, czy może jakimś. zbirem, nasłanym przez dłużników.

Być może wszystko to była gra wyobraźni, bo nagle usłyszał inne dźwięki: radio, nastawione na hiszpańskojęzyczną stację, i płacz dziecka, któremu najwyraźniej brakowało wrodzonej waleczności. Luke czuł też zapach gotującej się potrawy.

Domyślał się, że to fasola, odgrzewana na małej kuchence elektrycznej. Zastanawiał się, czy płaczące dziecko nigdy nie dostaje nic lepszego do jedzenia. Żadnego mięsa ani nawet mleka?

Nie mając pojęcia, gdzie szukać Boone'a, Luke poszedł tam, skąd dolatywał zapach fasoli i krzyk dziecka, do jednego z domów stojących od frontu. Dom wyglądał tak samo jak pozostałe, tylko że brązowa farba na drzwiach zaczęła się łuszczyć i odchodzić płatami, jak skóra po poparzeniu słonecznym. W zakratowanym oknie stłuczoną szybę zastąpiono tekturą.

Ale najwyraźniej pozostało coś w rodzaju wizjera, bo zanim Luke zdążył zapukać, w drzwiach pojawiła się ciemnowłosa biała kobieta w poplamionym, różowym szlafroku. Nie miała chyba dwudziestu lat. Do jej nogi był uczepiony brudny, chudy chłopczyk, nagi, nie licząc opadającej i śmierdzącej pieluchy.

Wewnątrz płakało inne dziecko.

Pomachała brudną kuchenną łopatką, jakby to była broń.

- Jeśli szukasz mojego starego, to ostatnio go nie widziałam, możesz więc wziąć te papiery, z którymi przyjechałeś, i wsadzić je sobie w ...

Kto by pomyślał, że ukrywali się właśnie tutaj, przy drodze za Clementine?

- Szukam niejakiego Boone'a. Mam do niego interes.

Jej wyraz twarzy w mgnieniu oka zmienił się z wrogiego na uwodzicielski.

Przynajmniej tak się wydawało Luke'owi.

- Zaprowadzę cię do niego, ale może przedtem my dwoje zrobimy jakiś interesik.

W odpowiednim świetle mogłaby się nawet wydawać ładna, ale gdy się zbliżyła, Luke poczuł zapach tłustego jedzenia, papierosów i chyba krwi menstruacyjnej. Musiał się cofnąć, z obawy, że zaraz zwróci cały lunch.

- Przepraszam - powiedział. - Teraz nie mam czasu, ale chętnie zapłacę ci za fatygę, jeśli powiesz mi, gdzie go szukać.

Uśmiechnęła się znacząco.

- Jasne, kotku. Zaprowadzę cię tam sama.

Oderwała chłopczyka od swojej nogi i popchnęła go w stronę drzwi. Luke zrozumiał, że chciała z nim iść i zostawić dzieci same.

- Lepiej tu zostań - poradził, dając jej dwudziestodolarówkę.

- Powiedz mi tylko, gdzie jest. A kiedy pojedziesz do sklepu, kup małym trochę mleka.

Uniosła brwi i lekko prychnęła, jakby miała się roześmiać.

- Jasne, szanowny panie. Starego Boone'a znajdziesz cztery domy dalej i jeden w głąb. Jeśli cię nie usłyszy za pierwszym razem, mocno wal w drzwi. Drań przez większość czasu jest naćpany.

Gdy Luke dotarł na miejsce, nie mógł porozmawiać ze starym, naćpanym hipisem. Stary hipis wprawdzie był - ale martwy.

Luke przykucnął, żeby na wszelki wypadek poszukać pulsu. Nagle gdzieś za nim pojawiło się coś zupełnie innego. Bardziej złowieszczonego niż trup.



## ROZDZIAŁ 13

Virginia Maddox już dawno przestała się martwić o Luke'a. Kiedy był młodszy, miała z nim mnóstwo kłopotów: zawsze musiała uspokajać jakąś nauczycielkę albo odstraszać jakąś dziewczynę, która chciała poprawić swoją pozycję społeczną, zadając się z Maddoksem. Porzuciła jednak wszelkie wysiłki, gdy odkryła, że podobnie jak kot, wracający po kilku dniach z krwią na wąsach i lśnącymi oczami, jej młodszy syn był twardy i wszystko potrafił przetrwać.

Przynajmniej był taki kiedyś, zanim Susan Dalton wzięła go na cel. Teraz, długo po północy, matka nie miała od niego żadnych wiadomości.

Na pewno zadaje się z nią wyłącznie z powodu seksu, pomyślała Virginia, ściągając usta z dezaprobatą. Susan jest z tych, które lubią to przewracanie się i pocenie albo przynajmniej myśli, że dobrze jest to udawać.

Jakim innym sposobem ta żyrafa mogłaby uwieść obu jej synów? Przecież nie miała znajomości ani pieniędzy. Nie mogło też chodzić o urodę. Virginii nie mieściło się w głowie, jak którykolwiek z jej synów mógłby wybrać sobie kobietę, która tak mało dba o swój wygląd.

Prawie nie słysząc szelestu liści na wietrze, Virginia drugi raz tego wieczoru podniosła słuchawkę telefonu. Była na tyle wściekła, żeby zadzwonić do tej Jezabel i zażądać natychmiastowego odesłania Luke'a do domu. Jeśli ta okropna Dalton zapomniała, że nadal jest mężatką, kto miałby jej to przypomnieć, jeśli nie matka jej męża? Kto powinien skarcić Susan, jeśli nie ona?

Ale myśl o tym, że Luke przyprawia rogi Brianowi, uwierała Virginie jak drzazga. Luke zawsze miał słaby kontakt z bratem, czasami nawet odnosił się do niego z urazą. Jej zmarły mąż twierdził, że to ona zniszczyła ich więź, faworyzując starszego syna, ale oczywiście nie miał racji. Virginia wiedziała, że Luke był po prostu zazdrosny o liczne osiągnięcia Briana, od znakomych wyników w sporcie po sukcesy w rodzinnej firmie i małżeństwo, które przynajmniej postronnemu obserwatorowi musiałyby się wydawać udane.

Rozchwiany Luke nie zdobył żadnej z tych rzeczy. Virginia powtarzała sobie, że wady młodszego syna tłumaczą jego gniew po zniknięciu Briana. Dlatego Luke nie chciał zrozumieć, że starszy brat nigdy by ich nie zdradził - jej - chyba że byłby do tego zmuszony.

Teraz jednak dotarło do niej, że nienawiść Luke'a musiała być znacznie głębsza, jeśli posunął się do tego, żeby sypiać z żoną brata. A może jej młodszy syn po prostu miał moralność włóczęgi.

Tak jak poprzednim razem, Virginia tylko patrzyła na telefon, zamiast zadzwonić. Krople deszczu zabębniły w okno jej sypialni. Wydawało jej się, że usłyszała rzenie jednego z koni. W taką noc zwierzęta również są niespokojne.

A jeśli Luke został u Susan na noc tylko po to, żeby zemścić się na matce po porannej kłótni? Kiedy tak wybiegł z domu, Virginia wyobrażała sobie, że na złość wynajmie pokój w motelu. Nietrudno było przewidzieć reakcję Susan i jej matki, gdyby obudziła je w środku nocy i zaczęła wygłaszać fałszywe oskarżenia. Zresztą nawet jeśli Luke tam był, to wcale nie oznaczało, że wróciłby do domu na jej polecenie.

Wyglądając przez okno w ciemną noc, Virginia wciąż się wahała. Z palcem wskazującym nad klawiaturą telefonu, rozważała przerażające możliwości, jakie dręczą wszystkie matki po północy. Porównywała je z bardziej prawdopodobnym - i równie przerażającym - widmem własnego upokorzenia.

Po chwili odłożyła słuchawkę i zamknęła otwarty notes z numerami telefonów. Wróciła do

łóżka, zawołała Duke'a i pozwoliła mu się obok siebie położyć. Przed zniknięciem Briana nigdy nie pozwalała temu śmierdzącemu psu wchodzić na łóżka i kanapy, ale czasami, w najgorsze noce, ciepła obecność drugiej żywej istoty pomagała jej dotrwać do świtu.

Najpierw Luke poczuł zimno i wilgoć. Chwilę później - ból. Przez jakiś czas te uczucia były zamglone, trudne do określenia.

Wreszcie zorientował się, że ma pod ramieniem coś okrągłego i twardego i że bardzo mu to przeszkadza. Musi się przesunąć, coś z tym zrobić.

To okazało się trudniejsze niż przypuszczał. W chwili, gdy zmienił pozycję, abstrakcyjny ból stał się konkretny. Luke zaczął się zastanawiać, czy ktoś przyłożył mu w głowę pustakiem.

Jęcząc, pokonał falę mdłości i zmusił się do otworzenia oczu. Podniósł rękę, starając się zasłonić przed czymś, co wyglądało jak wielkie, ciemne skrzydło na tle szarego nieba.

Nagły ruch sprawił, że zaczęły mu migać przed oczami duże, czarne plamy o żółtych krawędziach. Brzęczały jak rój os, przesłaniały cały świat.

Ale tylko przez chwilę. Gdy doszedł do siebie, dostrzegł w pobliżu ciemny kształt. Po jakimś czasie zorientował się, że to otwarte drzwi jego pikapa. Chyba leżał na plecach obok swojego samochodu, po stronie pasażera. Głowę miał opartą na kamieniu wielkości piłki.

Pod plecami wyczuł kupkę mniejszych kamieni. Ostrożnie przesunął się tak, żeby nie uwierały go te najostrzejsze. Dopiero wtedy mógł się lepiej przyjrzeć otoczeniu.

Pomyślał, że leży w dole, w wyschniętym stawie) Niedawno musiało tam być trochę wody, bo Luke miał wilgotne dżinsy i podkoszulek. Sądząc po okrągłych i wydłużonych kaktusach, które rosły nieopodal, wywieziono go na pustynię. W zasięgu wzroku nie dostrzegł żadnego budynku.

To zawężyło obszar poszukiwań do kilku tysięcy metrów kwadratowych pustyni.

Nie udało mu się też określić pory dnia. Słabe światło mogło oznaczać zmierzch albo świt, nie miał pojęcia, co. Kiedy chciał spojrzeć na zegarek, zorientował się, że go nie ma.

Strata zegarka odwróciła jego uwagę od fizycznego bólu. Zegarek nie miał pewnie dużej wartości, ale Luke dostał go od ojca na szesnaste urodziny. Wspomnienie tamtej chwili było jak scena ze starego filmu: ojciec uśmiecha się ciepło, kładzie rękę na ramieniu chłopaka i mówi: „Teraz może będziesz zdążył do domu przed godziną policyjną, synu”.

Przypominając sobie te słowa, Luke odzyskał jasność myślenia. I zaryzykował ból, żeby usiąść.

Kiedy sprzed oczu znikły mu czarne plamy, ostrożnie i z wysiłkiem wdrapał się na siedzenie pasażera. Było tam znacznie wygodniej i cieplej niż na zimnych kamieniach wyschniętego stawu. Poza tym stąd miał lepszy widok.

Zrobiło się znacznie jaśniej, co pozwoliło mu ustalić porę. Sądząc po plamie światła na horyzoncie, najwyraźniej wschodnim, zbliżał się dzień. Mimo to Luke widział tylko pustynię, rozciągającą się we wszystkich kierunkach. Wyteżał wzrok, szukając ludzi lub domów, ale nie dostrzegł nawet śladów opon, po których mógłby się zorientować, z której strony przyjechał.

- Cholera! - zaklął tak chrapliwie, że prawie nie rozpoznawał swojego głosu.

Bywał już w trudnych sytuacjach, ale nagle dotarło do niego, że ta mogła być ostatnia. Nie wiadomo, jak długo leżał na kamieniach i tracił ciepło ani jak długo nic nie pił. Nie miał też pojęcia, jak się tam znalazł. Luke był pewien, że nie z własnej woli, ale kiedy starał się odszukać w pamięci jakieś szczegóły, nie przypominał sobie niczego, niczego oprócz ...

Czy całował Susan, czy to był sen? Obrazy rozbłyskiwały w jego umyśle jak błyskawica w czasie letniej burzy: jasne, przerażające i ulotne.

Dobrze pamiętał, że reperował twardy dysk, znalazł ciekawy e - mail, a potem telefonowali. Później pojechał dokądś sam, w jakieś ... okropne, brudne miejsce? Pamiętał krew, jej zapach i widok, a potem już nic.

Ale jeśli chciał przeżyć, teraz nie mógł się zajmować tą zagadką. Rozejrzał się, a ponieważ światło było jeszcze słabe, po omacku badał wewnątrz samochodu i swoje kieszenie, szukając czegoś, co pomoże mu się wydostać z opresji.

Ku jego zaskoczeniu, karty kredytowe i prawo jazdy zostały w kieszeni, ale gotówka zniknęła, podobnie jak srebrny zegarek. Telefon komórkowy zostawił w domu, bo w tej części zachodniego Teksasu rzadko miał zasięg. Bardziej martwiło go to, że ktoś, kto go tu porzucił, zabrał kluczyki do pikapa.

Luke jęknął. Pomyślał, że mógłby wyjechać z tego miejsca i odnaleźć ślady opon swojego samochodu. W ten sposób wydostałby się z tego piekła.

Przeszło mu przez myśl, żeby zostawić pikapa i szukać pieszo, ale nawet gdyby nie zemdłał z powodu doznanych obrażeń, za bardzo osłabiłoby go słońce, które w lipcu niemiłosiernie pali pustynię.

Słońce, w przeciwieństwie do osoby, która go zaatakowała, na pewno by go wykończyło.

Wschodnie niebo już się zaróżowiło. Susan nie mogła dłużej czekać na telefon od Luke' a. Starając się opanować zdenerwowanie, powiedziała sobie, że na pewno pracował do późnej nocy i zasnął. Na pewno zadzwoni wieczorem do domu jej siostry i powie, czy dowiedział się czegoś więcej o Davidzie Spencerze.

Susan rzuciła walizki mamy i swój podróżny worek na tylne siedzenie dzipa. Przerazała ją myśl o czterogodzinnej jeździe na lotnisko w El Paso, zwłaszcza że mama miała słaby pęcherz, będą więc musiały często robić postoje przy toaletach.

- Nie martw się o małego - powiedziała Roberta. Peavy, którego trzymała na rękach, przytulił się do niej, bo rano było chłodno. - Poradzimy sobie.

Senny chihuahua wyglądał słodko, a przynajmniej taki mógł się wydać komuś, kto go nie znał. Chociaż Susan dobrze wiedziała, jaki z niego drań, czule podrapała go za uszkami, tam, gdzie miał najbardziej jedwabistą sierść. Zamykając brązowe oczka, pomrukiwał z zadowoleniem.

- T - tylko uważaj na swoje śliczne serwetki - ostrzegła przyjaciółkę Maggie Dalton. - W - wczoraj, ten ... mały łobuz pogryzł... moje ulubione, te beżowe.

Roberta spojrzała z przerażeniem.

- Chyba nie te z ananasami, które zrobiła ci Matilda Walker? Maggie poważnie pokiwała głową, a Susan powstrzymała się od złośliwego komentarza na temat gustu Peavy'ego i tego, jak wyraził swoje zdanie. I tak miała już dość kłopotów, bo skrytykowała nowy kolor włosów mamy.

- Jeszcze raz dziękuję, że się nim zajmiesz. Dzielna z ciebie kobieta! Pochyliła się, żeby pocałować Robertę w policzek. - Jedźmy już, mamó. Muszę zatankować.

Zatrzymały się na starej stacji benzynowej przy skrzyżowaniu ulicy Mirage z drogą, prowadzącą do autostrady międzystanowej '.,Kiedy Susan szła do okienka, żeby zapłacić za benzynę, dostrzegła czarnego hummera, szybko skręcającego w stronę miasta. Pamiętała, że Hal bardzo chciał się z nią zobaczyć, i teraz zastanawiała się, czy przed chwilą szukał jej w mieszkaniu mamy.

Chciała mu pomachać, żeby się zatrzymał, i powiedzieć, że wyjeżdża z miasta, ale zrezygnowała. Nie miała siły słuchać jego wynurzeń ani propozycji pomocy, które składał,

myśląc raczej o sobie niż o niej.

Patrząc za nim; zobaczyła samochód patrolowy z biura szeryfa. Jechał za autem Hala z migającymi kogutami, ale bez syreny. Gdy hummer zjechał na pobocze, zastępca Ramirez wysiadł ze swojego samochodu i ruszył w kierunku hummera władczyim krokiem człowieka, który lubi demonstrować mieszkańcom, jaki jest ważny.

Zastanawiała się, o jakie drobne wykroczenie mogło chodzić. Czy Hal nie włączył kierunkowskazu? A może przekroczył dozwoloną prędkość o kilka kilometrów na godzinę, nie zwracając uwagi na ograniczenie? Beecher otworzył okno i podał coś Ramirezowi. Pewnie prawo jazdy albo polisę ubezpieczeniową.

Zastanawiała się, czy Halowi nie wydaje się, że prześladowuje go pech. Ona w ostatnich miesiącach często miała takie wrażenie. Tylko że jego nieszczęścia zaczęły się wcześniej, od wielkiej tragedii, czyli od śmierci córki.

Podobnie jak Susan, facet walczył, żeby utrzymać się na powierzchni pomimo tych wszystkich kłopotów.

Ale to nie znaczy, że ja mam mu pomagać, pomyślała, płacąc za paliwo. Nie pozwolę, żeby jego żal i samotność dobiły nas oboje.

Szkiełko zachręściło, kiedy rozwalił je młotkiem. Po kilku uderzeniach rozpadł się cały zegarek. Obserwator, klnąc głośno, zrzucił kawałki zegarka ze stołu. Miał też ochotę rozwalić twarz tego drania, nie tylko jego zegarek, bo znów zobaczył jego samochód zaparkowany pod domem, gdzie teraz mieszkała ta niewierna dziwka.

Ale kiedy los dał mu szansę, kiedy drań był bezbronny, pojawił się świadek - ten sam dupek, który zawsze się tam kręcił - obserwator musiał więc wrócić do swojego fałszywego ja. Musiały mu wystarczyć drobna kradzież i ostrzeżenie, które ten bydlak, niestety, mógł przeżyć.

Wróc tam więc i wykończ go, śpiewały kryształki lodu, płynące w jego żyłach.

Zabij tego drania, a wtedy ona przypomni sobie o tobie.

Obserwator kopnął stół i ryknął z wściekłości, bo wiedział, że już nigdy nie będzie tak samo jak przedtem. Po tym wszystkim, co przeszedł, co ich łączyło, okazała się zbyt zmienna, żeby zasłużyć na jego miłość.

No to poczuje, czym jest moja nienawiść, pomyślał, wyciągając z kieszeni jej obrączkę. Niech dziwka sama się przekona, co się stanie, kiedy on wyjawii jej tajemnicę ...

Niech zrozumie, że morderstwo jednak nie ujdzie jej na sucho.

## ROZDZIAŁ 14

Od śmierci swojej żony, czternaście lat wcześniej, szeryf Hector Abbott spędzał coraz więcej czasu w biurze. Córka z wnukami mieszkała w Kolorado, a on wolał pracować niż oglądać telewizję albo gadać bzdury przy kawie ze swoimi kolegami emerytami. Widział, jak powoli stają się nikim, i przysiągł sobie, że nie odejdzie ze stanowiska bez walki. A już na pewno nie miał zamiaru oddawać swojego wydziału mądrali spoza miasta, który myślał, że hrabstwu Ocotillo są potrzebne metody policji miejskiej.

Poprzedniej nocy pracował do późna, bo w jednym z betonowych budynków na Rocky Rim znaleziono ciało starego hipisa. Mimo to przyszedł do biura około wpół do szóstej rano, żeby zająć się papierkową robotą i trochę uporządkować swoje zawalone dokumentami biurko. Zaczął od przeczytania akt sprawy zabójstwa Boone'a. Chciał sprawdzić, czy zastępca Ortiz znalazł jeszcze coś ważnego.

Marszcząc brwi, Hector bezwiednie podrapał się po wąsach. Tak jak się spodziewał, w aktach nie było nic poza zdjęciami niewielkiego otworu w klatce piersiowej ofiary i większej rany wylotowej na plecach. Wyciągnęli kulę ze ściany i wysłali ją do zbadania, ale do tej pory nie udało się ustalić nazwiska mężczyzny ani odnaleźć żadnego członka jego rodziny.

Skoro nie ma krewnych, to przynajmniej nikt nie będzie poganiał Hectora w czasie śledztwa. Oczywiście szeryf zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, ale gdy na Rocky Rim dochodziło do zbrodni - niestety zbyt często - nigdy nie znajdowano żadnych świadków ani tropów. Po ostatnim zabójstwie, które popełniono tam przed kilku laty, Hector miał tak dość tego miejsca, że pojechał tam ze swoimi zastępcami. Wyrzucili dzikich lokatorów i zabili deskami wszystkie drzwi i okna.

Akcja wystarczyła na dwa miesiące. Nie przysłano buldożerów, żeby zrównały puste osiedle z ziemią. A dzicy lokatorzy wracali tak szybko, że on i zastępcy nie nadążali z wyrzucaniem ich. Przyzwoici obywatele Clementine nie chcieli oglądać bezdomnych na ulicach, w parkach ani na skwerze przed biblioteką publiczną, gdzie nocowali ci ludzie i straszili dzieci. Nikt nie był też zadowolony ze wzrostu liczby kradzieży z szop i garaży, a bezdomni brali jedzenie i wszystko, co tylko dało się sprzedać. Dlatego Hector wbrew sobie zawarł pokój z osiedlem Rocky Rim. Raz na jakiś czas przyjeżdżał tam i groził dzikim lokatorom, ale poza tym nie robił nic więcej.

Godzinę później, kiedy właśnie podpisywał raport z aresztowania, dyspozytorka z nocnej zmiany wyjechała ze swojego boksu na fotelu na kółkach.

- Jakiś wariat do ciebie, linia druga. - Na pełnych policzkach Gladys zrobiły się dołeczki od uśmiechu. Słyszała ze zdolności natychmiastowej oceny rozmówców. To była przydatna umiejętność, bo komisja hrabstwa, pomimo próśb Hectora, nie wyrażała zgody na unowocześnienie systemu komunikacji. W biurze nie było nawet urządzeń do lokalizacji przychodzących połączeń.

Gladys była brunetką około czterdziestki, kiedy wracała do swojego biurka, Hector zobaczył jej pośladki, zwisające po obu stronach fotela. Zadrżał. Lubił jej towarzystwo, ale cała kawa świata nie mogłaby go przygotować na ten widok o tak wczesnej porze.

Sięgnął po słuchawkę i wcisnął migający guzik na telefonie.

- Szeryf Abbott. Czym mogę służyć?

Osoba po drugiej stronie wymamrotała coś niezrozumiałego. To był męski głos, ale Hector go nie rozpoznawał.

- Mógłby pan mówić prosto do słuchawki? - zapytał głośno, na wypadek, gdyby zdarzyły

się zakłócenia na linii. - Nie rozumiem ani słowa.

Rozmówca powtórzył, ale do szeryfa dotarły tylko oderwane wyrazy.

- Su ... Maddox. .. widziałem ją niedaleko parku ... w grudniu ... ona ... rzucała coś ... strzał... kanionu ...

Hector zmarszczył brwi. Głos brzmiał tak, jakby facet zasłonił słuchawkę grubymi skarpetkami.

- Bardzo słabo słyszę. Kto mówi?

Nie zaskoczyło go, że rozmówca się nie przedstawił.

Mężczyzna zaczął mówić trochę głośniejszym głosem, powtarzał wszystko cierpliwie, żeby Hector zdążył zanotować.

- Znajdzie pan to, czego pan szuka - dodał w końcu - trzy metry w lewo od piątej kałuży. Niech się pan rozgląda za trzema skałami, jak mówiłem.

- Mógłby pan zostawić swój numer telefonu, na wypadek, gdybym miał jakieś pytania? - zapytał Hector.

Informator nie krył swojego oburzenia.

- Myślisz, że jestem głupi, staruchu? - zapytał i trzasnął słuchawką.

- Dobre maniere bardzo pomagają w życiu - powiedział Hector do sygnału w telefonie.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył Gladys, która wysunęła się na fotelu ze swojego boksu i pomachała mu do połowy zjedzonym plackiem z jajkami i serem. Krople tłuszczu spadały na jej jaskrawopomarańczową bluzkę.

- A nie mówiłam? Prawdziwy świr, zgadza się?

- Prawie na pewno - odparł. Niezidentyfikowani informatorzy, zwłaszcza ci, którzy próbowali zmienić głos, najczęściej okazywali się żartownisiami, a nie wiarygodnymi świadkami. Mimo to szczegółowy opis, podany przez mężczyznę, trochę zaniepokoił Hectora. Ludzie zwykle nie zadają sobie tyle trudu, żeby wymyślić bajeczkę. - Sądzę jednak, że na wszelki wypadek trzeba to sprawdzić.

Bardzo się cieszył, że miejsce, opisane przez dzwoniącego, znajdowało się za granicą parku narodowego. Chociaż Hector miał pozwolenie na badanie przestępstw w całym hrabstwie, wolałby zostać przeciągnięty nago po ostrym żwirze niż gadać z nadętym studentem ze Wschodniego Wybrzeża, zatrudnionym niedawno przez władze parku. Gdyby w tamtym miejscu naprawdę coś znaleziono, facet natychmiast zadzwoniłby do Effing BI (czyli: ja jestem pieprzony), jak młodszy zastępca nazywali Federalne Biuro Śledcze. A ostatnią rzeczą, której chciał Hector, była grupa federalnych, wtykających nos w jego śledztwo.

- Kto dziś ma dyżur? - zapytał Gladys, która podjechała do swojego biurka.

- Ramirez cały tydzień ma przychodzić o siódmej. Nie liczyłabym na niego jednak. Francine powiedziała, że wczoraj rano poszedł do domu, bo źle się czuł.

Szeryf zaklął pod nosem. Po tym, czego dowiedział się wczoraj, Ramirez był jednym z głównych powodów, dla których nie chciał, żeby obce służby wtrącały się w sprawy hrabstwa. Hector postanowił, że już nigdy nie dopuści swojego zastępcy do sprawy Maddoksów.

Romans Ramireza z Grace Morton był naganny, ale gdyby odkryto nowe uchybienie, Hector straciłby nie tylko dwoje pracowników. Wiedział, że kiedyś będzie musiał rozwiązać ten problem, ale miał nadzieję odwlec wszystko o kilka miesięcy, do czasu, gdy uda mu się wygrać wybory ... i zostać jeszcze cztery lata w pracy, która stała się całym jego życiem.

- Sam się tym zajmę - powiedział do Gladys, wychodząc z biura. - To jest kopia moich

notatek, ale proszę cię o przysługę. Zachowaj je dla siebie, chyba że nie odezwę się w ciągu najbliższych kilku godzin.

Susan powinien zachwycić widok na jezioro, rozciągające się przed domem Jamesa i Carol. Niebo było czyste i jasnoniebieskie, a słońce lśniło na tafli wody i oświetlało drzewa o grubych pniach oraz całą kosztowną działkę nad wodą. Ona jednak nie zwracała uwagi na otoczenie, usiłowała się opanować, żeby nie okazać narastającej frustracji.

Ubrana w pożyczony od siostry sweter koloru kości słoniowej oraz we własne džinsy, stała na balkonie ze słuchawką telefonu bezprzewodowego przy uchu. - Na pewno przekazała mu pani moją wiadomość?

Usłyszała, jak Virginia Maddox sapie ze złością.

- Insynuujesz, że posunęłabym się do kłamstwa? Mówiłam ci, że nie chce z tobą rozmawiać.

Niezła próba, pomyślała Susan. Może ta metoda okazałaby się skuteczna, gdyby ona była nastolatką - jak Luke, gdy przed laty zadzwonił do jej matki. - Tak - odpowiedziała, nie przejmując się starszą kobietą.

- Tak? Ale co? - zapytała teściowa.

- Przykro mi to powiedzieć, ale tak, myślę, że okłamałabyś mnie, bylebym tylko nie porozmawiała z Lukiem. Gdzie on jest?

- On ... nie ma go tu, przestań więc dzwonić.

Kliknięcie i sygnał w słuchawce przekonały Susan, że ona i teściowa nie mają ze sobą o czym rozmawiać.

Dobrze, że Virginia nie zaprzeczyła oskarżeniu. Susan zastanawiała się jednak, czy teściowa skłamała, mówiąc, że Luke'a nie ma. Oczywiście było możliwe, że wyszedł, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego jeszcze nie zadzwonił.

Im więcej myślała o tym milczeniu, tym bardziej się martwiła. A może przestraszyła go, rzucając się na niego w mieszkaniu mamy? Nie zachowywał się jak przestraszony - przeciwnie! Może myślał, że bardziej jej się przysłuży, znikając na jakiś czas.

Gdyby tak było, nie mogłaby go za to winić. Wiele razy już pomyślała, że w dniu, gdy poprosiła Luke'a o pomoc, podpaliła lont - ten płomyk nieuchronnie zbliżał się do beczki prochu. Powtarzała sobie, że kiedy tylko znajdzie Briana, przestanie kontaktować się z Lukiem, nie będzie zależna od nikogo poza samą sobą.

Może to milczenie oznaczało, że właściwy moment już nadszedł. Zbliżała się pora spotkania z radą szkoły. Nie miała wyboru: musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Weszła przez rozsuwane drzwi do pomieszczenia, które siostra nazywała dużym pokojem. W ogromnym wnętrzu mieścił się wielki kamienny kominek, duże kanapy obite skórą i eleganckie, ozdobne półki na książki. Na lśniącej drewnianej podłodze leżał wschodni dywan w ciepłych kolorach. Odkąd Carol zajęła się handlem nieruchomościami w okolicy San Francisco, zaczęła lubić kosztowne rzeczy. Nic dziwnego, że nie miała gotówki zeszłej zimy, gdy mama dostała wylewu.

Oczywiście Carol nigdy by się do tego nie przyznała. Ale teraz, gdy ona i James urządzili się w domu, kupionym w listopadzie zeszłego roku, a Carol zaczęła dostawać wysoką marżę od drogich nieruchomości, które sprzedawała, nagle stała się bardzo hojna.

- Wydajesz mi się wyczerpana, Susan. Może jutro wyśpij się dobrze, a kiedy wstaniesz, zrób sobie kawę z ekspresu - zasugerowała poprzedniego wieczoru, zapominając, że młodsza siostra i matka wołały herbatę. - Jeśli mama będzie miała ochotę, zawiozę ją do cudownego

ośrodka, który znaleźliśmy. Bardzo bym chciała jej pokazać, jakie tam mają usługi do zaoferowania.

Wyjaśniła Susan, że to bardzo elegancki ośrodek dla emerytów. W placówce proponowano nie tylko wysmienitą kuchnię i możliwości rekreacji, ale i dostęp do ekskluzywnego centrum rehabilitacji. Oraz cudowny salon fryzjerski, dodała znacząco Carol, odnosząc się do różowopomarańczowego „kalifornijskiego” koloru włosów mamy. Susan zrobiło się przykro, że dla bogatej bezdzietnej kobiety taka ekstrawagancja w opiece nad starszą matką jest tym, co rozpieszczanie córki czy syna. A nawet lepiej, bo można się pochwalić własną dobrocią na jakimś eleganckim przyjęciu.

Maggie Dalton nie da się na to nabrać, pomyślała Susan, bez skutku szukając torebek z herbatą. Matka dała się namówić Larindzie na nienaturalny kolor włosów, ale w głębi serca była bardziej rozsądna i zrównoważona niż wszystkie znane Susan kobiety. Dla Maggie ładny widok i pozory towarzyskiego sukcesu znaczyły znacznie mniej niż miasteczko, które zna całe życie, i przyjaciółki, które kochała prawie tak samo długo.

Niemożliwe, żeby wołała Carol niż Susan.

Susan zaskoczyły jej własne myśli. Próbując rozpracować skomplikowany, europejski ekspres do kawy, zastanawiała się, czy rywalizuje z siostrą o miłość matki, tak samo jak wtedy, gdy jako nastolatki walczyły o jej uwagę?

Myślała, że już z tego wyrosła. Może kiedyś rzeczywiście tak było, ale po wszystkich nieszczęściach, które ją spotkały, czuła się zagubiona. Skrzywiła się, ale nie zamierzała się teraz na siebie złościć. Po tym, co przeszła, bardzo potrzebowała matczynej troski.

Porzucając nadzieję, że zrozumie ten piekielny ekspres, Susan wyjęła kawałek papieru z kieszeni swojej walizki na kółkach. Wzięła słuchawkę i wystukała numer telefonu komórkowego siostry.

- Mama jest zachwycona - oznajmiła Carol. - Dyrektor zaprowadził ją do masażystki. Trochę później jesteśmy zaproszone na lunch w jadalni ośrodka. Zatrudnili nowego szefa kuchni, który bardzo chce się popisać. Wpaść po ciebie, żebyś mogła z nami zjeść? To żaden kłopot.

Susan wołałaby chyba wyrywanie paznokci zardzewiałymi cęgami niż siedzenie w towarzystwie nadętych snobów.

- Hm, nie, dziękuję - odparła .. - Ponieważ po południu mam samolot, raczej wybiorę się na zakupy, zanim opuszczę cywilizację.

Carol powinna się zorientować, że to kłamstwo. Susan od lat nie wchodziła do centrum handlowego. Zresztą była zrujnowana. Ale ponieważ siostra głęboko wierzyła w leczniczą moc zakupów, dała się nabrać.

- Wspaniały pomysł. Mam nadzieję, że nie będzie ci za ciasno w thunderbirdzie. Gdybym o tym pomyślała, poprosiłabym Jamesa, żeby zostawił ci na dziś escalade.

Susan wzniosła oczy do nieba. Thunderbird, elegancki, zielony dwuosobowy samochód w stylu retro, służył Jamesowi i Carol „do zabawy”. Pozostałe dwa były poważne, a raczej bardzo pretensjonalne.

- Wystarczy mi miejsca na to, co chcę kupić - powiedziała. - Bardzo dziękuję, że pozwolisz mi pojeździć tym seksownym autkiem.

Carol się zaśmiała.

- W moim gabinecie jest plan miasta, w stosie papierów na szafce. Weź go, to się nie zgubisz. Baw się dobrze, Susan. To ci się należy.



Chociaż nie planowała na dziś zabawy, cieszyła się, że będzie mogła poprowadzić sportowy samochód. Kładąc plan miasta na niepraktycznym, białym skórzanym siedzeniu pasażera, włączyła silnik i uśmiechnęła się, słysząc jego mruczenie.

Zajęta podziwianiem samochodu, omal nie wjechała tyłem w kogoś, kto właśnie wysiadł z taksówki i szedł po podjeździe.

Dwa razy zerknęła w lusterko, zanim włączyła jałowy bieg i zaciągnęła hamulec ręczny. Z poczuciem ogromnej ulgi wyskoczyła z auta.

- Luke, co tu robisz? Wszystko w porządku?

Nie wyglądał tak, jak zwykle, choć nie potrafiła określić, dlaczego. Nawet nieogolony, był przystojny, zwłaszcza gdy uśmiechnął się na jej widok. Ale zarówno uśmiech, jak i orzechowe spojrzenie Luke'a wydawały się zmęczone. Stał też dziwnie, jak ktoś, kto dochodzi do siebie po operacji lub chorobie.

Zamiast odpowiedzieć, uściskał ją.

- Kiedy od ciebie wyszedłem, wpakowałem się w spore kłopoty - powiedział, nie wypuszczając jej z ramion.

- Co się stało? - Odsunęła się trochę, żeby dobrze widzieć jego twarz. Dzwoniłam do twojej matki, ale ... oznajmiła, że „nie chcesz ze mną rozmawiać”. A potem rzuciła słuchawką.

Skrzywił się.

- Dokąd się wybierasz? Nie chcę wystraszyć nikogo w domu, ale wolałbym rozmawiać, siedząc. To były ciężkie dwa dni.

- W domu nikogo nie ma, ale sprawdźmy raczej, czy twoje długie nogi zmieszczą się do tego samochodu. Pojedziemy na kawę i śniadanie, jeśli jeszcze nie jadłeś. Z tego, co widziałam w kuchni, mojej siostrze i szwagrowi wystarcza do życia jogurt i kawa z ekspresu.

- Zjadłbym śniadanie - powiedział i wrzucił podróżny worek do bagażnika, który otworzyła. Ku jej zaskoczeniu, zmieścił się w dwuosobowym samochodzie, ale zostało już niewiele miejsca.

Ruszyła w stronę skrzyżowania, przy którym widziała kilka restauracji.

- Po wyjściu od ciebie postanowiłem pojechać do Rocky Rim - wyjaśnił. Pomyślałem, że dam parę dolców temu Boone'owi i wezmę resztę poczty Briana. Tylko że ... nie będę owijał w bawełnę. Znalazłem go martwego. Przynajmniej jestem prawie pewien, że nie żył.

Samochód lekko skręcił, kiedy do Susan dotarło znaczenie słów Luke'a.

- Co mu się stało i dlaczego jesteś „prawie pewien”, że był martwy?

- Było dużo krwi i ... powiedzmy, że jego skóra miała nie taki odcień szarości, żeby jeszcze oddychał. Ale kiedy przykucnąłem, żeby sprawdzić puls ... coś się stało. Chyba ktoś mnie uderzył, bo mam wielkiego guza z tyłu głowy. - O Boże! - Poczula strach i natychmiast zabołała ją jeszcze niezagojone czoło. - Straciłeś przytomność? Ktoś przyszedł ci z pomocą?

- Nie wiem, czy można to tak nazwać. Kiedy się ocknąłem, leżałem na pustyni obok swojego pikapa, tak daleko od miasta, że nie było widać domów. Odzyskałem przytomność dopiero wcześniej rano. Ktoś, kto mnie tam zostawił, zabrał gotówkę i kluczyki do samochodu. Pewnie wziąłby i samochód, gdyby miał jakąkolwiek wartość.

- Złodziej? Widziałeś go?

- Chyba złodziej, ale nie widziałem go.

- Całą noc przeleżałeś na pustyni? To poważna sprawa. Mam nadzieję, że byłeś u lekarza. Jak się stamtąd wydostałeś, skoro nie miałeś kluczyków?

- Spiałem pikapa na krótko. - Wzruszył ramionami. - Przydały się doświadczenia z mojej

burzliwej młodości. Byłem u lekarza. Nie jestem taki uparty, jak ty.

- Co powiedział?

- Powiedziała. Poszedłem do doktor Elbertson. Mam kilka siniaków i otarć, ale nie dlatego byłem nieprzytomny.

- A dlaczego?

- Badania krwi wykazały obecność narkotyku. Lekarka wyjaśniła mi, że to środek uspokajający, używany w Meksyku. Bardzo szybko trafił na ulicę. Powoduje utratę pamięci krótkoterminowej i objawy upiornego kaca.

- To taka pigułka gwałtu? .

- Coś w tym stylu, chociaż mnie chyba zrobiono zastrzyk.

- Wielkie nieba, Luke, dobrze się czujesz? - Zrobiło jej się słabo na myśl o tym, co się stało i co jeszcze mogło się stać. Żałowała, że w ogóle poprosiła go o pomoc.

Lekko skinął głową.

- Jest mi coraz lepiej, ale mówię ci, chciałbym znaleźć bydlaka, który mnie tak załatwił.

Susan czekała bardzo długo, dopóki jakiś litościwy kierowca nie pozwolił jej wjechać na główną drogę. Dobrze jej się prowadziło thunderbirda, ale w wielkim mieście czuła zdenerwowanie. Większe niż zazwyczaj. Poza tym przytłaczały ją budynki i starannie wypielęgnowane rośliny o tak jaskrawych kolorach: że aż bolały oczy. Obszar San Francisco miał wiele do zaoferowania, ale ona chyba była stworzona do niezmiennych przez człowieka krajobrazów w odcieniach od brązu do beżu.

- Czy twoja matka wie, że tu przyjechałeś? Wpadłaby w panikę, gdybyś tak po prostu zniknął.

- Nigdy bym tego nie zrobił, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma Briana. Sprawdziłem, czy ma numer mojej komórki, i powiedziałem, że muszę coś załatwić na Zachodnim Wybrzeżu. Taka zresztą jest prawda. Dowiedziałem się czegoś o Davidzie Spencerze. Powinniśmy to sprawdzić, skoro już tu jesteśmy.

- Zaczekaj z tym trochę. Powiedz, czy wiesz coś więcej o tamtym Boonie?

O tym martwym facecie?

- Nie, ale nie zadzwoniłem do szeryfa. Po pierwsze, nie chciałem wyjaśniać, dlaczego tam pojechałem. Gdyby ktoś, na przykład Ramirez, coś sobie skojarzył, mógłby pomyśleć, że ty i ja jesteście zamieszani w śmierć tego faceta.

- Słusznie. - Wjechała na parking przed restauracją z sieci, słynącej ze śniadań. - Tutaj może być? Na pewno są bardziej eleganckie lokale, ale słabo znam miasto.

- Tu będzie dobrze.

Weszli do środka i złożyli zamówienie. Susan wybrała herbatę i pełnoziarnistą bułkę, a Luke - kawę oraz jajecznicę na bekonie i grzanki. Ucieszyła się, że ostatnie przejścia nie odebrały mu apetytu.

- Powiedz mi teraz, czego dowiedziałeś się o Spencerze - poprosiła. Pociągnął duży łyk czarnej kawy.

- Dobrze mu się powodzi jak na zmarłego - powiedział. - Ma ponad dwieście tysięcy na różnych kontach. Do tego na razie dogrzebała się moja współpracownica. Na pewno jest więcej, zwłaszcza że Brian zaciągnął duże kredyty w banku Hala.

- Jak na bogacza, chyba za bardzo zainteresował się propozycją zwrotu pieniędzy.

Luke wzruszył ramionami.

- Gdybyś rzuciła dziesięciodolarówkę pod nogi Billa Gatesa, na pewno schyliłby się, żeby

ją podnieść.

Uśmiechnęła się znad swojej herbaty z mlekiem.

- Albo kazałyby to zrobić komuś ze swoich ludzi. Jak się dowiedziałeś o pieniądzach? Wiem, że w Internecie jest dużo informacji, ale ...

Pokręcił głową.

- Nie pytaj - odparł cicho. - Pewnie cię zaciekawia, że w zakładzie ubezpieczeniowym nie ma informacji o śmierci Spencera.

- Czyli ten facet, z którym rozmawialiśmy, to był on? Albo przynajmniej skłamał, że Spencer nie żyje.

- To nie wszystko - powiedział Luke. - Wpisałem jego nazwisko do wyszukiwarki i dowiedziałem się o pewnej darowiznie w jego imieniu, przekazanej fundacji, która wspomaga hospicja w San Francisco, przede wszystkim ludzi umierających na AIDS. Ze wszystkich dostępnych danych wynika, że człowiek o nazwisku David Spencer zmarł dwa tygodnie przed zniknięciem Briana. - Czy z tamtego źródła udało ci się uzyskać adres Spencera?

Luke zaczął czekać, dopóki kelnerka nie poda im śniadania i nie doleje mu kawy.

Kiedy odeszła, pokręcił głową.

- Niestety nie. Możemy chyba tylko szukać faceta, z którym rozmawialiśmy przez telefon.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Susan schrupała pół bułki i dołąła sobie herbaty ze srebrnego imbryka, który zostawiła kelnerka.

- Mogłeś zadzwonić, żeby mi to powiedzieć, Luke. Nie musiałeś tu przyjeżdżać, zwłaszcza teraz, kiedy jesteś ranny.

Luke przełknął kęs.

- Wiem, co mi obiecałaś, ale dobrze cię znam. Pojechałabyś do niego, żeby porozmawiać. Nie mogłem puścić cię samej.

- Ale ja ... - zaczęła.

- Właśnie tam się wybierałaś, kiedy się pojawiłem, prawda? Zirytował ją ten brak zaufania, chociaż Luke się nie mylił.

- Skąd wiesz, że nie jechałam po tampony?

Słowo na „t” zbiłoby Briana z pantafelku. Zawsze miał fobię na punkcie wszystkiego, co zbyt kobiece. Mimo że po poronieniu, chociaż była oszołomiona od narkozy i odrętwiała z żalu, dobrze widziała jego idiotyczne zachowanie, kiedy lekarz próbował mu wszystko wytłumaczyć.

Ponieważ dawno tego nie robiła, wyciągnęła z zakamarków umysłu laleczkę voodoo, przedstawiającą Briana, i przecięła ją na pół. Zaczynając między sflaczałymi nóżkami.

Luke nie okazał żadnego zakłopotania z powodu słowa na „t”.

- Wiem, ponieważ kiedy wsiadałem do samochodu, na siedzeniu leżał plan miasta, otwarty na dzielnicy, gdzie mieszka ten facet.

Skrzywiła się i pomyślała, jak skomentowałiby to jej uczniowie. Załatwił panią, pani Maddox. Luke przejrzał ją na wskroś.

- Dobrze się znasz na ludziach. Przyczepić ci do czoła złotą gwiazdę?

Uśmiechnął się szelmowsko, jak za czasów szkolnych.

- Nie, ale pozwolę ci ją przykleić do mojego ...

- Nie zaczynajmy, Luke.

- W porządku - powiedział, uspokajając się natychmiast. - Skończyłem śniadanie. Może więc pojedziemy pod ten adres?

Po półtoragodzinnej jeździe w odległy zakątek hrabstwa Ocotillo, szeryf Hector Abbott uznał, że powinien zaczekać i wysłać tam po południu Forrestera i Lopeza. Chociaż niechętnie się do tego przyznawał, był już za stary, żeby sprawdzać idiotyczne, anonimowe zgłoszenia. Zwłaszcza że ten cholerny wóz policyjny tak strasznie podskakiwał na wyboistej drodze, prowadzącej do kanionu przy granicy parku narodowego.

Zahamował i czekał, dopóki jakiś gryzoń nie przebiegnie przez drogę. Znow zaczął się zastanawiać, czy nie powinien być surowszy wobec swoich podwładnych. Od czasu do czasu udzielał im rad albo wyjaśniał, jak chciałby poprowadzić tę czy inną sprawę, ale zawsze uważał, że ludzie pracują lepiej i są bardziej uczciwi, kiedy szef nie zagląda im stale przez ramię. Poza tym nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby się nie przykładać do bardzo ważnej pracy, polegającej na ochronie życia i mienia obywateli.

Właśnie dlatego tak bardzo się zdenerwował, kiedy odkrył, że Ramirez nie zarejestrował rzeczy wziętych z domu Maddoksów ostatniej zimy, chociaż twierdził, że to zrobił. Hector mógłby się o tym nigdy nie dowiedzieć, ale chciał przejrzeć wykaz po włamaniu do domu Susan. Miał nadzieję, że coś dostrzeże, zrozumie, czego mógłby chcieć włamywacz.

Nie znalazł raportu, a z Ramirezem nie mógł się połączyć przez radio z powodu wąwozów i skał w hrabstwie było wiele miejsc bez zasięgu - zadzwonił więc do laboratorium stanowego, żeby zapytać o rzeczy, przesłane tam do zbadania. Był zdziwiony, a potem oburzony, że pracownicy nie otrzymali żadnych przedmiotów z domu Maddoksów.

Hector mógłby uznać całą tę sytuację za klasyczny przypadek urzędniczego bałaganu, gdyby nie buty. Szyte na zamówienie kowbojki ze skóry strusia, w których Manuel stale chodził. Zastępca kupił je właśnie zeszłej zimy. Wszyscy w biurze podziwiali te buty i dużo o nich mówili, zwłaszcza kiedy Forrester poszedł do szewca i dowiedział się, że kosztowały około tysiąca dolarów. W tym samym czasie Manuel kupił sobie też pikapa: lśniącego, białego fordą, zaledwie dwuletniego. Ze skórzaną tapicerką i nowoczesnym systemem audio do słuchania tej dzikiej muzyki, którą tak lubił.

Forrester żartował, że nie chciałby aresztować Manuela za branie łapówek. Hector dobrze zapamiętał reakcję Ramireza. Podobnie jak jego przyrodni brat, Lupe, Manuel zawsze był porywczy. Tamtego dnia jednak przesadził: chwycił Forrestera za twarz i zagroził mu, że skopie go do nieprzytomności, jeśli zastępca jeszcze raz powie coś takiego. Spokojny tęgi Forrester, weteran w policji, skwitował ten wybuch śmiechem, ale Hector odwołał Manuela na bok i porządnie go objechał.

Manuel powiedział, że tylko żartował, Hector więc odpuścił.

Później pomyślał, że zastępca prawdopodobnie spotykał się z Grace, która mniej więcej w tym czasie zaczęła pracę jako strażniczka więzienna. Ale wobec tego, o czym teraz się dowiedział, zastanawiał się, czy Forrester przypadkiem nie trafił w dziesiątkę.

Jadąc samochodem po wyboistej drodze, Hector zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem, który pojawił się w nieodpowiednim momencie i mógł mieć bardzo poważne konsekwencje. Gdyby Myers, jego przeciwnik, przekonał innych nowo przybyłych do hrabstwa, że biuro szeryfa jest nie tylko przestarzałe, ale i panuje tam korupcja, to pozostali mieszkańcy natychmiast kupiliby tę historyjkę, a ten nowicjusz z Dallas wkrótce zaparkowałby swój tyłek za biurkiem Hectora. Sam Hector stałby się tylko ciekawostką, taką, jakie widywał w sklepach z pamiątkami: na przykład koło od wozu czy zardzewiały pręt do naznaczania bydła. Jeszcze nie antyki, ale też nie śmieci, po prostu ciekawostki z minionej epoki.

- Nigdy, do cholery - mruknął i zacisnął szczękę tak mocno, że bolały go wszystkie zęby,

gdy samochód podskakiwał na wybojach.

Upłynęło kilka minut. Spojrzał na deskę rozdzielczą, mrużąc oczy, ale niewiele zobaczył. Musiał wyciągnąć kupione w aptece okulary, żeby odczytać cyfry na liczniku. Zsunął okulary na koniec nosa i przejechał jeszcze trzysta metrów po opadającym terenie, porośniętym niewysokimi drzewami. Zerknął do notatek, które zrobił rano, i skręcił w prawo, w jeszcze węższą i bardziej wyboistą drogę.

Zatrzymał wóz i poszedł otworzyć bramę z zardzewiałą tablicą z napisem WŁASNOŚĆ PRYWATNA - NIE WCHODZIĆ i mniejszą tabliczką z wypłowiałymi słowami NA SPRZEDAŻ. Jakiś idiota z Dallas kupił tu czterdzieści hektarów ziemi, żeby polować, ale kiedy ukąsił go wąż, stchórzył i nigdy więcej tu nie przyjechał. Działka od dziesięciu lat była wystawiona na sprzedaż. Z bramy zdjęto kłódkę, żeby każdy zainteresowany mógł wejść i się rozejrzeć.

Najczęściej jednak bywali tu wycieczkowicze, amatorzy wspinaczki w kanionie i kochankowie. Przychodziła też Annie Kaktus, zwariowana staruszka, która wędrowała po parku z dużym, kudłatym kundlem. Spędzała tu bardzo dużo czasu, bo nie miała domu i żadnego majątku oprócz psa, zniszczonego plecaka pełnego śmieci i starej wojskowej kurtki. Jakiś rok temu, gdy Hector próbował ją stąd przepędzić, zaczęła gadać o głupich ludziach, którzy myślą, że mogą mieć Matkę Ziemię na własność, pociąć ją na kwadraciki i postawić ogrodzenia. Jazgotała tak, że chciał ją aresztować, żeby się uspokoiła. Ale wtedy czarno - biały pies wyszczerzył zęby i zaczął warczeć, a Hector nie miał serca zastrzelić jedynej istoty, którą kochała.

Zadowolony, że właściciel terenu nie przyjeżdża i nie robi zamieszania, zostawił Annie w spokoju. W końcu nie miał tylu ludzi - ani tyle cierpliwości żeby szukać intruzów w każdej dziurze i zakątku hrabstwa.

Droga prowadziła do wąskiego kanionu, który przypominał pęknięcie w dużym skalnym bloku. Gdy samochód wjechał w błoto, szeryf wyłączył silnik. Zgodnie z mapą, kanion Shotgun miał zaledwie dwa kilometry, ale miejsce, o którym mówił informator, znajdowało się znacznie bliżej.

Niechętnie wysiadł z klimatyzowanego samochodu i spojrzął na drogę przed sobą.

Jedno było pewne. Jeśli ktoś przyjechał tu samochodem - kobieta, którą podobno widział informator - to na pewno było to auto terenowe z napędem na cztery koła. Zwłaszcza że zimą padały bardzo silne deszcze.

Chociaż Hector musiał przyznać, że czarno - białe zdjęcia, które Susan zrobiła tu w grudniu, są na swój sposób piękne, wciąż nie rozumiał, co mogłoby się komukolwiek spodobać w tym kanionie. Źle się czuł wśród tych wysokich, skalnych ścian. Wypukłe i rudobrazowe, wydawały się go przytłaczać, wywoływały irracjonalny strach, że zaraz na niego runą. Nie był też zadowolony, że wchodząc do kanionu, pogrążył się w cieniu. Na pewno zawsze panował tu półmrok. Chociaż w kanionie powinno być chłodno, wysokie ściany uwięziły tu gorące powietrze. Po kilku minutach koszula Hectora była mokra od potu. Szeryf przeklinał informatora, obrzucając go wszystkimi obelgami, jakie przychodziły mu do głowy.

Przeklinał też własną głupotę, próbując uwolnić stopę, która uwięzła w splątanych pnączach. Bóg musiał mieć zły humor, gdy tworzył złe rzeczy, do których Hector zaliczał między innymi kulejące konie, przebite opony i otarcia na pulchnych kolankach raczkujących dzieci.

Wreszcie uwolnił się z pnączy i dotarł do potoczku, który opisał informator.

Wody wystarczyło tylko na cuchnącą sadzawkę i kilka kałuż, między którymi rosła ostra trawa i fruwały wredne, gryzące muchy.

- Jeśli dopadnę tego drania, który zadzwonił do mnie dziś rano, zastrzelę go na miejscu - wściekał się Hector, przewracając się w kałużę zielonkawego błota. Klękając, zauważył ślady pekari, a obok nich większe i znacznie bardziej przerażające odciski łap wielkiego kota.

Puma, pomyślał. Żadne inne zwierzę nie zostawiłoby takich tropów. Poczul w nozdrzach ostry zapach. Siwe włoski zjeżyły mu się na rękach.

Znalazł się na terenie łowieckim pumy, a wielkie koty nie okazywały żadnego szacunku stróżom porządku. Hector miał oczywiście broń, ale ponieważ wokół było dużo skał, za którymi mógł się ukryć drapieżnik, szeryf pewnie nie zdążyłby wyciągnąć pistoletu z kabury.

Pomyślał, że chciałby wrócić do domu. Był już stary, miał prawie sześćdziesiąt dziewięć lat, i bardzo się zmęczył. Upał wydawał mu się nie do zniesienia. A przecież nowicjusz Lopez musi gdzieś nabierać doświadczenia. Niech tu przyjedzie z Forresterem, będą na siebie uważać i ...

Hector wyobraził sobie jakiegoś wyrostka o tłustych włosach, który śmiał się teraz, że przegonił szeryfa po kanionie. Rechotał z dużego, złego szeryfa, który stchórzył z powodu kałuży błota i odcisku łapy.

- Gówno! - ryknął Hector. Jego głos odbił się echem w kanionie i wypłoszył łanię z rosnącej w pobliżu wysokiej trawy.

Minęła go, biegnąc do wylotu kanionu.

Hector stał nieruchoma, z bijącym sercem, i słuchał cichnącego stukotu kopyt. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i przypomniał sobie poranną rozmowę telefoniczną.

- Znajdziesz to, czego szukasz, trzy metry w lewo od piątej kałuży - powiedział mężczyzna. Rzeczywiście, w tym miejscu były też trzy dziwnie ustawione głazy o ostrych krawędziach, które opisał.

Czy za tymi głazami wielkości człowieka jest coś, co Susan Maddox przywiozła tu swoim dżipem w grudniu zeszłego roku, tego samego dnia, kiedy podobno tylko robiła zdjęcia? Na tę myśl Hectora przeszył dreszcz, a na czoło wystąpiły mu nowe kropelki potu.

Idąc w stronę głazów, powoli, żeby ominąć ciernie i śliskie miejsca, próbował sobie wyobrazić, co znajdzie. Spalony dowód, zbyt obciążający, by Susan mogła zostawić go w domu? Jakaś wskazówkę, że wiedziała o romansie męża z Jessicą Beecher? Pomyślał nawet, że anonimowy „informator” zastawił pułapkę na niego - i może zaraz go zastrzeli.

Jeśli tu zginie, jeśli to naprawdę zasadzka, to czy jego ludzie znajdą zwłoki szeryfa, zanim dobiorą się do nich pumy, pekari i kojoty?

Po chwili wahania Hector wykluczył tę ostatnią myśl; nigdy nie lubił się zastanawiać nad nieprzyjemnymi sprawami. Prawdopodobnie w cieniu głazów nie znajdzie nic poza kolejnymi brązowymi skałami, zielonymi glonami i ...

Nagle zobaczył zupełnie inny kolor, niż się spodziewał.

Niesamowite lśnienie, charakterystyczną biel nagiej kości.

## ROZDZIAŁ 15

Luke pilotował, a Susan przejechała thunderbirdem przez most nad zatoką, żeby dotrzeć do San Francisco. Niewiele widział wokoło. Otaczająca ich mgła przesłaniała wszystko i nawet tłumiła dźwięki.

Czuł się tak, jakby przelatywali szybowcem przez warstwę chmur. To było dziwnie intymne uczucie, jakby z własnego wyboru znaleźli się sami na świecie. W takim świecie, gdzie mogła być jego kochanka, nie tylko żoną jego brata.

Nie chciał przyznać się przed sobą, jak bardzo potrzebuje Susan. Nie chciał się pogodzić z własną, niemożliwą do zrealizowania żądzą. Lecąc samolotem z Teksasu, rozmyślał o tym, ile złych rzeczy by się stało, gdyby Susan należała do niego. Obie matki byłyby wściekłe i urażone. Szeryf nabrałby podejrzeń, a plotkarze opowiadaliby na ich temat okropne rzeczy. Tak okropne, że Susan już nigdy nie mogłaby uczyć w hrabstwie Ocotillo.

Przysiągł sobie, że w trosce o Susan nigdy nie narazi jej na takie przykrości.

Ale w chwili, gdy wysiadła z thunderbirda i powitała go na podjeździe, dobrze wiedział, że żadne argumenty nie znaczą nic dla jego serca. Dlatego na razie cieszył się złudzeniem, że świat skurczył się do nich dwojga.

Fantazję przerwał mu dźwięk klaksonu. Mrugając, szukał słów. Miał nadzieję, że normalna rozmowa sprowadzi go z powrotem na ziemię.

- Ładny widok; co?

Susan pochyliła się nad kierownicą, rozglądając się uważnie.

- Patrz lepiej na tablice informacyjne, żebyśmy nie przegapili zjazdu. Ja nic nie widzę.

Za pierwszym razem przegapili, ale w końcu dotarli do ulicy na Pacific Heights. Tutaj widoczność była lepsza. Stały tu stare domki jednorodzinne pomiędzy bardziej nowoczesnymi apartamentowcami z cegły.

Chociaż David Spencer miał dużo pieniędzy w bankach, Luke wyobrażał sobie, że mieszka w jakimś anonimowym mieszkaniu albo w starym, rozpadającym się domku, co świadczyłoby o częstych przeprowadzkach. Zdziwił się, gdy Susan zaparkowała przed segmentem.

- Ładnie tu - powiedziała.

Nie żartowała. Pomalowany w gustownych odcieniach szarości, fioleto i bieli, ze złotymi krawędziami, mieszkalny segment wyglądał tak, że można byłoby go pokazywać seniorom na wycieczkach.

- Myślisz, że facet jest w domu? - zapytała Susan.

Luke spojrzał na nadgarstek i zmarszczył brwi, przypominając sobie, że już nie ma zegarka. Popatrzył więc na zegar w samochodzie. Dochodziło w pół do dwunastej.

- Nie, jeśli pracuje w dzień - powiedział. Susan spojrzała na dom i głęboko odetchnęła.

- Co teraz? Nawet jeśli jest w domu, to gdy powiemy wprost, o co chodzi, na pewno zamknie nam drzwi przed nosem.

Luke zastanawiał się chwilę.

- Po pierwsze, nie idźmy oboje. Jeśli jedno z nas go przestraszy, drugie będzie mogło potem spróbować innego sposobu.

Zagryzła dolną wargę.

- Mam. Może powiem, że przywiozłam przesyłkę dla Davida Spencera? Przekonam się, czy to on.

- Po pierwsze, nie mamy żadnej paczki. A nawet jeśli się przyzna, że jest Spencerem, to co dalej? Rzucisz się na niego i zażadasz odpowiedzi?

Zrobiła zawstydzoną minę, bo oboje wiedzieli, że właśnie tak by się zachowała. - Może ty poradzisz sobie lepiej. Kiedy zadzwoniłeś do niego wtedy, od razu wymyśliłeś dobre kłamstwo. Nie wiem, czy cię kochać, czy nienawidzić za tę szczególną zdolność.

Uśmiechnęła się, żeby pokazać, że to był żart, ale w małym samochodzie powietrze aż zawibrowało od sensu, który mógł się kryć w jej słowach. „Nie wiem, czy cię kochać... „ Poczul ból, tracąc nadzieję.

W pierwszej chwili chciał to przewrotnie skomentować, powiedzieć, że miał inne talenty, za które na pewno by go pokochała. Nie zrobił tego jednak. Nie chciał, żeby wniosła oczy do nieba i odwróciła swoją piękną twarz.

- W pracy często tropię sabotażystów i hakerów. Podejdę go jakoś. Postaram się nie myśleć, że faceta może coś łączyć z Brianem. Ty zaczekaj tutaj.

Nie sprzeciwiła się, co świadczyło o jej zdenerwowaniu.

Zrobiła za to coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Pochyliła się i delikatnie go pocałowała.

Miała usta jak ciepły aksamit, tak cudowne, że pragnął je całować bez końca, zatracić się w niej. Ale ona już się odsunęła.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Miałam zamiar zająć się tym sama. Ale teraz, kiedy tu jesteś, zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

Odgarnął niesforny kosmyk z jej policzka, bardzo lekko muskając palcami jej skórę.

- Nie musisz. Nigdy, bo przejdziemy przez to wszystko razem.

Musiał się odwrócić i wysiąść z samochodu, bo jeszcze chwila, a przekroczyłby granicę, spoza której nie ma już odwrotu.

Susan cofnęła się kawałek samochodem, żeby nie zobaczyła jej osoba otwierająca drzwi. Chociaż ukrywanie się miało w tym przypadku sens, była zła, że nie może obserwować Luke'a.

Im dłużej czekała, tym bardziej się denerwowała. W jej wyobraźni powstawały kolejne przerażające scenariusze. A jeśli Luke powiedział coś nie tak i ten człowiek wezwał policję? Jak Luke wyjaśni swoje przybycie? A może nieznajomy wyciągnął broń i zmusił Luke'a do wejścia do środka? Albo, zamiast obcego mężczyzny, którego się tu spodziewali, drzwi otworzył sam Brian?

A jeśli Brian podszył się pod Davida Spencera? Pomyślała o pieniądzach ukrytych na kontach bankowych. Czy mogła to być forsa ukradzona z rodzinnej firmy i z ich oszczędności? Były też kredyty, których Brian nie spłacił bankowi Hala. Czy przybrał nową tożsamość i został w kraju, zamiast uciec?

Na tę myśl zaschło jej w ustach i poczuła ucisk w żołądku.

Tak przyzwyczała się do abstrakcyjnego myślenia o Brianie - wyobrażała sobie niewiernego męża wznoszącego toasty za jej głupotę w jakimś tropikalnym rajku - że przestała go traktować jak żywego człowieka, męża, którym był kiedyś. Co by mu powiedziała, gdyby się tu spotkali?

Dawny ból powrócił jak fala uderzeniowa po odległej eksplozji. Odległej, bo wolała się oddalić od swojego cierpienia, zrobić wszystko, żeby przetrwać. Wybrała złość.

Wysiadła z samochodu, myśląc tylko o jednym: żeby zawlec tego wrednego drania z powrotem do Clementine i odzyskać własne życie. Była gotowa nawet wepchnąć go siłą do samochodu Carol i zawieźć go na miejsce.

Luke spotkał ją na podjeździe i pokazał gestem, żeby wróciła do samochodu. Wykonała polecenie, chcąc jak najszybciej usłyszeć, czego się dowiedział. - Był tam? - ,zapytała, gdy



tylko zamknął drzwiczki auta.

Luke pokręcił głową.

- Nie, ale sąsiadka wyrzała zza drzwi. Mieszkają obok siebie, myślała, że pukałem do niej. Przynajmniej tak mówi. To starsza pani, oddycha tlenem przez rurkę i pewnie rzadko wychodzi z domu. Może po prostu chciała porozmawiać.

- Zapytałeś ją, kto tam mieszka?

- Czy przepuściłbym taką okazję? Najpierw trochę pogadałem, powiedziałem, że jestem starym znajomym Davida Spencera ze studiów i że chcę mu zrobić niespodziankę.

- Co ona na to?

- Z początku się speszyła i powiedziała, że nigdy o nim nie słyszała. Nagle coś się zmieniło. Zdenerwowała się, ale w końcu mi wyznała, że Spencer nigdy tu nie mieszkał, tylko jego przyjaciel. Ale słowo „przyjaciel” wypowiedziała dziwnym, znaczącym tonem.

- Kochanek? - podsunęła Susan. Tego się nie spodziewała.

Luke skinął głową.

- Możliwe. W każdym razie powiedziała, że David Spencer był przyjacielem pana Petita i że zmarł w zeszłym roku. Nie miał rodziny, Petit zarządza więc jego majątkiem.

- Ale jeśli Spencer nie żyje, dlaczego Petit chciał, żebyś przysłał mu czek? Od oddechu Luke'a zaparowała przednia szyba, Susan włączyła więc zapłon i klimatyzację.

- Może ... - powiedział Luke - wykorzysta te pieniądze, żeby spłacić jakieś rachunki Spencera, skoro zarządza jego majątkiem.

- Czy naprawdę? Mówiłeś, że zakład ubezpieczeniowy nie umieścił Spencera na liście zmarłych. .

- Słusznie. Może facet jest po prostu pazerny i chce pieniędzy dla siebie. Może uważa, że z jakichś powodów mu się należą. Ludzie bywają dziwni.

- Co dalej? - zapytała. - Czy sąsiadka powiedziała ci, gdzie możemy znaleźć tego Petita?

- Nie potrafiła określić, gdzie pracuje. Wie tylko, że Petit ma coś wspólnego z teatrem. Robił scenografię czy coś takiego. To artysta z Atlanty albo z Charleston, nie była pewna. Kiedy pojedę do hotelu, sprawdzę strony internetowe teatrów. Może go znajdę.

- Chcesz teraz szukać hotelu czy masz inne plany?

Luke wyjął elektroniczny notatnik z torby i spojrzał na mały monitor.

- Mam tutaj adres hospicjum, gdzie chyba zajmowano się Davidem Spencerem. Może tam pojedziemy?

- Ty pilotujesz - powiedziała. - Mów mi tylko, w którą stronę jechać. Ale pamiętaj, że za kilka godzin muszę wrócić, bo po południu mam samolot.

Luke pilotował, a Susan jechała do miejsca, oddalonego od domu Petita o jakieś trzy kilometry. Zatrzymali się na światłach.

- Może zadzwonisz do linii lotniczych i powiesz, że zmieniłaś plany? zaproponował. - Wybierzesz inny samolot, kiedy ustalimy, dokąd prowadzi trop Petita.

- Martwię się, Luke. Boję się, że to wszystko na nic, że namęczymy się na próżno. Co mógł mieć wspólnego Brian z człowiekiem, który żył lub nie żył w związku z artystą z San Francisco i zmarł na AIDS lub nie ...

- Zielone światło, Susan - przypomniał Luke.

Dopiero kiedy roztrąbiły się klaksony innych samochodów, wcisnęła pedał gazu. Zaparkowała thunderbirda przed zamkniętą kwiaciarnią. Kawałek dalej stał duży truck, ale ona nie zwróciła na niego uwagi.

- Rok czy dwa lata temu, nie pamiętam dokładnie, kiedy, Brian i ja oglądaliśmy w telewizji pewien program, w najlepszym czasie antenowym, tak jak lubił - powiedziała. - Był to reportaż o inwestorach, którzy wykupują polisy ubezpieczeniowe umierających ludzi, przede wszystkim mężczyzn chorych na AIDS. Inwestor daje takiemu człowiekowi dużą sumę, powiedzmy pięćdziesiąt centów od dolara, chory może więc zapłacić za leczenie i reguluje długi, które pozostałyby życiowemu partnerowi lub rodzinie. Później, po śmierci chorego, pieniądze z ubezpieczenia przechodzą na inwestora.

- Chyba o tym słyszałem. To okropny sposób zarabiania: czekać, aż inwestycja umrze.

- Też tak uważałam, ale Brian nie podzielał mojego zdania.

Zapytał, kto na tym cierpi, skoro umierający facet potrzebuje forsy za życia.

- Co myślisz?

- Może to podsunęło Brianowi pomysł. Może dlatego David Spencer nie figuruje w oficjalnym rejestrze zmarłych.

Luke zrozumiał od razu.

- Brian wykupił polisę przed jego śmiercią. ..

- A teraz podszywa się pod niego, żeby móc bez kłopotu przebywać w kraju. Korzysta z pieniędzy z kont bankowych, które założył na nazwisko Spencera.

- To się wydaje ... całkowicie możliwe - przyznał Luke.

Susan skinęła głową. Serce biło jej coraz szybciej, bo kolejne elementy układanki wpadały na miejsce.

- Tłumaczy to też, dlaczego ciągle przychodziły listy, zaadresowane do wynajętego mieszkania Briana. Jeśli Brian chciał przyjąć czyjąś tożsamość, musiał sprawdzić tego człowieka. Musiał mieć pewność, że nie wpakuje się w tarapaty. Może też chciał znaleźć kogoś fizycznie podobnego do siebie, by jakiś urzędnik nie wykrył w bazach danych, że facet jest innej rasy albo ma dwadzieścia lat więcej. Kiedy znalazł odpowiednią osobę, pewnie sprawdził też jej zdolność kredytową.

- Jeśli będziesz kiedyś chciała dla mnie pracować, zatrudnię cię od razu.

Masz wspaniały umysł do komputerowych poszukiwań.

- Nie mam ochoty rozpracowywać twoich hakerów i sabotażystów - powiedziała. - Chcę tylko znaleźć Briana Maddoksa i zawlec jego tyłek do Teksasu. I do więzienia.

- Amen - powiedział Luke. - Jedźmy jednak do hospicjum, może się czegoś dowiemy. A później znajdziemy jakiś hotel. Jeśli masz rację, a myślę, że tak, to nie dotrzemy do Briana, dręcząc kochankę Spencera. Trzeba raczej iść śladem pieniędzy.

Gdy Hector Abbott jechał w stronę rancza Maddoksów ze złą wiadomością, wciąż nie mógł uwierzyć, że Susan oszukiwała go przez tyle miesięcy. Domagała się przyspieszenia śledztwa i zagrała oscarową rolę nieszczęśliwej kobiety. Nigdy by nie pomyślał, że ma jakikolwiek związek z morderstwami.

Zresztą nie tylko jej zachowanie po zniknięciu męża i Jessiki Beecher przekonywało go o jej niewinności. Słyszał dużo o Susan - i czuł się tak, jakby znał ją osobiście - od wielu lat.

Gdy jej matka pracowała jako kelnerka, często mówiła o swoich córkach.

Hector spędził wiele poranków z Maggie Dalton i zjadł dużo przypalonych śniadań jej szefa, starając się ją lepiej poznać. Często myślał o tym, żeby spotkać się z Maggie poza kawiarnią, ale nigdy nie było odpowiedniego momentu, żeby ją zaprosić.

W ostatnich latach do Hectora dochodziły też informacje o pracy Susan, zwłaszcza o tym, jak pomagała najtrudniejszej młodzieży w hrabstwie. Nie mogła uratować zatwardziałych

przestępców, ale podziwiał to, co zrobiła dla tych, którzy byli na krawędzi. Dobrze wiedział, że przynajmniej kilku pomogła uzyskać stypendia i zacząć studia.

Ale nawet gdyby była święta, nie miałyby to żadnego znaczenia. Bo najwyraźniej coś w niej pękło, może kiedy odkryła, że jej mąż chciał uciec z forsą. A może dowiedziała się jakoś, że Jessica była w ciąży z Brianem? To już bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że ich zabiła i porzuciła ciała w kanionie Shotgun, na pożarcie pumom i kojotom.

Padlinożercy zostawili jednak ślady, jak zawsze. Chociaż zwierzęta zniszczyły fragmenty kości, włosów oraz ubrań, to zostawiły dość, żeby identyfikacja ciał była prostym zadaniem nawet dla niedowidzącego koronera.

Zwierzęta zostawiły dość dużą część większej, prawdopodobnie męskiej głowy. Jeden z zastępców Hectora znalazł kobiecą obrączkę, wciśniętą w gardło ofiary.

Obrączka, z trzema diamentami i wygrawerowaną datą, była taka sama jak męska obrączka, którą szeryf kilka dni wcześniej zamknął w szufladzie swojego biurka.

## ROZDZIAŁ 16

Z treści karteczek, przypiętych do tablicy pamiątkowej na zewnątrz hospicjum, wynikało, że David Spencer był dobrym przyjacielem, cudownym kochankiem i utalentowanym projektantem kostiumów .

Susan pogładziła końcami palców krawędzie małego zdjęcia, przedstawiającego wychudzonego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Jego twarz była trochę zamazana; Luke pomyślał, że mężczyzna śmiał się, gdy robiono fotografię. Choć nie znał Spencera, miał nadzieję, że tak właśnie było i że ten człowiek doznał trochę radości w swoich ostatnich dniach.

- Jestem ciekawa, czy Brian ma wyrzuty sumienia, że ukradł mu życie. Luke usłyszał w jej głosie smutek, ale i strach. Czy bała się, że nie znajdą jej męża? Czy raczej tego, że niespodziewanie Brian się tu zjawi?

Pokręcił głową.

- Wątpię, żeby martwił się czymkolwiek i kimkolwiek oprócz siebie. Jak zwykle.

Zastanawiał się jednak, czy jego brat teraz musiał też martwić się o dziecko.

Wiedział, że powinien jakoś przygotować Susan na tę możliwość. Na pewno będzie wściekła, że to przed nią ukrywał.

Na razie tłumaczył się sam przed sobą, że ciąża Jessiki Beecher to tylko plotki. Ale reakcja matki, gdy usłyszała tę wiadomość, wciąż go niepokoiła. Czy Brian wyznał Virginii, że żona Beechera była z nim w ciąży? Luke wyobrażał sobie, że Brian obwinił Susan o wszystkie swoje niepowodzenia. Bez trudu przekonałby matkę, że nie zdradziłby żony, gdyby tak bardzo nie pragnął mieć dzieci. A matka oczywiście połknęłaby tę jego historyjkę w całości, jak wąż, połykający całe jajko.

Obiecał sobie, że powie o tym Susan dziś, gdy tylko znajdą się w jakimś spokojnym miejscu. Gdy dotknął jej ramienia, spojrzała na niego pytająco.

- Później - powiedział, bo zbliżyła się do nich starsza pani, bardzo podobna do Barbary Bush. Na plakietce było napisane nazwisko: IRENE HILDEBRANDT. Przedstawiła się jako dyrektorka ośrodka.

Gdy zaproponowała krótką wycieczkę po hospicjum, Luke pomyślał, że uznała ich za potencjalnych darczyńców lub wolontariuszy. Z entuzjazmem odpowiadała na ich pytania dotyczące ośrodka, dopóki Luke nie wymienił nazwiska Davida Spencera.

- Zastanawiamy się ... - powiedział. - Jak .. jak było go stać na pobyt tutaj ... pod koniec.

- Nie znaliście go, prawda? - zapytała z zaciętą miną. - Wy też jesteście podłymi reporterami!

- Reporterami? - zapytała Susan. - Jak to?

- Chodzi mi o Bruce'a Sayresa z gazety „Podziemne miasto”. Myśli, że wyświadcza społeczności gejowskiej przysługę, podsuwając nową możliwość. Próbuję mu wyjaśnić, że nasz ośrodek nie ukrywa nielegalnej działalności. Ani że nie potrzebujemy reklamy. My pomagamy odejść ludziom z godnością. Nie sprzedajemy nowych tożsamości przestępcom! Nie uwierzylibyście, jakie telefony odbieram, odkąd zaczął pisać te swoje artykuły!

Czyli Susan miała rację, pomyślał Luke, klnąc się w myśli za to, jak idiotycznie poprowadził rozmowę z klonem Barbary Bush.

- Nie jesteśmy reporterami - powiedziała Susan. - Chcemy pomóc przyjacielowi, żeby nie obciążał swojej rodziny...

Dyrektorka wyrzuciła obie ręce w górę.

- Wynoście się stąd oboje, bo wezwę policję. Mówiłam, nie biorę udziału w tym obrzydliwym handlu!

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała pod arkadami do biura. Luke usłyszał, jak mówiła sekretarce, że jeśli nie wyjdą za pół minuty, to ma zadzwonić na policję.

- Muszę przyznać - powiedział Luke do Susan w samochodzie - że bardzo szybko wymyśliłaś kłamstwo.

Susan się skrzywiła.

- Szkoda, że nie takie, jak trzeba.

- Przynajmniej mamy potwierdzenie, że mogłaś być na właściwym tropie z tą zmianą tożsamości. To nam pomoże znaleźć Briana.

- Jesteśmy już blisko, prawda? - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, jej nastrój się poprawił. Niepokój zniknął z twarzy, uśmiechnęła się, a w oczach zaślniła nadzieja. - Czuję to.

Chciał jej poradzić, żeby zbyt wiele nie oczekiwała, ale miała tak mało powodów do radości, że nie śmiał tego zrobić. Odwzajemnił uśmiech.

- Na to wygląda.

- Mogę pożyczyć twoją komórkę? Powiem Carol, że dziś nie wylatuję. Luke podał jej telefon i czekał. Gdy siostra nie odebrała komórki, Susan nagrała wiadomość, że postanowiła odłożyć powrót do domu i cały dzień robić zakupy.

- Co jej powiesz - zapytał, gdy się rozłączyła - kiedy przyjdiesz do domu z pustymi rękami?

- Powiem, że kazałam przesłać rzeczy do Clementine, bo nie chciało mi się ich pakować. Ona by tak zrobiła. Dokąd teraz?

Do hotelu?

Puścił do niej oczko.

- Myślałem, że nigdy tego nie zaproponujesz.

Nie było mu jednak wesoło. W pokoju hotelowym, gdy zostaną sam na sam, będzie musiał zepsuć jej nastrój, mówiąc to, co powinien powiedzieć już dawno.

Przypomniał sobie własną bezsilność podczas telefonicznej rozmowy po jej ostatnim poronieniu. Wiedział, że ta rozmowa będzie jeszcze trudniejsza.

Zamyślił się tak bardzo, że nie zauważył w lusterku wstecznym srebrnego trucka, tego samego, który jechał za nimi od domu na Pacific Heights.

Susan poczuła ulgę, gdy w pokoju hotelowym Luke zainteresował się komputerem, a nie wielkim łóżkiem. Gdy jednak podłączył swój laptop do Internetu, zrobiło się jej nieswojo, bo zerkał na nią ukradkiem i zaraz odwracał wzrok.

Coś go dręczyło. Może ten pięknie urządzony pokój bardziej nadawał się dla nowożeńców w podróży poślubnej niż dla pary... kogo? Kim dla niego była? I kim będzie, kiedy to wszystko się skończy? Mniej niż rodziną, więcej niż koleżanką.

Pewnie tylko bolesnym wspomnieniem, którym i on stanie się dla niej.

Chociaż zaledwie kilka minut temu przepelniał ją optymizm, teraz do oczu napłynęły łzy na myśl o straconej szansie na szczęście z Lukiem.

Była idiotką, myśląc o czymkolwiek poza przetrwaniem kolejnego dnia. To dziwne, że nadzieja jest taka nieustępliwa. Wraca jak wypędzony pies, który przychodzi do swojego pana, choć spodziewa się bicia.

Zapomnij o Luke'u. Myśl o powrocie do Clementine, do nauczania w szkole, o domu, o

wieczorach z mamą i Peavym. To wszystko byłoby możliwe, gdyby tylko Brian trafił za kratki.

- Fatalne połączenie. - Luke zmrużył oczy. - Ściąganie mojej poczty trwa wieczność. I nic nie widać.

Odwrócił się, żeby zaciągnąć ciężkie zasłony. Pokój pograżył się w półmroku, jakby był wieczór, a nie słoneczne popołudnie.

Susan włączyła lampkę nocną.

- Stało się coś złego? Wydajesz się zmartwiony.

- Ja ... musimy o czymś porozmawiać - powiedział. - Nie wiem tylko ...

Zadzwoiła jego komórka. Biorąc telefon z biurka, gdzie go zostawił, Luke zerknął na monitor i uniósł palec, pokazując, żeby Susan zaczekała.

Zmarszczyła brwi, widząc, że Luke wychodzi do łazienki i zamyka drzwi. Kto dzwonił, że nie mogła posłuchać, o czym mówią? Dziewczyna, o której nie wiedziała? A może jego matka? Nie była pewna, co zmartwiłoby ją bardziej.

Otarła łzy z oczu i powiedziała sobie, że prawdopodobnie umawiał się z jakąś kobietą. Starając się nie zwracać uwagi na nagłe ukłucie zazdrości, usiadła na łóżku i wyjęła z torebki bilet na samolot. Z hotelowego telefonu zadzwoniła do „linii lotniczych i zawiadomiła, że przekłada wylot.

Kiedy skończyła, Luke z ponurą miną wychodził właśnie z łazienki.

- Coś się stało? - Wiedziała, że nie powinna pytać, bo przecież kilka niepotrzebnych pocałunków nie dawało jej do tego prawa. Ale zastanawiała się, czy to, co chciał jej powiedzieć, miało związek z tym telefonem. - Jeśli chciałeś mi oświadczyć, że kogoś masz...

- Dlaczego tak myślisz? - Ruszył w stronę biurka, na którym leżał laptop, ale zawrócił i usiadł przy niej na łóżku. Dzielili ich tylko książka telefoniczna.

Odsuń się natychmiast, powiedziała sobie, czując gęsią skórę. Nie możesz z nim być tak blisko.

Ale tylko odchrząknęła.

- To ma sens, prawda? Odkąd pamiętam, zawsze uganiały się za tobą różne kobiety. Najczęściej więcej niż jedna naraz.

Uśmiechnął się, wyraźnie ubawiony.

- W szkole średniej czegoś się nauczyłem: tylko jedna kobieta naraz. Ale masz rację, dzwoniła kobieta. Tylko że nie jestem z nią związany. Przynajmniej nie tak, jak myślisz. Pamiętasz, mówiłem ci o współpracownicy?

- O tej, która sprawdza finanse Davida Spencera?

Zacisnął usta.

- Przekazała ci złe wieści - domyśliła się Susan.

- Tak. W rozmowie przez komórkę nie mogła podać szczegółów, ale wykryła coś dziwnego. Brian, czyli David Spencer, nie tknął pieniędzy od chwili, gdy założył konto, czyli od końca listopada.

Serce zabiło jej szybciej, mocno zacisnęła pięści.

- Czyli będzie musiała znaleźć resztę pieniędzy, tak? Forseę z kredytów zaciągniętych u Hala.

Pokręcił głową.

- To nie jest takie proste. Są tysiące banków i instytucji finansowych. Nie da się określić, gdzie umieścić pieniądze. Jeśli w ogóle został w kraju. Jeżeli ma konto za granicą ...

Nadzieja znów uciekła jak pies z podkulonym ogonem.

- To znaczy, że ... że ... - Odwróciła od niego twarz, nie chcąc, żeby zobaczył świeże łyzy. - Myślałam ... byłam pewna, że niedługo go znajdziemy. Liczyłam na to.

- Będę szukał dalej, Susan. Nawet jeśli zajmie mi to dwadzieścia lat, dopadnę tego drania.

- Nie mogę czekać tak długo! Nie rozumiesz? Jeśli na spotkaniu z radą szkoły nie przedstawię jakiegoś dowodu ...

- Zadzwońmy do Bruce'a Sayresa - powiedział. - Może on coś wie.

- Do kogo? - Była wściekła, że drży jej głos i trzęsą się ręce.

- Pamiętasz. To ten reporter z „Podziemnego miasta”.

Pomyślała, że chwycił się brzytwy, starając się znaleźć cokolwiek, żeby się nie załamała. Brian zachowałby się zupełnie inaczej. Narzekałby na kolejną, jak to nazywał, „kobiecą chwilę”, albo, co gorsza, próbowałby ją zawstydzić.

Na szczęście Luke nie był Brianem, ale i tak czuła wstyd. Gdy on szukał nazwiska w książce telefonicznej, ona pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Starając się opanować, słuchała, jak wystukuje numer i po krótkiej przerwie zostawia nazwisko i numer swojej komórki oraz krótką prośbę, żeby Sayres zadzwonił.

Nie mogła powstrzymać łez. Płynęły jej z oczu i kapały z nosa. Tego było za dużo: ciągły strach, nadzieja i niekończące się zawody.

- Przepraszam - powiedziała. - Zaraz dojdę do siebie.

Odłożył książkę telefoniczną na nocny stolik i zaskoczył Susan, zdejmując jej buty. Położył jej stopy na łóżku. Pozwoliła, żeby ją wygodnie ułożył, jakby była dzieckiem.

- Wszystko w porządku - powiedział, kładąc się przy niej.

Leżał na boku, tak blisko, że od jego oddechu poruszały się jej włosy. - Wszystko dobrze. Nigdy nie przepraszaj za to, że jesteś człowiekiem.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Luke patrzy na nią z bardzo bliska. Bardzo chciała dotknąć jego ust, nie tylko słyszeć jego słowa, ale i czuć.

Idź do okna, poradził jej głos rozsądku. Wyjrzyj z za zasłon i powiedz coś o ładnym widoku. Trzy piętra niżej ludzie idą na nabrzeże: pary zakochanych, matki z dziećmi w wózkach, oraz samotne osoby, które chcą patrzeć na innych lub być oglądane.

Nawet nie drgnęła.

- Co chciałeś mi powiedzieć, zanim zadzwoniła twoja współpracownica? Na chwilę posmutniał. Pokręcił głową.

- Nic. Nic takiego.

Kosmyk włosów opadł jej na policzek, Luke więc odgarnął go jej za ucho.

- Mój brat to cholerny idiota - powiedział. - Mam nadzieję, że zgnije w więzieniu.

- Raczej w piekle. - Próbowała się uśmiechnąć. - Bo tam mnie zostawił.

Gdy wziął ją w ramiona, chciała się opierać. Ale jego męski zapach, ciężar i uśpiona w mięśniach siła sprawiły, że złamała swoje postanowienie.

Mimo to próbowała nie zwracać uwagi na ogarniające ją ciepło. Starła się nie odczuwać przyjemności, gdy powoli gładził ją palcami po plecach.

- Nie pozwól więc, żeby dłużej wpływał na twoje życie - powiedział. Pomogę ci iść dalej.

Susan mogłaby przysiąc, że w pełnej napięcia ciszy, która zapadła, słyszy trzask zapalnika. Poczwała ciepło w podbrzuszu. Rozpuszczała się jak wosk.

Gdy dotknął ustami jej ust, pomyślała stanowczo: „Jeden pocałunek”. Potem przerwie tę długą, powolną detonację, która właśnie się zaczęła.

Emocje wybuchły, gdy ich usta się stopiły, a języki poruszały się gwałtownie, jakby chciały

zaspokoić wielki głód. Przyciągnęła go bliżej, żeby czuć drżenie mięśni na jego plecach, a on wsunął dłoń pod jej sweter i ujął pulsującą pierś.

Tylko tyle, powiedziała sobie, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Ale to wydawało się takie dobre, takie właściwe. Jak ratunek od całej frustracji i przykrości.

Kiedy wsunął pod nią dłoń, żeby rozpiąć stanik, chciała zaprotestować, ale tylko jęknęła z rozkoszy. Znów zaczęli się całować. Potem ciepłymi ustami i językiem dotykał jej ucha, drapiąc zarostem po szyi. Końcami palców muskał sutki Susan.

Przeszył ją dreszcz, żądza, której nie mogła pokonać.

- Pragnę cię, Susan. Muszę poczuć twój smak.

Jego słowa zabrzmiały jak szum wiatru na pustyni. Poczwała gorąco między nogami i zapomniała, że kiedykolwiek знаła jego brata.

Luke ukląkł przy łóżku i pomógł jej zdjąć sweter i stanik. Patrzył na pełne piersi Susan z podziwem, który sprawił, że bardzo zapragnęła jego dotyku.

- Och ... - szepnęła, drżąc. Dawno nie widziała takiego spojrzenia. Zapomniała, jak się czuła, widząc pożądanie w jego oczach.

- Najpierw muszę cię zobaczyć - powiedział, rozpinając rozporek jej dzinsów. - Muszę zobaczyć cię całą.

Pomogła mu, gdy zdejmował jej spodnie. Pozostały tylko majtki z błękitnego jedwabiu, delikatne i wilgotne. Położył jej rękę na biodrze i bawił się ich gumką.

Podniecenie Susan rosło. Chciała błagać, żeby rozebrał ją do końca, choć sam był jeszcze w ubraniu.

Ale on wrócił na łóżko i zaczął ją całować. Pocałunki przeniosły się z ust na szyję i piersi. Bokobrodami drapał jej stwardniałe sutki, ale zanim zdążyła krzyknąć, ukoił ból językiem. Palce Luke'a cały czas tańczyły przy jej majtkach, raz na jakiś czas błędząc pod koronkową gumką.

Wreszcie przesunął się w dół i ściągnął je zębami. Gdy była już całkiem naga, zaczął się sam rozbierać. Powoli, patrząc na nią cały czas.

- Jesteś piękna - powiedział. - Jeszcze piękniejsza niż zapamiętałem.

- Zabawne. - Jej głos brzmiał dziwnie chrapliwie. - Myślałam to samo o tobie.

Stał się mężczyzną, na jakiego zapowiadał się w szkole średniej. Miał szerokie ramiona i długie nogi, a jego ładnie ukształtowane mięśnie drżały teraz z podniecenia. Chmurka ciemnych włosów pokrywała klatkę piersiową, a niżej tworzyła strzałkę, wskazującą miejsce erekcji.

Usiadł między jej zgiętymi kolanami, pocałował je, a potem okrył pocałunkami wewnętrzną stronę ud, do samego końca. Wyprężyła się, czując wilgotny, ciepły dotyk jego ust. W jej ciele narastała rozkosz, ogromne napięcie. Kiedy wsunął w nią palec, zobaczyła przed oczami oślepiające światło.

Jeszcze krzyczała z rozkoszy, kiedy zmienił pozycję i wszedł w nią mocno.

Gdy znów mogła widzieć, zobaczyła nad sobą jego twarz, podnieconą i szaloną. Rozkosz powróciła, gdy ich ciała zaczęły się poruszać w dawno zapomnianym rytmie, ale to jego pocałunek, gorący i namiętny, sprawił, że oboje poczuli się, jakby spadali w przepaść.

I, jak podczas każdego upadku, przez chwilę mieli wrażenie, że fruują.



## ROZDZIAŁ 17

Kochali się jeszcze raz tego popołudnia. Żadne z nich nie ośmieliło się mówić ani o przyszłości, ani o przeszłości. Wiedzieli, że mają dla siebie tylko teraźniejszość. Luke przedłużał każdą pieszczotę i każdy pocałunek, cieszył się każdym zapachem, widokiem i smakiem, a jego ciało płonęło jak ogień pod cieniutką powłoką skóry.

Dopiero później, gdy oboje leżeli uśmiechnięci i zaspokojeni, dopadło go zmęczenie i przedłużające się skutki działania środka uspokajającego. Susan położyła mu głowę na ramieniu i objęła go ręką. Zasnąłby, gdyby nie słowa, które domagały się wypowiedzenia.

- Jesteś niezwykłą kobietą - zaczął. - Wiedziałaś o tym? Mruknęła z zadowolenia i pocałowała go w szyję.

- Wiem, że to zły moment... cholera, dla nas zawsze jest zły moment, ale trudno - ciągnął. - Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Odkąd pamiętam. To był główny powód mojej ucieczki z zachodniego Teksasu po twoim ślubie z Brianem. Nie mógłbym patrzeć ...

Przerwał, bo usłyszał jej ciche chrapanie.

- Facet szesnaście lat przygotowuje się do wyznania uczucia, a ty to przesypiasz!

Z uśmiechem pocałował ją w skroń i zasnął tak głęboko, że nie usłyszał nawet dzwонka telefonu.

Poczuł, jak Susan szarpie go za ramię.

- Może to Sayres - powiedziała.

Luke nie pamiętał nawet, kim był Sayres. Wyciągnął rękę, żeby przytulić do siebie Susan, ale ona wstała.

- Ja odbiorę - zaproponowała.

Nie zaprotestował, bo znowu zasypiał.

Nie mógł przewidzieć, ile go będzie kosztował ten błąd.

- Tu Sayres z „Podziemnego miasta” - usłyszała męski głos. - Dzwonię do Luke'a Maddoksa.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Nie może teraz podejść do telefonu, ale ja powiem, o co chodzi. Nazywam się Susan Maddox. Chcielibyśmy się z panem spotkać ... w sprawie handlu tożsamością.

Chociaż głos był wyraźnie męski, śmiech zabrzmiał kobieco.

- W tym pani nie pomogę ...

W słuchawce rozległy się trzaski.

- Halo? - zapytała.

- Przepraszam, jadę samochodem. Przez chwilę pani nie słyszałem. Proszę posłuchać, pani Jakaś tam, nawet gdybym wiedział, jak pomóc ludziom takim jak pani, to gliny już od dawna szukają pretekstu, żeby zamknąć naszą gazetę. Nie pomożemy im w tym!

- Och, nie, nie o to chodzi - powiedziała szybko, żeby nie zdążył się rozłączyć. Nie przejęła się nawet tym, że nazwał ją „Panią Jakaś tam”. - Potrzebuję od pana informacji o Davidzie Spencerze.

- A dlaczego miałbym ich udzielić?

Z trudem zignorowała ten sarkazm.

- Powinien mi pan pomóc, bo jestem jego żoną.

- Och, moja droga! Gdyby zadała sobie pani trud przeczytania artykułu, wiedziałaby pani, że pan Spencer był gejem.

Wzniosła oczy do nieba, słysząc jego ton. Kretyn.

- Prawdziwe nazwisko mojego męża brzmi Brian Maddox.

Ale teraz chyba podszywa się pod Davida Spencera i wydaje pieniądze innych ludzi. Przede wszystkim moje.

W odpowiedzi wydał z siebie wysoki okrzyk zaskoczenia. Susan usłyszała w słuchawce warkot silnika, jakby jego samochód mijała ciężarówka.

- Słucham ... - powiedział śpiwnie.

Ucieszyła się, że jednak go zainteresowała.

- Pomyślałam, że chciałby pan porozmawiać z ofiarą tej „zbrodni bez ofiar”. Być może pomoże mi pan załatwić tego drania. Wcale nie wyświadczył Spencerowi przysługi. Wykorzystał jego dobre imię i brał na niego kredyty. Napisze pan o tym artykuł?

- Bardzo bym chciał się z panią zobaczyć, pani Maddox. Proszę tylko powiedzieć, kiedy i gdzie.

- Możemy się spotkać za pół godziny na nabrzeżu. Niech pan wybierze miejsce.

Podał nazwę restauracji, której reklamę widziała. Lokal słynął z potraw z ryb, podawanych z chlebem własnego wypieku.

- Poda mi pan adres? - zapytała, chociaż od dziecka nie znosiła zapachu i smaku ryb.

Trzaski w słuchawce zagłuszyły jego następne słowa. Tym razem połączenie zostało zerwane. Gdy tylko Susan odłożyła telefon komórkowy, zadzwonił ponownie. Nie sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwonił, bo była pewna, że to Sayres.

- Susan? - Usłyszała swoje imię wypowiedziane wzburzoną tonem. Susan zrobiło się słabo. Zawsze rozpoznawałyby głos Virginii Maddox, a przynajmniej brzącający w nim gniew.

- Och ... dzień dobry.

- Mój Boże! - wykrzyknęła teściowa. - Jak mogłaś?

Susan zerknęła ,w lustro i zobaczyła otarcia na swojej szyi i piersiach. Nie potrafiła zaprzeczyć.

- Czy ... chcesz rozmawiać z Lukiem? - zapytała słabym głosem.

- Przeklinam cię! - syknęła Virginia. - Skorzystam ze wszystkich znajomości, zrobię, co tylko w mojej mocy, żebyś zapłaciła za to, co zrobiłaś. Będziesz wisieć!

Susan była wstrząśnięta. Serce waliło jej jak młotem.

Przeraził ją jadowity, histeryczny ton teściowej. Owszem, kobieta nigdy jej nie lubiła, nawet niesprawiedliwie ją obwiniała po zniknięciu Briana, ale teraz mówiła tak, jakby była gotowa natychmiast poderżnąć Susan gardło.

- Co się stało? - wykrztusiła. Virginia musi zrozumieć, że obaj jej synowie byli dorośli i mogli podejmować własne decyzje.

Teściowa chyba nie usłyszała pytania.

- Nie mogłaś znieść myśli, że Jessica da mu dziecko, prawda? Nie chciałaś własnych dzieci, a może myślałaś, że nie nadajesz się na matkę, ale kiedy Brian miał szansę na szczęście...

- Jessica była w ciąży? - Susan zakręciło się w głowie tak bardzo, że musiała się chwycić blatu, żeby nie upaść. - Jessica nosiła dziecko Briana?

- Nie udawaj, że nie wiedziałaś! To cię właśnie zdenerwowało, dlatego musiałaś ...

- Nie wiem, o czym mówisz, ale jeśli obwiniasz mnie o to, że twój syn, a mój mąż, spał z żoną innego mężczyzny, to wpadnij do szkoły na lekcję biologii!

- Jaki wybór mu zostawiłaś? Zdradziłaś go, biorąc pigułki antykoncepcyjne. Powiedziałam Luke' owi, jak zraniłaś jego brata! To na pewno dlatego Brian związał się z panią Beecher.

- Czyli Luke wiedział - powiedziała cicho Susan. - Wiedział, że Jessica była w ciąży.  
- Wszyscy wiedzą! - odparła teściowa. - Luke też. Ale nie będzie dziecka! Przez ciebie, ty potworna ...

Głos jej się załamał i zaczęła szlochać, przerażająco głośno.

Drżącymi palcami Susan wciskała wszystkie guziki w telefonie, żeby przerwać połączenie. Wreszcie rzuciła komórkę na blat, obróciła się i zwymiotowała do umywalki, odruchowo odgarniając włosy z twarzy.

Płucząc usta i myjąc umywalkę, próbowała sobie wmówić, że to nieprawda, że teściowa kłamała, by sprawić jej ból. Ale to wydawało się nieprawdopodobne. Virginia na pewno nie wymyśliłaby sobie bękarta Maddoksów, bo przecież dodatkowo pogorszyłoby to reputację jej ukochanego pierworodnego. Susan ostatecznie przekonało wspomnienie ostatnich kłótni z Brianem. Wyrzucał jej, że kiedy poroniła, nie chciała znowu zajść w ciążę.

Teraz wierzyła, że w dniu zniknięcia Jessica była w ciąży. Z Brianem. A ich dziecko, w przeciwieństwie do dzieci poczętych w łonie Susan, miało szansę się urodzić. Na pewno już się urodziło.

Skrzywiła się na myśl o tym, że rozmowy o tej sprawie toczyły się w całym hrabstwie, za plecami Hala Beechera, jej i może jej matki. Nikt nie zaryzykowałby powiedzenia czegoś takiego kobiecie, która niedawno przeszła wylew.

Wszyscy wiedzą, powiedziała Virginia, Luke też.

Susan zastanawiała się, od jak dawna wiedział i dlaczego zataił przed nią prawdę.

Szybko umyła się i ubrała. Zerknęła w lustro w łazience, uczesała potargane włosy i umalowała usta, żeby ukryć bladość twarzy. Miała gdzieś, co Sayres pomyśli o jej wyglądzie, ale nie chciała go przestraszyć.

Przechodząc przez sypialnię, nawet nie spojrzała na Luke'a. Ale wychodząc trzasnęła drzwiami tak mocno, że huk obudziłby umarłego.

Luke poderwał się z łóżka, w półśnie myślał, że w jego dom uderzył piorun - w środkowym Teksasie zdarzają się bardzo gwałtowne burze. Po ułamku sekundy zorientował się, że jest daleko od Austin.

Chwilę później przypomniał sobie, gdzie się znajduje ... i co robił z Susan. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Upuściłaś coś?! - zawołał w stronę otwartych drzwi łazienki. Nie widział wnętrza, ale światło było zapalone.

Gdy Susan się nie odezwała, przestał się uśmiechać.

Zaniepokoił się, że nie zdoła jej zwabić z powrotem do łóżka. Wstał i poszedł sprawdzić, co się z nią dzieje.

- Susan? - Ale jej nie było.

Nie mógł też znaleźć jej ubrania. Uznał, że poszła po lód i przypadkiem trzasnęła drzwiami. Zobaczył jednak pusty kubełek na szafce.

Zorientował się, że zniknęła też jej torebka. Podbiegł do okna i zdążył zobaczyć zielonego thunderbirda, wjeżdżającego za róg. Samochód z piskiem opon ominął srebrnego trucka, zaparkowanego na ulicy.

Co jest?

Zadzwoił jego telefon. Luke przypomniał sobie, że komórka dzwoniła już wcześniej, gdy spał. Susan powiedziała, że odbierze. Wcisnął klawisz połączenia.

- Tu Maddox.

- Luke Maddox? - zapytał jakiś mężczyzna. - Czy jest jeszcze pani Susan? Chciałem się upewnić, czy wszystko dobrze zanotowała. Mówi Bruce Sayres. Próbowałem zadzwonić, kiedy nas rozłączyło, ale numer był zajęty.

- Proszę powiedzieć, co mam zapisać - poprosił Luke, włączając lampkę. - Susan nie może teraz podejść do telefonu.

Sayres podał mu nazwę i adres restauracji.

- Trafie - zapewnił go Luke. - Niedługo tam będziemy.

Gdy Sayres się rozłączył, Luke zajrzał do listy połączeń w telefonie. Kto inny rozmawiał z Susan i co jej powiedział, że wyszła bez słowa?

Jęknął, widząc numer swojej matki. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak zareagowała, gdy usłyszała w słuchawce głos Susan. Ale nie przypuszczał, żeby awantura, nawet najostrożniejsza, mogła skłonić Susan do wyjścia w takim pośpiechu.

Przecież po tym, co się dziś zdarzyło, po tym, jak odnowili swój związek, na pewno po prostu by mu o tym opowiedziała ...

Chyba że ... A jeśli matka tak się zdenerwowała podejrzeniem - słusznym - o ich romansie, że wykrzyczała Susan jedyną rzecz, którą dotąd przed nią ukrywała? I poinformowała ją o ciąży Jessiki Beecher? A, co gorsza, powiedziała Susan, że on o tym wiedział? Mogło tak być. Matka bardzo chciała ich rozdzielić i nawet jeśli miała skrupuły co do wyjawienia tak przykrew prawdy, na pewno o nich zapomniała, gdy się wściekła, słysząc w słuchawce głos Susan.

Luke w rekordowym tempie ubrał się i włożył buty. Chwycił klucze i komórkę. Pognał w stronę schodów, bo nie chciał tracić czasu, czekając na windę.

Wybiegł przed hotel, mając nadzieję, że w mieście pełnym turystów bez trudu złapie taksówkę. Dwaj pierwsi kierowcy, którym machał, spojrzeli tylko na niego i odjechali. Klnąc pod nosem, Luke przeczesał ręką włosy i starał się uspokoić, głęboko oddychając. Żaden taksówkarz nie zatrzyma się, żeby zabrać faceta uciekającego z miejsca okrutnej zbrodni.

Był zdesperowany. Myślał o cierpieniu Susan i chciał jak najszybciej się przy niej znaleźć. Ogarniała go wściekłość, na matkę, ale teraz chciał tylko odszukać Susan.

Już miał zrezygnować i biec do restauracji, gdy zatrzymała się zniszczona, pomalowana na fioletowo taksówka. Gdy usiadł na tylnym siedzeniu, kierowca wyjął z uszu słuchawki i uśmiechnął się do niego, odsłaniając złote zęby. Miał też dredy, co dziwiło u zielonookiego, jasnowłosego, białego mężczyzny.

- Dokąd, stary? - zapytał z karaibskim akcentem, który wydawał się tak prawdziwy jak piegi na jego twarzy.

Luke podał nazwę restauracji, a kierowca skinął głową, ruszył i znów włożył słuchawki. Jego głowa i tułów podskakiwały w rytm muzyki, której Luke prawie nie słyszał.

Niestety, na nabrzeżu były korki i taksówka stanęła. Luke zatelefonował do matki.

- Czy powiedziałaś Susan o Jessice? - zapytał, gdy tylko podniosła słuchawkę. - Powiedziałaś jej, że ja o tym wiem?

Płacz matki bardzo go zdziwił. Spodziewał się złości, nawet gróźb, ale łzy tak bardzo do niej nie pasowały, że nie wiedział, jak zareagować.

- On ... nie żyje - szlochała. - Od tamtej pory. Nie ... jeszcze nie zidentyfikowali zwłok, ale ja wiem, że to on. Były też drugie szczątki. Myślą, że kobiety.

- Zaczekaj - poprosił Luke, starając się zrozumieć jej słowa.

- Mówisz o Brianie? I o Jessice Beecher?

- Hec ... Hector Abbott znalazł ciała w tym ... kanionie przy parku, tam, gdzie Susan była na wycieczce. Nie rozumiesz? Zabiła twojego brata! Ta straszna, podła kobieta zamordowała ich oboje!

Nie mógł się otrząsnąć, bo to, co powiedziała, było nieprawdopodobne.

Chciał wyjaśnić, że Brian nie mógł zginąć. Przecież on i Susan właśnie wykryli w San Francisco, że zmienił tożsamość.

No i miał tyle forsy, że wystarczyłoby na długie życie z Jessicą.

Tylko że jego brat nie tknął tych pieniędzy. Czy nie tak powiedziała Sibyl? Czy stało się tak dlatego, że Brian i Jessica zostali zabici, zanim zdążyli uciec? Zabici przez ... Nie wierzył, że mogłaby to zrobić Susan.

- Ona nie mogła ich zabić - powiedział matce, która wciąż płakała.

- Proszę, przyjedź do domu, Luke - poprosiła. - Przyjedź natychmiast.

## ROZDZIAŁ 18

Gdyby nie prowadziła jak wariatka, zauważyłaby wielkiego trucka, który za nią jechał. Ale ponieważ myślami była gdzie indziej, nie zwracała uwagi na to auto, dopóki nie usłyszała za sobą pisku opon. W lusterku wstecznym zobaczyła, że truck przejechał na czerwonym świetle, przecinając drogę fioletowej taksówce. Teraz znów nabierał prędkości.

Wreszcie zaczęło coś do niej docierać przez mgłę, która spowijała jej umysł.

Widziała już ten samochód, rano. Jechał za nią i Lukiem, kiedy opuścili hospicjum. .

Z bijącym sercem, czując suchość w ustach, kilka razy skręciła. Wyjechała z obszaru, odwiedzanego przez turystów.

Teraz widziała tylko magazyny i kilka samochodów dostawczych - oraz wielkiego trucka, który ją doganiał.

Nie udało jej się go zgubić, za to sama zabłądziła. Odwróciła głowę, rozglądając się za drogą wyjazdu z tego terenu o rzadkiej zabudowie. Widząc błękit wody, skręciła w lewo, pozostawiając zatokę po prawej stronie. Jeśli nadal będzie jechać w tym kierunku, na pewno wróci na nabrzeże, gdzie jest bezpiecznie, bo chodzi tam mnóstwo ludzi, a teren często patroluje policja.

Gdzieś z przodu światło zmieniło się na czerwone. Jadące przed nią samochody się zatrzymały. Ona też zahamowała i patrzyła, jak truck wjeżdża na lewy pas, tuż obok niej. Ktoś opuścił szybę po stronie pasażera i pokazał, żeby otworzyła okno. Ze swojego niskiego samochodu nie widziała twarzy tego człowieka. Dostrzegła tylko męską dłoń, pokrytą ciemnymi włoskami.

Palce otworzyły niewielki skórzany portfel i w popołudniowym świetle zamigotała policyjna odznaka.

Choć wiedziała, że policjant wlepi jej kilka mandatów za różne wykroczenia drogowe, poczuła wielką ulgę. Chętnie zapłaci i zniesie wymówki siostry, że źle jeździła jej „samochodem do zabawy” - wszystko, byle tylko już nie myśleć, że ściga ją ktoś z hrabstwa Ocotillo. Obiecała sobie, że kiedy policjant skończy wypisywanie mandatów, ona wróci prosto do Luke'a. Zamiast wybuchać jak wariatka - co już wcześniej się jej zdarzało - odetchnie głęboko i zapyta spokojnie, dlaczego nie powiedział jej nic o plotkach. Życzyła mu, żeby miał dobry powód.

Policjant machnął ręką w stronę pustego parkingu obok magazynu na szerokim, betonowym nabrzeżu, który chyba należał do firmy wysyłkowej. Jej właściciel zapewne zbankrutował, sądząc po tablicach, zawieszonych z boku budynku.

Czuła taką ulgę, że omal nie zaczęła chichotać. Uśmiechnęła się do policjanta.

- Śmiertelnie mnie pan przestraszył. Byłam pewna, że jest pan ...

Urwała w pół słowa, rozpoznając pobliżnioną twarz w oknie trucka i dostrzegając pistolet w dłoni mężczyzny. To był Manuel Ramirez. Bez munduru i bardzo daleko od swojego terenu!

Nie spuszczała go z oczu. Ale ręką sięgnęła do dźwigni zmiany biegów, a prawą nogą mocno wcisnęła pedał gazu.

Kierowca taksówki już dawno wyjął słuchawki z uszu, ale wciąż wisiały na jego głowie, zaczepione o warkoczyk jasnoblonde włosów.

- Pana dziewczyna - powiedział do Luke'a - chyba się bardzo spieszy.

- Goni ją ten truck - odparł Luke.

- No to usiądziemy mu na ogonie. - Taksówka przejechała przez skrzyżowanie na żółtym świetle i omal nie wyskoczyła w powietrze, gdy jedno koło natrafiło na wybój w drodze.

Luke uderzył głową o tylne siedzenie, a taksówkarz zaśmiał się jak wariat. - Następnym razem niech pan zapnie pasy!

Luke go nie słuchał, bo przyglądał się pasażerowi trucka, który właśnie pokazywał coś Susan przez okno, gdy samochody stały pod światłami.

Susan włączyła kierunkowskaz i wjechała na parking magazynu nad zatoką.

Duży truck pojechał za nią i zatrzymał się blisko thunderbirda.

- Pana dziewczyna ma kłopoty z policją - powiedział kierowca, zatrzymując się na zakręcie. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Nie wątpię, pomyślał Luke, przypominając sobie ostatnie minuty jazdy. Rzucił mężczyźnie dwie dwudziestodolarówki, wysiadł i ...

Zobaczył, jak thunderbird rusza z piskiem opon i pędzi wzdłuż nabrzeża. Kierowca trucka natychmiast ruszył z pościg, skręcając, jakby chciał odciąć jej drogę. Luke widział, że Susan spróbuje przejechać przed nim i uciec na ulicę.

Nie udało jej się to.

Truck zahaczył o bok jej przedniego zderzaka i mocno uderzył w samochód - tak że thunderbird przeleciał nad krawędzią nabrzeża i spadł do zatoki, dwa metry niżej.

Siła uderzenia była tak wielka, że Susan nie mogła oddychać. Czowała się tak, jakby jej świat wybuchł i stał się srebrnobiałą mgłą.

Nie wiedziała, jak długo trwało oszołomienie, po pewnym czasie zorientowała się, że otworzyły się poduszki powietrzne i pokryły ją białym pyłem, który szczypał w oczy i drażnił gardło. Poduszka powoli miękła, gdy uchodził z niej gaz.

Próbując coś zobaczyć przez chmurę pyłu, poczuła, że samochód się porusza. Przez otwarte okno zaczęła napływać zimna woda.

Musiła się stąd wydostać. Starła się otworzyć drzwiczki, ale nie miała siły. Próbowwała wyjść przez okno, ale coś ją przytrzymało.

Pas bezpieczeństwa. Szarpała się z nim, a woda w samochodzie sięgała jej już do pasa. Krzyknęła z przerażenia, gdy zrozumiała, że nie da rady odpiąć pasa. Próbowwała więc z niego wyplątać ... Nagle usłyszała głos, tak wyraźnie, jakby dochodził z siedzenia obok niej.

Uspokój się. Natychmiast. Nie możesz teraz wpaść w panikę.

Głos Luke'a, pomyślała i poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Ponieważ była wkurzona, że nie powiedział jej o Jessice, zdziwiła się, że podświadomie wezwała go na pomoc.

Kochała go.

Jego rada, prawdziwa czy wymyślona, miała sens. Susan głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, a potem powoli odpięła pas bezpieczeństwa.

Ułamek sekundy za późno, bo samochód nagle zanurkował w dół i wślizgnął się jak delfin w brudną wodę zatoki.

Luke usłyszał pisk opon na ulicy za sobą. Ktoś krzyknął.

- Wezwijcie policję i karetkę!

Pędził w stronę miejsca, gdzie samochód Susan przeleciał nad krawędzią nabrzeża. Bał się, że jeśli zwolni choć na chwilę - żeby spojrzeć na komórkę albo rozejrzeć się za srebrnym truckiem - to już nie znajdzie miejsca, gdzie usłyszał plusk.

Dysząc z wysiłku, dobiegł nad zatokę i zobaczył thunderbirda, znikającego pod powierzchnią. Zanim woda pokryła dach, Luke'owi wydawało się, że dostrzegł za oknem jakiś ruch.

Czyli przeżyła upadek. Miał nadzieję, że takie właśnie było znaczenie tego, co zobaczył.

Zrzucając buty, usłyszał za sobą męski głos.

- Niech pan nie wskakuje! To niebezpieczne! Zaczekajmy na ratowników, będą tu lada moment!

Zdążą wyciągnąć ciało, ale nie żywą kobietę. Luke dobrze to wiedział - tak samo jak to, że nie wyobraża sobie życia bez niej.

Skoczył więc do wody. Była tak zimna, że przez chwilę nie mógł oddychać.

Susan zdążyła nabrać powietrza w płuca, zanim samochód całkowicie się zanurzył. Wiedziała, że ma minutę, może dwie, żeby się wydostać.

Czuła mijające sekundy. Uciekały w rytmie bicia jej przerażonego serca. Na szczęście samochód uderzył przodem w dno. Mogła mieć nadzieję, że w tym miejscu nie jest zbyt głęboko.

Ale to nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby nie udało jej się uwolnić. Słabo widząc w mętnej wodzie, starała się oprzeć pięty o krawędź siedzenia, odepchnąć się mocno i wysunąć zza kierownicy.

Chociaż nie musiała już walczyć z wodą, napływającą przez otwarte okno, na pewno by się wtedy nie wydostała. Sportowy samochód był bardzo mały, a ona miała tak długie nogi, że byłoby to niemożliwe.

Próbowała jeszcze raz otworzyć drzwi po stronie kierowcy, ale nie ustępowały - albo z powodu nacisku wody, albo jakiegoś uszkodzenia w wyniku wypadku. Nawet jeśli był jakiś sposób, żeby od wewnątrz zdjąć dach, to na pewno nie zdążyłaby tego zrobić na czas.

Na czas ... na czas ... na czas ... Słowa odbijały się echem w jej głowie. Czuła coraz mocniejszy ucisk w płucach. Musi być jakieś wyjście.

Z powodu niewygodnej pozycji rozboleła ją kręgosłup.

Powoli przesunęła się nad deskę rozdzielczą i obok poduszki powietrznej po stronie pasażera ... Była zaskoczona, kiedy czubkiem głowy przebiła coś, co wydawało się być powierzchnią wody.

Bańka powietrza. Instynktownie skierowała usta w stronę zbawczego tlenu i wciągnęła powietrze do płuc.

Uwięziona w samochodzie bańka powietrza wystarczyła tylko na kilka oddechów, ale znalezienie jej dało Susan siłę, żeby spróbować otworzyć drzwi po stronie - pasażera.

Błagam, Boże, błagam, krzyczała w myślach, choć wydawało jej się, że słyszy złośliwy szep: „W samochodach pod wodą nie ma ateistów, co?”

Drzwi się otworzyły. To był cud. Odepchnęła się i uwolniła z samochodu.

A raczej prawie uwolniła, bo jej prawa stopa o coś zahaczyła - o pas bezpieczeństwa po stronie pasażera?

Zaskoczona, wciągnęła w płuca słoną wodę i zaczęła się krztusić.

Ona, dziecko pustyni, utonie. Drażniła ją ironia tej sytuacji, a także myśl, że nie powie Luke'owi, iż rozumie, dlaczego nie powiedział jej nic o ciąży Jessiki Beecher.

Nie zrobił tego, bo cię kocha. Kochał cię od początku.

Zrobiło się jeszcze ciemniej, jakby coś przysłoniło światło, dopływające z powierzchni. To coś wyplątało ją z pasa bezpieczeństwa i pociągnęło wyżej, wyżej, w stronę blasku słońca ... i tego, na co właśnie straciła nadzieję.



## ROZDZIAŁ 19

Chociaż odkąd wyciągnął Susan z zatoki, minęły dwa dni, Luke wciąż nie spuszczał jej z oka. Bał się, że szczęśliwe zakończenie mu się przyśniło i że jeśli choć na chwilę odwróci wzrok, to złudzenie zniknie i okaże się, że tamtego koszmarnego popołudnia Susan utonąła.

- To był Manuel Ramirez - powtórzyła Susan to, co już kilka razy mówiła detektywom. - Jego blizna była ... zaogniona, czerwona, może dlatego, że miał zarumienioną twarz.

Pewnie był podekscytowany, że ją zabije. Luke zadrżał, chociaż kilka chwil wcześniej pomyślał, że w samolocie jest za gorąco. Miał nadzieję, że kalifornijski patrol drogowy znajdzie trucka. Gdy policja sprawdziła numer rejestracyjny, który spisał jakiś świadek, okazało się, że pojazd został skradziony. Modlił się też, żeby w środku był Manuel i kierowca i żeby obaj szybko zostali aresztowani, a jeszcze lepiej zastrzeleni w trakcie ucieczki. Nie musiał wiedzieć, dlaczego Manuel chciał zabić Susan. Zapomniałby o wszystkich nurtujących go pytaniach, byleby Susan była bezpieczna.

- Jak się czujesz? - zapytał, patrząc na otarcie na jej kości policzkowej, które powstało, gdy otworzyła się poduszka powietrzna. Susan powinna spędzić jeszcze jeden dzień w szpitalu, nieważne, co mówili lekarze, ani jakie są zalecenia firmy ubezpieczeniowej. Zaproponował, że zapłaci za ten pobyt, ale kiedy powiedział Susan o znalezionych ciałach, uparła się, że natychmiast wróci do hrabstwa Ocotillo.

- Boli mnie trochę kręgosłup i twarz, ale poza tym wszystko w porządku. Tak samo jak pięć minut temu, kiedy pytałeś.

Wiedział, że jej cierpliwość się kończy. Nie mógł się jednak powstrzymać.

- Weź jeszcze jeden środek rozkurczowy albo tabletkę przeciwbólową. I może jeszcze raz posmarujmy skaleczenia maścią.

Zacisnęła usta tak mocno, że aż zbladły. Luke zobaczył w myślach inny obraz: tę samą twarz, tylko białą. Te same usta, tylko sine. Na to wspomnienie zrobiło mu się słabo.

Wzięła jego rękę i ścisnęła. Poczł głębokie dudnienie silników odrzutowych.

- Musisz wreszcie przestać.

- Co? - zapytał, chociaż dobrze wiedział.

- Przestań mi się tak przyglądać i czuwać nade mną.

Zaczynam się już bać. Nie mogę nawet wyjść do toalety ...

- Ty nie musiałaś na to patrzeć! - wybuchnął. - Nie patrzyłaś na to bezradna!

Uniosła brwi.

- Nie, ja to przeżyłam Luke, a ty przecież mnie uratowałeś. Nie dopuściłeś, żebym utonąła. Byłeś przy mnie w karetce i na oddziale intensywnej terapii. No i kiedy Carol dowiedziała się o samochodzie, powstrzymałeś ją od dokończenia tego, co zaczął Ramirez.

Wiedział, że Susan nie mówi poważnie o siostrze, ale musiał się sprzeciwić.

- Carol cieszyła się, że nie zostałam ciężiej ranna. Ani że nie zginęłam.

Tak zresztą powiedziała: „To tylko samochód. Mamy dobre ubezpieczenie”. Ale w jej słowach krył się podtekst. Zarzut, że Susan z powodu swoich problemów zaburzyła jej idealne życie w Kalifornii i zaszkoziła zdrowiu matki. Jakby ktokolwiek mógł przewidzieć, że Manuel Ramirez - i prawdopodobnie jego przyrodni brat, Lupe, na co wskazywał rysopis, podany przez świadka może pojechać za Susan i próbować ją zabić.

- Nawet jeśli złapią Manuela - powiedziała Susan - to szeryf i całe miasto będą nas obserwować. Nieważne, co wykaże badanie zwłok. I tak będziemy musieli bardzo uważać.

Wbrew radom detektywów i lekarzy, Susan uparła się, że wróci do domu.

Nie mieściło jej się w głowie, że Brian i Jessica nie żyli od tak długiego czasu. Luke domyślał się, że ułożyła sobie scenariusz, z którym mogłaby żyć. Znalazła swój sposób na pojmowanie zdrady Briana. Dlatego trudno jej było przyjąć do wiadomości, że został zamordowany, że mógł być ofiarą.

Luke na razie o niczym jej nie przekonywał. Jeśli Brian i Jessica naprawdę nie żyją, Susan będzie miała dużo czasu, żeby się z tym pogodzić.

- Myślisz, że już urodziła dziecko? - zapytała Susan. - To, o którym mi nie powiedziałaś?

Luke skrzywił się, teraz już wiedział, że jego obawy były słuszne. Matka wymierzyła Susan najsilniejszy cios, jaki tylko mogła.

- Usłyszałem o tym kilka dni przed naszym wyjazdem. Ale krążyło wiele plotek. To nie musiało być prawdą.

- Okazuje się, że tak. Zrobił to celowo, żeby się zemścić za to, że brałam pigułki antykoncepcyjne.

Uścisnął jej rękę.

- Zmieniłaś zdanie po ostatnim poronieniu? Nie chcesz mieć dzieci?

- Zmieniłam zdanie - potwierdziła - ale nie co do dzieci. Tylko co do dzieci z nim. Najpierw nie wiedziałam, czy zniosłabym szybko kolejne rozczarowanie. Naprawdę byłam pełna nadziei. Czulałam, że dziecko we mnie się poruszało, drżało jak skrzydełka ćmy. Tak długo nosiłam córeczkę.

Nos jej poczerwieniała, wyjęła z torebki chusteczkę.

- Próbowałam to wyjaśnić Brianowi, ale on po prostu nie chciał nic zrozumieć, zwłaszcza kiedy lekarz powiedział, że wymyślono nowy środek, który prawdopodobnie pozwoliłby mi donosić ciążę. Później mama dostała wylewu ... Ale nawet przedtem uważałam, że w naszym małżeństwie trzeba coś zmienić, naprawić; zanim pojawi się dziecko.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedział Luke, ale ona nie przerywała, jakby nie usłyszała jego sugestii.

- Prosiłam go, błagałam, żeby poszedł ze mną na terapię małżeńską. Nie stawił się na żadną wizytę. Mówił tylko, że w moim organizmie szaleją hormony i że za bardzo przesadzam w sprawie ... straty ... Chyba myślał, że z ciążą jest jak z koniem. Kiedy cię zrzuci, musisz natychmiast wrócić w siodło.

Luke zmarszczył brwi.

- Nie sądzę, żeby chodziło mu o dzieci. Raczej o władzę.

Zawsze taki był. Nie mogłem go zrozumieć. Już dawno przestałem się zastanawiać, dlaczego chciał porzucić życie, dla którego wielu ludzi byłoby skłonnych zabić. Dlaczego odszedł od kobiety, dla której ja zrobiłbym wszystko ...

- Przestań, Luke. Przestań. - Wyrwała rękę. Przy ich fotelach właśnie zatrzymała się stewardesa z wózkiem z napojami. Susan wzięła butelkę wody, a Luke poprosił o napój Dr Pepper, chociaż kusiło go, żeby wypić coś mocniejszego. W przeciwieństwie do Susan, Luke nie mógł pozbyć się myśli, że jego brat leżał osiem miesięcy w odległym kanionie i zwierzęta szarpały jego zwłoki, a on przez te wszystkie miesiące wściekał się na zmarłego.

Na brata, z którym się wychował, z którym łączyły go wspomnienia. Na brata, którego ostatnio tyle razy przeklinał. I którego zdradził, uwodząc Susan ...

Kobietę, która zdaniem jego matki, zabiła Briana.

Poczuł wyrzuty sumienia, jak krew, napływającą do świeżej rany, chociaż nie wierzył w teorię Virginii. Przede wszystkim, dlaczego Susan przyszłaby do niego potajemnie i prosiłaby

o pomoc w odnalezieniu Briana, gdyby wiedziała, że nie żył?

Luke czuł, że nie potrafiła grać. Jej gniew i frustracja były prawdziwe. Zbyt żarliwie pragnęła aresztowania Briana, by Luke mógł uwierzyć, że już się z nim policzyła. Serce podpowiadało mu, że nie potrafiłaby zrobić czegoś podobnego, bez względu na to, jak bardzo skrzywdził ją Brian. Bez względu na to, co jej zrobił.

- Wciąż nie mogę tego zrozumieć - powiedziała Susan: - Dlaczego Ramirez pojechał za mną do Kalifornii?

Luke pokręcił głową. Rozmawiali o tym kilkanaście razy, ale ani trochę nie zbliżyli się do odpowiedzi.

- Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu nie chciał dopuścić do tego, żebyś namierzyła Briana.

- Może Brian mu zapłacił, żeby nie pozwolił mi nic znaleźć?

Może do tej pory płaci.

- To chyba możliwe, chociaż nie wierzę, żeby Ramirez ryzykował karierę i wolność dla niewielkich pieniędzy. A może... - Nie chciał o tym mówić, ale ta myśl go nie opuszczała. - Może Manuel zabił Briana, na przykład z powodu forszy, której nie udało nam się znaleźć? Ponieważ to na pewno on ukradł korespondencję z twojego dzipa, mógł się domyślić, że za bardzo zbliżamy się do prawdy.

Pokręciła głową.

- Brian nie umarł. To niemożliwe. Przecież ktoś widział jego i Jessikę na stacji benzynowej w Nowym Meksyku.

- Świadkowie czasami się mylą. Facet mógł zobaczyć kogoś innego albo wszystko to zmyślił, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zapytaj jakiegokolwiek gliniarza: takie rzeczy bardzo często się zdarzają.

- Wyjaśnij więc sprawę nagrania - zaproponowała wyzywającym tonem Susan. - Jessica zadzwoniła do swojego domu i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. Słyszałeś? Pożegnała się i przeproszała. Wiadomość została nagrana nazajutrz po znalezieniu spalonego samochodu Briana.

- Datę i godzinę w automatycznej sekretarce łatwo można zmienić - zauważył Luke. - Ja muszę ustawiać swoją po każdym skoku napięcia. Możliwe jest więc oszustwo.

- Mylisz się - odparła z niezadowoleniem. - Niewygodnie mi w tym fotelu. Kiedy tylko odjedzie ten wózek, przejdę się po samolocie.

Kiedy wstała, przesiadł się na jej fotel, żeby cały czas ją widzieć. Wiedział, że na pokładzie nie było Manuela ani Lupe'a Ramirezów - upewnił się co do tego przed startem. Gdyby jednak wszystko mogło się ułożyć tak, jak chciał Luke, już nigdy nie spuściłby jej z oka.

Niestety, nieco później tego samego dnia odebrano mu tę możliwość.

Szeryf Hector Abbott czekał w swoim samochodzie przy drodze, łączącej autostradę międzystanową z miastem Clementine. Siedział tam od kilku godzin, z nakazem aresztowania w rękę, odkąd stary kumpel z policji w El Paso powiedział mu przez telefon, że czerwony džip Susan Maddox wyjechał z parkingu przy lotnisku.

Telefon był nieoficjalny, bo Hector nie zaangażował w sprawę innych służb. Uważał, że postępuje słusznie: jeśli zrobi wszystko po swojemu, to rozwiąże zagadkę dwóch morderstw, a podatnicy z hrabstwa Ocotillo przedłużą kadencję swojemu doświadczonemu szeryfowi.

Podrapał się po wąsach i pomyślał, że miałby kłopot, gdyby w sprawę wmieszali się Strażnicy Teksasu, FBI, a nawet policja z Kalifornii. FBI i Strażnicy na pewno

zainteresowaliby się Ramirezem, ale zaraz zajęliby się też innymi „niedociągnięciami” w jego biurze, zamiast badać sprawę morderstwa. Natomiast detektywi z San Francisco chcieliby tylko rozwiązać kwestię przestępstwa, do którego doszło na ich terenie, niezależnie od tego, czy wypadek Susan miał coś wspólnego z jej zbrodniami.

Hector nie mógł przestać myśleć o tych zabójstwach. Ludzie zaczęliby się zastanawiać, dlaczego w tak małej społeczności nikt nie rozwikłał spraw aż trzech morderstw. Nikogo nie obchodził podstarzały hipis o przestępczej przeszłości, ale gdy rozniesie się wiadomość - co nastąpi lada moment - że w kanionie Shotgun znaleziono zwłoki byłego futbolisty, który został dilerem samochodowym, i żony największego bankiera w mieście, wszyscy zażądają natychmiastowego aresztowania. Nawet jeśli zarzuty okażą się niewystarczające - a pomimo własnego przekonania potrzebował silniejszych dowodów lub przyznania się do winy - to ludzie nie będą za to winić jego, ale prokuratora okręgowego i sądy.

Chyba że obywatele dostaliby smakowity kąsek w postaci śledztwa na własną rękę, które przeprowadził zastępca szeryfa. Tylko tak Hector mógł wytłumaczyć zachowanie Ramireza, który od początku głośno wyrażał swoje podejrzenia.

„Naprawdę wierzycie, że ta kobieta, której matka jest chora, a mąż zaginął, pojechałaby na drugi koniec stanu, żeby odpocząć na łonie natury? To wierutna bzdura. Bzdura!” Nowicjusz Lopez nie podzielał tego zdania. W szkole średniej chodził do klasy Susan, gdy dopiero zaczynała uczyć. „Oczywiście, że by tam pojechała, gdyby było jej ciężko - upierał się. - Gdybyście ją znali, zrozumielibyście to bez trudu”.

Ale wycieczka miałaby także sens, gdyby Susan chciała pozbyć się ciała.

Dziwne, że upamiętniła to zdarzenie, robiąc zdjęcia, ale zbrodniarze często zachowują się nieracjonalnie. Hector już od dawna nie próbował zrozumieć ich pobudek.

Jedno było pewne: nigdy nie pojmie, dlaczego pracowity, chociaż porywczy Ramirez chciał sam wymierzyć sprawiedliwość. Czy po prostu wściekał się na sądy, które uwalniały tylu przestępców, ilu skazywały? A może miał osobiste powody, żeby nie lubić Susan? Możliwe, pomyślał szeryf. To ładna kobieta, a Grace Morton nie była jedyną mężatką, pod której spódnicę zaglądał Ramirez.

Im więcej Hector o tym myślał, tym bardziej podejrzewał jakąś obsesję.

Z jakiego innego powodu Ramirez ukradłby dowody z jej domu? I dlaczego jeśli detektyw z San Francisco się nie mylił - pojechał za Susan aż do Kalifornii, ukradł trucka i zrzucił kobietę do zatoki?

Hector miał nadzieję, że Ramirez i jego przyrodni brat nie zostaną aresztowani na Zachodnim Wybrzeżu, tylko znikną bez śladu. Podobno Lupe miał jakichś znajomych w Juarez. Może więc obaj na jakiś czas uciekną za granicę. Wtedy Hector po cichu zwolni swojego zastępcę - i nikt nie będzie zadawał pytań.

Poza tym nie musiałby aresztować braci za włamanie do domu Susan, a miał już pewność, że to zrobili. Tknięty przecuciem, wyciągnął akta Manuela i porównał jego odciski palców ze śladami, znalezionymi na szafce, pudełkach z płytami kompaktowymi i drzwiach szafy w gabinecie. Hector nie był specjalistą, ale po kilku minutach patrzenia przez szkło powiększające nie miał wątpliwości, że Manuel wrócił do Susan po swojej pierwszej, oficjalnej wizycie. Co dziwne, nie było tam odcisków palców Lupe'a - ale facet miał kryminalną przeszłość, na pewno więc pamiętał o rękawiczkach.

Hector odłożył kubek z letnią colą, którą sącył, i patrzył na czerwoną kropkę, przesuwającą się po drodze na wzgórzu. Serce biło mu szybko z powodu kofeiny i ekscytacji.

Gdy się przekonał, że to na pewno jej dżip, zaczął czekać, dopóki go nie minęła.

Chociaż rozmawiała z pasażerem, zerknęła w stronę Hectora i przyjaźnie mu pomachała.

Starając się nie myśleć o przykrym uczuciu, jakie wywołał w nim ten gest, Hector włączył koguta i syrenę, po czym ruszył za nią. Nieważne, że ją lubił. Nadszedł czas, by zatrzymać morderczynię.

Oczywiście musiał dokonać aresztowania sam, żeby lepiej wyglądało to w gazetach.

## ROZDZIAŁ 20

Susan umieszczono w oddzielnej celi w starym kamiennym budynku więzienia, żeby nie siedziała razem z dwiema zatrzymanymi kobietami: pisarką i prostytutką, które często gościły w tym lokalu.

Bo mordercy to ktoś gorszy, pomyślała. Są przekonani, że mordercy skrzywdziłyby tamte kobiety.

Z wieczornego i porannego przesłuchania zapamiętała właściwie tylko jedno: uważają ją za zbrodniarkę, i to najgorszego rodzaju.

Czy mieli rację?

„Jest pani aresztowana - oznajmił Hector Abbott oficjalnym tonem - za zabójstwo Briana Maddoksa i Jessiki Beecher”.

Objęła się ramionami, żeby opanować drżenie. Nadchodziło falami, przez całą noc. Czy w myślach wielokrotnie nie zamordowała ich obojga? Przecież wyobrażała sobie Briana w postaci lalki. Podpalała go, przecinała, wbijała w niego szpilki, w końcu wyglądał jak jeżozwierz. Jessica zaś nadała w myślach postać papierowej figurki, którą mogła zgniatać, drzeć i szarpać.

A oni cały ten czas nie żyli. Leżeli w kanionie, dokąd Susan tak bardzo lubiła przyjeżdżać na wycieczki.

Rozdygotana, jak jakiś pijak, zastanawiała się, czy minęła ich tamtego grudniowego dnia. Czy patrzyła przez obiektyw aparatu na ściany kanionu, wznoszące się nad ich grobem? A może widziała padlinożerne zwierzęta, które szarpały ich ciała - lub dostrzegła zabójcę, opuszczającego park?

Nie mogła sobie tego przypomnieć. Pamiętała tylko swój żal i gniew po powrocie do domu, gdy dowiedziała się, że Brian nie uciekł sam. Była roztrzęsiona i zrozpaczona. Bała się iść do mamy do szpitala, wiedząc, że nie opanuje płaczu przy jej łóżku.

A w swoim domu - w domu Briana - po prostu nie mogła wytrzymać. Po zniknięciu męża wzięła urlop, nie mogła też więc odnaleźć spokoju w uporządkowanym szkolnym życiu.

W celi trudno logicznie myśleć, a o śnie w ogóle nie było mowy, przesiedziała zatem wiele godzin na twardej ławie, oparta plecami o zimne, nierówne kamienie. Od czasu do czasu zdejmowała włosy albo wyimaginowany pyłek z prostego białego kombinezonu, który kazali jej włożyć, albo rozpoznawała w wilgotnej piwnicy zapachy: starego potu i powszechnie stosowanego środka odkażającego. Przez cały czas wpatrywała się w pusty korytarz, starając się ogarnąć umysłem widok, pocięty na paski przez żelazne kraty.

Powinam się do tego przyzwyczaić, pomyślała. Tylko to będę oglądać przez bardzo długi czas.

Nagle usłyszała skrzyp dawno nieoliwionych zawiasów i odgłos stukania twardych podeszew o betonową podłogę.

Kobieta o obfitym biuście, ubrana w brązowy mundur, wyszła zza rogu szybkim, agresywnym krokiem. Miała krótko ostrzyżone włosy. Jeden dłuższy, platynowy lok opadał jej na twarz, ale nie łagodził kształtu kwadratowej szczęki. Róż na jej puciołowatych policzkach i niebieski cień na powiekach były pierwszymi plamami żywszych kolorów, które zobaczyła Susan od kilku godzin. Przyglądała się im, zamiast słuchać słów strażniczki.

- Jest tu adwokat. Chodź do niego. - Pomimo odrostów, widocznych przy przedziałku, strażniczka była atrakcyjna w jakiś dziwny, szorstki sposób. Takie kobiety zawsze przyciągają niewłaściwych mężczyzn.

Gdy Susan nie zareagowała, strażniczka przeciągnęła pałką po kratkach. Susan przycisnęła ręce do uszu, żeby stłumić ostry, metaliczny dźwięk. Mimo to usłyszała następny rozkaz, wydany ostrym tonem.

- Wstawaj i wychodź, bo inaczej odeślemy go do Austin. Austin? To nie miało sensu. obrońca z urzędu, Dan Ryder, pochodził stąd i wcale nie miał ochoty słuchać wyjaśnień Susan.

Wstała tylko dlatego, żeby strażniczka przestała już hałasować. Idąc korytarzem, zaczęła się zastanawiać, czy ktoś zawiadomił jej rodzinę, choć stanowczo się temu sprzeciwiała, i czy teraz mama i siostra tracą pieniądze na jakiegoś drogiego adwokata.

- Uważać, żeby nie popełniła samobójstwa, akurat! - mruknęła strażniczka. - To mordercy, zimna jak lód!

Susan zamrugła. Za taką ją uważali, bo nie przyznała się do winy? Czy w więzieniu myśleli, że była wesołą wdówką, która wyjechała zabawiać się z kochankiem, gdy ciała jej męża i jego nowej miłości gniły w kanionie?

- Wcale tak nie jest - próbowała wyjaśnić, zapominając, że Ryder poradził znudzonym tonem, by uważała tu na słowa. Zatrzymała się i obróciła w stronę strażniczki, jakby zrozumienie ze strony tej kobiety było dla niej najważniejsze na świecie. Zerknęła na identyfikator. - Nie zabiłam ich, pani Morton.

Strażniczka była znacznie niższa od Susan, ale chwyciła ją za ramię i z miażdżącą siłą ścisnęła palcami.

- Nie poznajesz mnie, prawda? Nawet nie wiesz, z kim zadzierasza! Pani Maddox.

Słyszając ten sarkastyczny ton, Susan nagle sobie przypomniała. Nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach nie rozpoznałaby tej kobiety po wyglądzie. Jako nastolatka, strażniczka dwa razy zaważyła egzamin z biologii na poziomie podstawowym. Była wtedy dziewczyną przy kości, miała włosy mysiego koloru i zasłynęła jako największa krzykaczka szkoły. Chłopcy szeptali między sobą, że jest łatwa, ale ona najwyraźniej postanowiła się dodatkowo upiększyć i zmieniła kolor włosów, kupując farbę w supermarkecie, oraz wypchała w górę piersi za pomocą antygravitacyjnego urządzenia.

- Grace Cato, zgadza się? - zapytała Susan, nie dziwiąc się, że spotkała ją właśnie w więzieniu. Nie pasowało tylko jedno, że to Grace, a nie Susan mogła stąd wyjść z własnej woli.

- Teraz Grace Morton - poprawiła strażniczka z jadowitym uśmiechem.

Podobało jej się, że zrobiła takie wrażenie.

- Role się odwróciły, co?

Susan była zbyt zmęczona i rozchwiana emocjonalnie, żeby utrzymać język za zębami.

- Czyli teraz to ty zadajesz pracę domową?

- Zamknij się, do cholery! - Grace paskudnie się zaśmiała. - Nie wiesz, jak długo czekałam, żeby to powiedzieć. Przynajmniej od tamtych wakacji, kiedy posłałaś mnie na zajęcia wyrównawcze. Wiesz, że skończyłam szkołę dwa miesiące później niż cała klasa? Przez ciebie, dziwko! Przez ciebie!

Susan pamiętała, że Grace nie przynosiła prac domowych, uciekała z lekcji i nie korzystała z zajęć dodatkowych, które jej proponowano.

Zerknęła na nią, zastanawiając się, czy może bezpiecznie ruszyć dalej.

- Pozwoliłam ci, do cholery, patrzeć? - Grace zacisnęła rękę na karku Susan. - Powiedziałam, że możesz się gapić?

Susan zamarała, bardziej zdziwiona niż przerażona. Chociaż nie rozpoznała głosu, przypomniała sobie ten stalowy uścisk na szyi. Już go kiedyś poczuła, do tej pory miała na skórze ciemne plamki. Była pewna, że to palce Grace zrobiły jej te siniaki.

Poczuła mdłości na myśl, że Grace była jedną z osób, które w zeszłym tygodniu włamały się do jej domu. To ta młoda kobieta, zatrudniona w biurze szeryfa, chwyciła ją i uderzyła głową we framugę drzwi. Czy Grace Cato - Morton, czy jak teraz brzmiało jej nazwisko - była jakoś związana z Ramirezem? A jeśli tak, to ile jeszcze osób z wydziału tkwiło w tym przestępczym układzie?

Przerażona Susan poczuła ucisk w żołądku. Przeszył ją lodowaty dreszcz.

Czy Grace mściła się teraz za coś więcej niż kłopoty w szkole? Czy wiedziała, że Susan podała władzom w San Francisco nazwisko jej towarzysza? A może, co gorsza, strażniczka chciała skończyć to, co zaczął Ramirez?

Patrząc wściekle, Grace podniosła pałkę i przycisnęła jej koniec do szyi Susan.

- Zadałam pytanie, dziwko. Mam ci zrobić rewizję osobistą? Przerażona agresywnym spojrzeniem młodszej kobiety.

Susan spuściła wzrok. Drgnęła, słysząc głośny dźwięk. Była przekonana, że strażniczka zaraz rozwali jej tchawicę.

Ułamek sekundy później uświadomiła sobie, że był to dźwięk otwieranych drzwi. Rozległ się męski głos.

- Morton, zasuwasz do mojego gabinetu! Natychmiast!

Grace mocniej wbiła palce w ramię Susan, jakby obiecywała zemstę za to, że nauczycielka stała się świadkiem jej upokorzenia. Oczywiście zemsta byłaby jeszcze okrutniejsza, gdyby Susan śmiała się poskarżyć na jej zachowanie.

- Prowadziłam więźniarkę na górę, na spotkanie z adwokatem, ale zaczęła stawiać opór - powiedziała Grace Morton. - Zgadza się, Maddox?

Susan otworzyła usta, ale nie mogła nic odpowiedzieć przez ściśnięte ze strachu gardło.

Wysoki mężczyzna podszedł bliżej.

- Sam zaprowadzę panią Maddox do pokoju przesłuchań. A kiedy wrócę, ty masz czekać w moim gabinecie.

Prychając z obrzydzeniem, Grace odepchnęła Susan i poszła w głąb korytarza, wyraźnie sfrustrowana.

Susan znów zaczęła oddychać. Dobrze pamiętała Bernarda Fieldinga z zebrania rodziców, kiedy ją poprosił, żeby miała oko na jego syna. Młody Fielding dobrze się uczył i był lubiany, ale odbierał telefony z pogrózkami, bo zaczął się spotykać z białą dziewczyną. Na szczęście telefony ustały, a szkoła w Ocotillo zrobiła krok w stronę XXI wieku.

- Jak... jak się miewa Jason? - wykrztusiła. Paliły ją policzki. Głupio się czuła, zadając zwykłe, uprzejme pytanie w tak nienormalnej sytuacji.

- Dobrze mu idzie na uczelni. Jest już na trzecim roku.

- Wybrał inżynierię, prawda? - zapytała, desperacko próbując sobie przypomnieć ten szczegół ze swojego normalnego życia. Teraz była przekonana, że tego życia nie odzyska już nigdy. Nawet gdyby anielskie chóry wyśpiewywały peany na temat jej niewinności, porządni podatnicy z hrabstwa Ocotillo nie będą tolerować nauczycielki, której postawiono zarzut popełnienia zbrodni.

Poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Fielding z uśmiechem skinął głową.

- Pani zawsze interesowała się uczniami. Dzieciaki bardzo to w pani lubiły. Naprawdę tak



było. Nie wszyscy uczniowie przypominali Grace Cato.

Susan poczuła taką wdzięczność, że nie mogła powstrzymać łez.

- Nie zrobiłam tego. - Miała tak wysoki, napięty głos, że z trudem sama go rozpoznawała. - Przysięgam panu, nie zrobiłam tego.

- To nie moje zmartwienie - powiedział. - Nie ja będę panią osądzał. Chodźmy teraz do adwokata. Wszystko mu pani opowie.

Gdy wziął ją pod ramię, drgnęła, chociaż nie nacisnął mocno. Zatrzymał się i podciągnął rękaw jej białego kombinezonu. Ślady palców Grace były bardzo wyraźne. Susan wiedziała, że czerwone plamki niedługo zbrązowieją i będą wyglądały jak siniaki na jej karku.

Usłyszała jego chrapliwy oddech.

- To się nie powtórzy. - Obsunął z powrotem jej rękaw, żeby zasłonić ślady. - Dopilnuję, żeby przestała się tak zachowywać.

Chociaż słowa, Fieldinga zabrzmiały jak poważna obietnica.

Susan nie powiedziała mu nic o swoich podejrzeniach, związanych z włamaniem. Czy mogłaby postawić tak poważny zarzut, nie mając dowodów? Poza tym, chociaż bardzo chciała ufać Fieldingowi, za słabo go znała i nie mogła mieć całkowitej pewności, że nie był zamieszany w tę sprawę. Gdyby naprawdę chciał zdyscyplinować strażniczkę, to czy nie powinien sfotografować śladów na ramieniu Susan?

Zaprowadził ją po schodach na parter budynku i zostawił w małym, pomalowanym na bladozielono pokoju. Czekał tam mężczyzna o dużym nosie i rudoblond włosach, wyglądający na mola książkowego. Energicznie potrząsnął ręką Susan i przedstawił się jako Buster Hardy.

W innych okolicznościach mogłaby się uśmieć, tak bardzo nazwisko nie pasowało do cherlawego wyglądu mężczyzny.

- Przepraszam ... - powiedziała. - Myślałam, że moim adwokatem z urzędu jest pan Ryder.

- Może go pani zatrzymać, jeśli pani chce, ale mnie zatrudnił Luke Maddox - odparł. - Jestem lepszy.

To obojętne stwierdzenie ledwo do niej dotarło, bo gdy usłyszała imię Luke'a, poczuła się tak, jakby użądlił ją rój os.

- Ale ja myślałam ... - zaczęła, opadając na metalowe krzesło naprzeciwko adwokata, po drugiej stronie podrapanego, wyszczerbionego stołu. - Miałam pewność, że ...

Całą noc czuła się zbyt zagubiona i zszokowana, żeby płakać. Teraz nie mogła powstrzymać łez. Luke był przy tym, jak Hector aresztował ją za zabójstwo Briana. Gdy szeryf recytował jej prawa, Luke powiedział, że w to nie wierzy i pozostanie z nią aż do końca, do wyjaśnienia całej sprawy. Krzyczał nawet na Hectora. W końcu szeryf zagroził, że jego także aresztuje.

A jednak miała niemal pewność, że Luke się od niej odwróci. Nie mogło być inaczej. Jego matka pogrążyła się w żalu, a ciało brata leżało w kostnicy. Przecież z nimi łączyły go więzy krwi, silniejsze niż wszystko inne.

- Prosił, żebym przekazał, że panią kocha - powiedział cicho Hardy - i nie wierzy w ani jedno słowo szeryfa: Odwiedzi panią, gdy tylko otrzyma zezwolenie.

- Mówią, że Brian nie żyje - powiedziała adwokatowi ze łzami w oczach. - Nie żył przez cały ten czas.

- Na to wygląda.

- Nie wiem nawet, jak zginął... jak zginęli oboje.

Hardy pokręcił głową.

- Tego nie wie jeszcze nikt. Ciała ... z tego, co słyszałem, były w bardzo złym stanie. Pozostało jednak dość, żeby zidentyfikować je na podstawie uzębienia. Dlatego zrobiono to tak szybko.

Jak mogła mu wyjaśnić, że śmierć Briana wszystko zmieniła? Jej mąż nie żył przez cały ten czas, gdy go obwiniła. Nie żył, gdy spała z jego bratem. Nie mogła się pozbierać, nie wiedziała, co myśleć. Ani o Brianie, ani o sobie. Ani też o Luke'u.

Czy może pozwolić, żeby reporterzy i plotkarze szargali jego dobre imię, kiedy sama nie była pewna, czy po tym wszystkim potrafi mu spojrzeć w oczy? Czy powinna dopuścić, żeby zerwał kontakt z matką, która oprócz niego nie miała teraz nikogo?

Egoizm krzyczał w niej: „Tak, do cholery!” Jeśli Luke nie dbał o własną reputację, dlaczego ona miałaby się nią przejmować? A co do Virginii Maddox, może już nadszedł czas, żeby zrozumiała, że nazwisko i powiązania polityczne nie zapewnią jej wszystkiego, czego chce.

Susan wiedziała, że to złe, niesprawiedliwe myśli. Luke nie straciłby pracy z powodu lokalnych plotek, ale na pewno nie rozumiał, co go spotka. Gdyby wybrał ją i odwrócił się od matki, już nigdy nie byłby mile widziany w swoim rodzinnym mieście. Wspomnienie Clementine - i Susan - już zawsze przepajałoby go goryczą. Susan pomyślała o Virginii. Wiedziała, że matki popełniają błędy jak każdy inny człowiek, tylko że błędy te są często wynikiem krótkowzrocznej miłości i urażonej dumy. Przecież jej mama zachowywała się tak samo, nie akceptując jej małżeństwa z Brianem.

- Nie spotkam się z Lukiem - powiedziała Susan. Wstając z krzesła, dodała: - Przykro mi, że przyjechał pan tu na próżno.

Prawnik pokręcił głową i odgarnął z czoła gęstą rudawą grzywkę.

- Luke Maddox jest moim przyjacielem od kilku lat, odkąd tylko przeniósł się do Austin. Parę razy w miesiącu gramy w piłkę, równie często chodzimy na piwo i kiełbaski z grilla. Znam go dobrze. To nie ma znaczenia, czy się pani z nim spotka, ja i tak będę pani bronił. Luke chce pani pomóc, bez względu na wszystko.

Pokręciła głową, przypominając sobie ogromne rachunki, jakie zapłaciła za poradę prawną po zniknięciu Briana. Wiedziała, że były niczym w porównaniu z kosztami tej sprawy. Słyszała, że ludzie sprzedawali domy, żeby zapłacić adwokatom. I często nawet to nie wystarczało.

- To by za drogo kosztowało, za duży dług ...

Hardy się uśmiechnął.

- Po pierwsze, Luke'a Maddoksa na to stać. Po drugie, z tego, co rozumiem, ten wasz szeryf nie ma żadnych dowodów. Każdy sędzia umorzyłby sprawę w mgnieniu oka.

Pierwszy raz od chwili aresztowania Susan poczuła nadzieję - ale zaraz ją straciła. Adwokat z Austin, chociaż doświadczony i kompetentny, nie wiedział nic o potajemnych machinacjach w hrabstwie Ocotillo, gdzie zastępcy szeryfa byli zabójcami, a strażniczki więzienne - włamywaczkami, gdzie na wybory wywierało wpływ Koło Konserwatywnych Pań i gdzie osadzona w areszcie nauczycielka mogłaby zostać uciszona na zawsze, zanim doszłoby do procesu.

- Susan nie chce cię widzieć - powiedział Luke'owi przez telefon Buster Hardy. - Próbowała też zrezygnować z moich usług.

Luke zerknął przez ramię w stronę drzwi sypialni matki i westchnął z ulgą, widząc, że są zamknięte. Nawet po środku uspokajającym, który przepisał jej lekarz, bardzo długo nie mogła

zasnąć. Jej przyjaciółka, Ellie Gomez, która przyjechała z Midland, odpoczywała teraz w pokoju gościnnym i była gotowa pomóc, gdy tylko Virginia się obudzi.

Wiedząc, że nikt nie usłyszy rozmowy, Luke poszedł ze słuchawką do salonu.

- Próbowała zrezygnować z twoich usług - powtórzył. - Mam nadzieję, że odwiodłeś ją od tej myśli. Wszyscy wiedzą, że Dan Ryder to żaden obrońca. Od dwudziestu lat nie wyciągnął nikogo z więzienia.

- Nie chce denerwować swoich amigos od gry w piłkę? - zapytał Hardy. - A może od golfa?

- Raczej kumpli od łąsów - poprawił Luke. - Tak to jest w zachodnim Teksasie. W weekendy lubią się bawić w kowbojów.

Usiadł na sofie, żeby nie przechadzać się nerwowo po pokoju.

- A to ciekawe! - mruknął Hardy. - Tak, przekonałem ją, żeby mnie nie zwalniała. Jestem prawnikiem, a ona teraz nie ma siły protestować.

- Jak się czuje? - zapytał Luke.

- Jest przerażona i wyczerpana. Na pewno długo nie spała i nie jadła. Jest też poobijana, ale powiedziała, że ślady, które widziałem, powstały w czasie napaści i wypadku, o którym mi mówiłeś.

Luke nie chciał jej sobie wyobrażać w areszcie, wolał nie myśleć o otarciach i siniakach na jej pobladłej ze zmęczenia skórze. Nie mógł. Nie potrafił się powstrzymać. Gdy tylko zamknął oczy, widział cierpiącą Susan. A ona nie chciała, żeby ją odwiedził.

- Powiedziała ci, dlaczego nie chce się ze mną zobaczyć? - Duke, mierzając ogonem, podszedł do Luke'a i ocierał się uchem o jego dłoń. Luke bezwiednie pogładził ciemną sierść psa.

- Teraz nie chce widzieć nikogo. Nie pozwoliła nawet zawiadomić swojej rodziny - powiedział Buster. - W tych okolicznościach to wcale nie jest takie niezwykle. Ludzie czują się zagubieni, zawstydzeni...

- Ona nie ma się czego wstydić. To Abbott powinien spalić się ze wstydu: nazwał Susan morderczynią, chociaż próbował ją zabić jeden z jego cholernych zastępców! Co on sobie myśli ...

- Mnie nie musisz przekonywać, Maddox - zapewnił go Hardy. - Ale może waszemu szeryfowi wcale nie jest potrzebny wyrok skazujący. Wystarczy aresztowanie. Niedługo sierpień. Za kilka miesięcy wybory, prawda? Czy nie mówiłeś, że od kilkudziesięciu lat Hector Abbott nie miał żadnego konkurenta? Kiedy pracowałem w biurze prokuratora stanowego, widziałem, co wyprawiają urzędnicy, byleby tylko zachować stanowiska.

Luke uznał, że Hardy może mieć rację. Ale ta myśl, zamiast go uspokoić, jeszcze wzmogła jego determinację.

- Musisz ją stamtąd jak najszybciej wyciągnąć. Jeśli to tylko polityczne rozgrywki pójdą do gazet i powiem wszystko, co wiem.

- Albo załatwię to po swojemu, albo wcale - oznajmił Hardy.

- Jako twój adwokat, nie pozwolę ci się narażać. Jeśli chcemy coś działać, musimy skorzystać z oficjalnych dróg. Jeśli będzie trzeba, zwrócimy się do prokuratora generalnego, może do Strażników Teksasu. Ale na razie z tym zaczekajmy. Człowiek może ruszyć świat, wystarczy mu tylko dobry punkt podparcia.

- Co masz na myśli, Buster?

- Zobaczą, co da się zrobić.

Luke nie poprosił o wyjaśnienia. Gdyby nawet przyjaciel czuł, że może coś wskórać środkami przymusu, i tak nic by mu nie powiedział. Buster był dobrym, inteligentnym i zrównoważonym człowiekiem. Luke czuł, że mógłby temu świetnemu adwokatowi powierzyć własne życie.

Ale pod pewnymi względami było znacznie trudniej powierzyć mu życie Susan.

Dłonie obserwatora, trzymające kartkę, bardzo się trzęsły. Położył ją na stole i wygładził zmięte krawędzie, mając nadzieję, że z tej perspektywy wyda mu się mniej groźna i że nie będzie pasowała do elementów układanki w jego umyśle.

Z palców kapąca mu krew. Krople padały na słowa, ale żadnego z nich nie zamazały całkowicie. Wielka nagroda, głosił napis koślawymi literami na skserowanej ulotce. Za informacje na temat tego podłego sukinsyna, który przejechał mojego najlepszego przyjaciela!!!

Dalej było wiele wyzwisk, każde z nich podkreślone podwójną linią. A poniżej - zdjęcie kudłatego, czarno - białego psa z datą, ósmego grudnia zeszłego roku, i opisem pojazdu.

Opis doskonale pasował do kołpaka, który obserwator znalazł tamtego dnia, i do samochodu, który widział zaparkowany przed jej domem kilka dni temu.

Krople gorącej krwi kapąły na ostatnie zdania na ulotce: Skontaktuj się z Annie Kaktus. Strażnicy wiedzą gdzie mnie znaleźć.

Ale gdyby sprawy ułożyły się tak, jak chcieli strażnicy, nigdy nie znalazłby ulotki i nie zrozumiałby straszliwych błędów, które popełnił. Gdy obserwator wpatrywał się w kartkę, przypiętą do tablicy ogłoszeń w pobliżu pola biwakowego, podszedł do niego strażnik. Zerwał ulotkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

- To smutna, stara kobieta - powiedział, kręcąc głową. W jego zielonych oczach widać było współczucie. - Co tydzień zrywam takich kilkanaście. Ciekawe, kto robi kopie. Nie możemy pozwolić, żeby rozwieszała takie wyzwiska. To odstraszyłoby naszych gości.

- Czy ktoś wie, co się stało tamtego dnia? - zapytał ostrożnie obserwator.

Chociaż zwykle nie rozmawiał z personelem parku, przychodził tu tak często, że wszyscy znali go z widzenia. Niektórym może nawet było go żal. Ta myśl sprawiała, że chciał coś rozwalić. Teraz jednak siwiejący strażnik rozmawiał z nim swobodniej niż kiedykolwiek przedtem.

- Zdaje się, że jakiś kretyn, który chciał udawać strażnika, za szybko wyjechał swoją drogą bryką w zakręt, zarzuciło go i walnął kundla biednej Annie tak, że pies poleciał w krzaki. Kiedy go znaleźliśmy, już nie żył. Gdyby Annie przechodziła trochę bliżej, ją też by zabił.

- Jak to możliwe, że go nie złapaliście? - Serce waliło mu jak młotem, ale zadał pytanie lekkim tonem, jakby z ciekawości. Zawsze miał kłopoty w kontaktach z ludźmi, zdążył się jednak zorientować, że zamykali się w sobie, gdy tylko czuli, że są krytykowani.

Strażnik pokręcił głową.

- Bardzo byśmy chcieli. Annie jest kłótniwa, ale opiekujemy się nią. Pomagamy na tyle, na ile nam pozwala. Niestety, nikt inny nie widział wypadku, a ona nie zapisała numeru rejestracyjnego. Nie zauważyła nawet, czy samochód był z Teksasu. A ten facet nie zgłosił się do nas przy wejściu. Pewnie prześlizgnął się do środka, kiedy strażnik poszedł do łazienki. Może po prostu skrócił sobie drogę i pojechał przez park do kanionu Shotgun. Staramy się do tego nie dopuszczać, wiesz.

Strażnik uniósł krzaczaste brwi, dając do zrozumienia, że wie o częstych wizytach obserwatora w tamtym miejscu. Ale nie wygłosił kazania - i dobrze, bo w żyłach obserwatora

zaczęły się już tworzyć lodowe kryształki.

Z tych żył kapała teraz krew na stół w domu, do którego się włamał, kiedy już wyjął ulotkę z kosza na śmieci i opuścił park. Choć przed oczami widział szare punkty, uznał, że kara nadchodzi za wolno. Ułożył wokół ulotki wszystkie swoje ulubione zdjęcia, podniósł zakrwawiony kawałek szkła i głębiej wbił go w nadgarstek, aż sięgnął kości. Poczł przeszywający ból.

Nie może cofnąć tamtego telefonu, nigdy nie zrehabilituje się za swoją głupotę. Nie zrozumiał, że wszystko, zarówno podróż do kanionu, jak i pocałunek - teraz wiedział, że był to niewinny całus, taki jak między członkami rodziny - to test, żeby sprawdzić, czy jest jej wart. Gdyby obserwator zdał ten egzamin, mogliby zostać razem, tak, jak obiecała tamtej nocy, gdy zostawiła obrączkę, by ją znalazł.

Ale on spieprzył sprawę. Teraz będzie go uważała tylko za cholernego popaprańca, gnoja, który przyczepił się do niej jak rozwrzeszczany dzieciak. Krzycząc z wściekłości, zmiotł ze stołu zdjęcia i papiery, malując nadgarstkiem krwawy łuk na blacie.

Wygląda jak zachód słońca, pomyślał, zanim jego żalosna świadomość zamigotała i zgasła.

## ROZDZIAŁ 21

Luke zatrzymał się na podjeździe pod domem Susan, za poobijanym zielonym dodge'em i pomalowanym w barwy kamuflażu el dorado, który za każdym razem wzbudzał w nim więcej wspomnień. Gdyby Luke mógł się zająć tym gratem, zamalowałby okropną farbę, wymienił popękana przednią szybę, dodał chromowane elementy i...

- Przepraszam za kłopot, ale nie miałem do kogo zadzwonić - powiedział Marcus, gdy Luke zsiadał z motocykla. - Kiedy zobaczyłem tu brykę jego taty, zacząłem walić w drzwi, bo pomyślałem, że on zrobił jakieś głupstwo. Zobaczyłem stłuczoną szybę i się przestraszyłem. Pobieglem do sąsiada, żeby pożyczyć książkę telefoniczną. Był pan jedynym Maddoksem, którego telefon znalazłem.

Luke zdjął kask i powiesił go na kierownicy. Przednia szyba była pęknięta po wypadku z mysołowem. Nie miał jeszcze czasu zamówić nowej.

- Trzeba było zadzwonić do szeryfa - powiedział. Marcus pokręcił głową.

- To było włamanie, zgadza się? Nie chcę go wpakować w kłopoty. On ... od dawna miał świra na punkcie pani Maddox i bardzo się zdenerwował, kiedy została aresztowana. Ale pan ma klucz, prawda?

Wcześniej Marcus był zadziorny. Chwalił się, że wraz z Jimmym wykradł rzeczy Briana z wynajętego magazynu. Czy później coś go przestraszyło? Może to, co stało się ze starym hipisem Boone'em?

Luke czuł, że nie powinien teraz o to pytać. Teraz musieli znaleźć Jimmy'ego, zanim sąsiedzi zdenerwują się i wezwą policję.

Nigdy nie miał klucza, nie był nawet pewien, czy Susan nadal jest właścicielką domu, ale przestał się tym przejmować, gdy zobaczył krople krwi na stłuczonym oknie. Wziął z ogródka kamień, wybił resztki szyby i sięgnął ręką do środka, żeby otworzyć okno.

Wchodząc do domu, zerknął na Marcusa.

- Chodź. Może twój przyjaciel potrzebuje pomocy.

Marcus wahał się chwilę, ale wreszcie pokiwał swoją potarganą, złoto - czarną głową.

Sypialnia, pomyślał Luke, patrząc na meble. Zamiast bałaganu, którego się spodziewał, zobaczył rzędy opisanych kartonów, ustawionych równo przy ścianie, oraz świeżo umytą podłogę. Ekipa sprzątająca bardzo się postarała. Nie widząc tu Jimmy'ego, rozdzielili się i sprawdzali kolejne pokoje, wołając chłopca.

Znalazł go Luke, opartego na kuchennym stole. Krew - dużo krwi - była wszędzie. Na blacie widział czerwoną smugę. Na podłodze, pod zwisającą ręką Jimmy'ego, powstała już kałuża.

- Cholera! - zaklął Luke i zaraz usłyszał krzyk Marcusa.

- Czy on ... czy ... Niech cię diabli, Jimmy, jeśli nie żyjesz, to... - Nastolatek zaczął szlochać.

Jimmy wyglądał jakby już umarł. Miał bladą skórę i głowę nienaturalnie przekrzywioną w bok. Luke poczuł zapach krwi i przypomniał mu się martwy hipis. Wrażenie deja vu było tak silne, że odruchowo uniósł rękę i spojrzał przez ramię, spodziewając się takiego samego uderzenia od tyłu, jak pięć dni temu.

Otrząsając się, przycisnął palce do jeszcze cieplej szyi Jimmy'ego. Uciskał mocno, w kilku miejscach, szukając pulsu. Znalazł. Tętno było słabe i nitkowate, ale chłopak żył - przynajmniej na razie.

Luke kazał Marcusowi podnieść rękę Jimmy'ego i uciskać ranę.

- Trzymaj też drugi nadgarstek - powiedział. Wezwę pomoc.

Nie dopuścimy, żeby wykrwawił się przed przyjazdem karetki.

Z oczu i nosa Marcusa płynęły łzy. Dołeczki w poblądłych policzkach wyglądały jak ciemne dziury.

- Przykro mi... że się zgodziłem. I mu pomogłem.

Pomógł w czym? Czy Jimmy i Marcus zabili hipisa, kiedy przyłapał ich na kradzieży korespondencji Briana? Luke nie zapytał. Biegł do telefonu, mając nadzieję, że nie został jeszcze wyłączony. Poślizgnął się na zakrwawionej płytce i opadł na kolano. Wstał, nie zwracając uwagi na plamę krwi na lewej nogawce dżinsów, i chwycił słuchawkę.

Sygnal był chyba najmiłszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszał. Gdy zgłosiła się dyspozytorka, poprosił o przysłanie karetki i podał adres.

- Pospieszcie się, proszę - powiedział. - Zanim dzieciak wykrwawi się na śmierć.

Jeśli jeszcze się to nie stało. Chociaż dyspozytorka zadawała dalsze pytania, Luke odłożył słuchawkę i zaczął szukać jakiejś tkaniny do przewiązania rany. Chwilę później darł prześcieradło na paski, a Marcus powtarzał: „Nie umieraj, nie umieraj” tonem przerażonego dziecka.

- Trzymaj tę rękę, kiedy ja będę przewiązywał drugą - nakazał Luke. Marcus obserwował jego każdy ruch, ale nie mógł się zmusić do milczenia. - Niepotrzebnie to zrobiłem. Trzeba było się w to wszystko nie mieszać. Luke chciał zapytać, w co, ale zauważył zdjęcia, leżące na podłodze. Wszystkie przedstawiały Susan. Wiele takich samych - i chyba skądś wyrwanych. Ze szkolnych albumów pamiątkowych, pomyślał. Na jednym zdjęciu Susan była pochylona nad biurkiem Jimmy'ego w laboratorium i wskazywała ręką żabę, której sekcję właśnie przeprowadzał.

Wszystkie zdjęcia zostały poplamione krwią chłopca.

- Jezu - szepnął Luke, ale zaraz znowu zajął się bandażowaniem nadgarstków Jimmy'ego. Kiedy skończył, zwrócił się do Marcusa: - Uciskaj dalej. Krwawienie już nie jest takie silne, ale nie ryzykujemy.

Oby to nie oznaczało, że chłopak już się wykrwawił. Jimmy oddychał, ale nie poruszył się, gdy Luke wypowiedział jego imię i potrząsnął go za ramię.

Marcus chwycił zabandażowane nadgarstki zakrwawionymi rękami.

- Może położymy go na podłodze i uniesiemy nogi. Ja ... tak nas uczyli w szkole.

- Dobry pomysł - powiedział Luke i razem ostrożnie położyli chłopaka.

Luke zauważył zgniecioną kartkę ze zdjęciem psa, ale nie zastanawiał się nad tym długo.

- Teraz możemy tylko czekać - uznał. - Czy powiesz mi, co się dzieje?

Chłopak wytarł nos rękawem T - shirtu. Chyba dopiero teraz zobaczył zdjęcia, rozrzucone po podłodze.

- O kurczę - mruknął. - Cholera, Jimmy. Nie wiedziałem, że było aż tak źle.

- Co takiego?

Marcus westchnął tak, jakby był starym człowiekiem, a nie nastolatkiem.

- Wiedziałem, że lubił ją obserwować. On nie zdawał sobie z tego sprawy. Często stawiał brykę ojca na Old Hale Road, wie pan, po drugiej stronie wzgórza. Pewnego dnia pojechałem za nim i zobaczyłem, jak patrzył przez lornetkę.

- Jak zareagowałeś?

- Wcale. Miałem powiedzieć: „Hej, stary, widziałem, jak podglądasz nauczycielkę biologii, waląc konia”?

Luke się skrzywił.

- Rzeczywiście, byłoby niezręcznie. Ale takie sprawy bywają groźne. Nie bez powodu prawo zabrania śledzenia i prześladowania innych. Komuś może stać się krzywda. - Zerkając na bezwładnego Jimmy'ego, dodał: - Ktoś mógłby zginąć. Mam na myśli nie tylko jego.

Luke znał takie sytuacje. Jego pracownik umawiał się z kobietą, którą tak prześladował poprzedni narzeczony, że wyjechała do innego stanu i wystąpiła do sądu o zmianę nazwiska. W większości przypadków krzywda działa się ofierze, która nie dorównywała wyobrażeniom prześladowającego. Ale może ogarnięty obsesją Jimmy zabijał osoby, które jego zdaniem przeszkadzały szczęściu Susan? Boone'a, kiedy nie chciał jej dać tego, czego szukała? A może nawet - to była przerażająca myśl - Jessicę i Briana, jeśli chłopak jakoś dowiedział się o ich romansie?

- On nikogo nie skrzywdził - upierał się Marcus. - No, oprócz pana.

- Mnie? - powtórzył Luke ze zdziwieniem, ale to przecież miało sens. Jimmy mieszkał w Rocky Rim. Mógł to zrobić, jeśli wrócili z Marcusem, żeby włamać się do skrytki Briana. - To on mnie uderzył? - Czy Jimmy podał mu też narkotyk? A jeśli tak, to dlaczego? Czy uznał go za rywala?

Marcus się zawahał. Miał tak nieszczęśliwą minę, że Luke'owi było go prawie żal.

- Ja ... nie wiem. Nie jestem pewien. Kiedy wszedłem, stał nad panem. Trzymał w ręku duży kamień, a Boone ... Boone ...

Luke kiwnął głową.

- Boone już nie żył. Widziałem go, zanim ktoś uderzył mnie od tyłu. Jeśli zrobił to Jimmy, to dlaczego myślisz, że nie zabił hipisa?

- Bo powiedział, że to ten gliniarz. Widział, jak wychodził.

- Który? - zapytał Luke, chociaż znał odpowiedź.

- Ten z blizną, wie pan? Z dużą blizną na czole. Meksykańskie nazwisko.

- Ramirez - powiedział ponuro Luke. - Ale nadal nie rozumiem, co zrobiłeś. Gdybyś mi wyjaśnił ...

- Pomogłem Jimmy'emu wywieźć pana na pustynię, żeby gliny nie znalazły pana przy ciele Boone' a i nie zaczęły wypytywać o panią Maddox. Pomyśleliśmy, że kiedy odzyska pan przytomność, sam pan wróci do domu.

- Miło, że zabraliście kluczyki. Marcus spuścił wzrok.

- Przepraszam. Przypadkiem zostawiłem je w kieszeni, zorientowałem się, kiedy byliśmy już daleko. Oddam je, przysięgam.

Luke nie miał nadziei na odzyskanie gotówki, nawet więc o tym nie wspominał.

Ale Marcus jeszcze nie skończył.

- Nie wiem, dlaczego dałem się namówić. Mama mnie zabije, kiedy się o tym wszystkim dowie. Robiłem już głupstwa, ale teraz to poważna sprawa. Boone został zamordowany. Trzeba było od razu powiedzieć policji, co wiedzieliśmy.

Luke pomyślał, że sam też był głupi w wieku siedemnastu lat. Z powodu własnej głupoty stracił Susan i omal nie doprowadził do śmierci Ramireza, zgadzając się na wyścigi samochodami. Luke przypominał sobie, jak Hector Abbott okazał mu wtedy litość. A on wykorzystał tę szansę i wyszedł na prostą.

- Niedługo przyjedzie karetka - powiedział Luke. - I na pewno także ktoś z biura szeryfa. Może przedtem znikniesz?

Marcus spojrział na twarz leżącego chłopaka.



- Nie mogę zostawić Jimmy'ego. Od czwartej klasy jest moim najlepszym przyjacielem.  
- Jimmy, którego pamiętasz, odszedł jakiś czas temu. Ten będzie potrzebował pomocy. Jest chory, Marcusie, ciężko chory, ale to nie znaczy, że ma zrujnować twoją przyszłość. Puść już jego rękę. Ja się nim zajmę.

Po kredowobiałej twarzy Marcusa znów popłynęły łzy.

- Ale ja ... nie mogę ...

- Nie spieprz sprawy. Susan ... pani Maddox bardzo w ciebie wierzy. Chce, żebyś wyszedł na ludzi, skończył szkołę i miał przed sobą lepsze życie. Zabieraj się więc stąd natychmiast. Dzięki temu będziesz mógł pomóc Jimmy'emu, gdy trochę dojdzie do siebie.

Marcus gapił się na niego wytrzeszczonymi oczami. Po chwili wahania skinął głową.

Bez słowa otworzył drzwi i pobiegł w stronę swojego el dorado. Kilka chwil później Luke usłyszał chrzęst opon na podjeździe.

- Proszę bardzo - powiedział sucho. I błagał w myślach, żeby karetka przyjechała jak najszybciej.

Gdy przyklęknął przy Jimmym, usłyszał cichy jęk.

Jimmy próbował ściągnąć bandaż z lewego nadgarstka.

Otworzył oczy, palcami starając się rozwiązać węzeł na rękę.

Zaklął pod nosem.

- Zawiodłem ... zawiodłem ją. Chcę umrzeć.

Luke delikatnie powstrzymał chłopaka, żeby nie rozwijał opatrunku.

- Lada moment przyjedzie pomoc. Wypoczywaj. Nic nie mów.

Ale przez trzy minuty, zanim przyjechała karetka, Jimmy Archer mówił. A Luke Maddox słuchał uważnie każdego przerażającego słowa.

Gdy za kwadrans druga w nocy zadzwonił telefon, Grace Morton odebrała po pierwszym dzwonku.

- Kto mówi? - warknęła. Chociaż jeszcze przed chwilą była martwa dla świata, teraz instynktownie zerknęła na drugą stronę dużego łóżka, tam, gdzie zawsze spał jej mąż.

Światło księżyca, przecięte cieniami żaluzji, padało na gładką, białą powierzchnię prześcieradła. Nie wrócił jeszcze z baru, pomyślała Grace i westchnęła z ulgą. Ostatnim razem, gdy odebrała telefon o tak późnej porze, mąż był pewien, że dzwonił jej kochanek i stłukł ją na kwaśne jabłko. Rozciął jej nawet wargę. Oczywiście miał rację co do kochanka, ale przecież od początku wiedział, jaka jest. Zaczęli się spotykać, kiedy miała dziewiętnaście lat i była żoną innego.

Z powodu zakłóceń na linii z początku nie zrozumiała słów.

Ale ton głosu sprawił, że serce podskoczyło jej do gardła.

- Manuel? Dlaczego tu dzwonicz, do cholery? Ostatnim razem ten bydlak mnie stłukł - powiedziała, bo tak nakazywał jej instynkt samozachowawczy, ale cieszyła się z telefonu swojego najnowszego kochanka. Kilka miesięcy temu Ramirez zaczął ją nudzić, była już gotowa rzucić go dla kierowcy ciężarówki, poznanego w barze. Wtedy Manuel dostarczył jej naprawdę silnych wrażeń. Poczowała pulsowanie w uszach, przypominając sobie, co robili od tamtej pory.

- Zrób coś dla mnie, malutka - powiedział Manuel, teraz trochę wyraźniej.

- Zawsze tego chcesz. - To jej nie przeszkadzało. Lubiła seks w ryzykownych sytuacjach i zrobiłaby wszystko, żeby zapewnić sobie tę przyjemność.

Pieprzyli się nawet na podłodze salonu w domu Susan Maddox w nocy włamania, a potem

Grace omal nie dostała następnego orgazmu, kiedy walnęła głową tej dziwki we framugę drzwi. Odkryła, że seks połączony z przemocą jest jeszcze lepszy niż pieprzenie się w kiblu albo w barze, albo nawet krótki numerek z więźniem w celi. Lepszy niż kiedyś seks z kuzynem w warsztacie dziadka, który, nieświadomy niczego, spokojnie grzebał w swoim mustangu tuż przed drzwiami.

- Gdzie właściwie jesteś, do cholery? - dodała. - Podobno cię wyrzucili za niestawienie się do pracy.

- Co jeszcze wiesz? - zapytał.

- Mnóstwo, ale nie o tobie. Abbott wsadził Susan Maddox za morderstwa, słyszałeś? Już zidentyfikowali tych sztywniaków.

- To wiem - powiedział. - I w związku z tym mam do ciebie prośbę.

- Jaką? Bo muszę ci powiedzieć, że nabrałam ochoty. - Grace miała duże potrzeby. Choć tamten seks był świetny, ona już o nim zapominała i miała chęć na coś nowego.

- Musisz się jej pozbyć. Natychmiast.

- Zwariowałaś. Tego nie zrobię. - Lubiła niebezpieczeństwo, ale nie miała skłonności samobójczych. - Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego. Jeśli trafię do celi z gnojkami, których trochę poszarpałam, pewnie skręcą mi kark.

- Jest źle. Wszędzie gliniarze, nie możemy stąd wyjechać. Jeśli mnie złapią, ona mnie pograży. A wtedy, przysięgam, pociągnę za sobą was oboje.

Poczuła ucisk w żołądku. Nie wiedziała, kto był trzeci, i miała to gdzieś, ale nie miała zamiaru odpowiadać za to, co ten trzeci zrobił z Manuelem.

- Co ty gadasz, do cholery?

- Mówię, że musisz mi pomóc. Tak jak ja pomogłem tobie, kiedy przyczepił się do ciebie Fielding. Nie chciała o tym myśleć, nie chciała wiedzieć, co Ramirez miał na jej szefa, że do tej pory nie została zwolniona.

- Grozisz mi, dupku? To przecież ty ...

- Bardzo ci się podobało. Mówiłaś, że lubisz ostre numerki.

Teraz siedzisz w tym po uszy. Zresztą, kto wskaże zabójcę hipisa? Byłaś tam. Mogę powiedzieć ławie przysięgłych, jak go wykończyłaś i jak jęczałaś ... - Udawał krzyki kobiety w czasie orgazmu. - Jesteś pieprzoną dziwką, na pewno nie wsadzą cię do więzienia. Raczej wysłą na krzesło elektryczne, nie sądzisz?

Ucisk w żołądku stał się nie do zniesienia.

- Ale ja nie mogę - tłumaczyła. - Jeśli coś się stanie Susan, Fielding będzie wiedział, że to ja zrobiłam. Już raz mnie przyłapał, kiedy się nad znęcałam.

- O Fieldinga się nie martw - prychnął Manuel. - Więcej szczeka niż gryzie. Mówię ci. Pamiętaj, że pracowałem w więzieniu, kiedy on był jeszcze strażnikiem. Mam na niego takiego haka, że nic ci nie robi.

- Ale ja nie mogę. Nie ma mowy, żeby ...

- Dasz radę, Gracie. - Mówił teraz przymilnie, słodkim głosem. - Zrobisz to bez trudu. Powiem ci, jak.

Wysłuchiwała jego planu i musiała przyznać, że był dobry. Nikt się nie zdziwi, że kobieta oskarżona o dwa zabójstwa postanowiła ze sobą skończyć; udało się to wielu więźniom, nawet najbardziej pilnowanym. Mimo to istniało duże ryzyko.

Grace zastanawiała się, czy nie lepiej zgłosić się do prokuratora okręgowego.

Ale Manuel dodał coś jeszcze.

- Forsy jest więcej niż ci mówiłem. Dużo więcej. - Wymienił taką liczbę, że opadła jej szczęka. - Zrób to dla mnie, Gracie, a podzielimy się po połowie i pryśniemy do Acapulco, na Karaiby lub do Belize, gdzie tylko będziesz chciała.

Wyobraziła sobie drinki z kolorowymi parasolkami, palmy na wietrze, niebieskie fale, piasek biały jak cukier i pieniądze, żeby z tego wszystkiego korzystać. Pomyślała o swoim grubym mężu z mocnymi pięściami - tysiące kilometrów od niej, marnującym życie w barze, który cuchnął piwem, szczynami i dymem papierosowym.

Ucisk w brzuchu ustąpił. Uśmiechnęła się.

- Cóż, kotku - powiedziała swojemu kochankowi. - Trzeba było tak od razu!

## ROZDZIAŁ 22

Luke siedział w ciemnym domu i czekał na powrót właściciela - może jest u jakiejś kobiety, a może w jakimś innym tajemniczym miejscu. Luke'a nie obchodziło, gdzie. Wykorzystał ten czas na przejrzenie plików w komputerze. Gdyby urządzenie na stałe podłączono do sieci, mógłby to zrobić skądkolwiek, ale użytkownik łączył się z Internetem przez telefon. Co gorsza, pecet był wyłączony.

Z początku nie znalazł żadnego z plików, których szukał, ale wiedział z doświadczenia, że da się je odtworzyć na dysku, jeśli użytkownik komputera je skasował. Luke'owi wystarczyłoby trochę czasu, żeby odzyskać informacje z pozostałości zapisów na twardym dysku. Dlatego podłączył do komputera urządzenie klonujące i zaczął sporządzać kopię dysku, żeby ją później dokładnie sprawdzić. Czekając, aż sprzęt skończy pracę, rozglądał się po gabinecie. Bardzo chciał znaleźć cokolwiek, co umożliwiłoby mu szybsze zakończenie sprawy.

Wreszcie włamał się do zamkniętej szafki i znalazł plastikowe pudełko z płytami. Na każdej ze srebrnych płyt była napisana nazwa miesiąca. Było ich tylko dwanaście, co oznaczało, że użytkownik usuwał pliki stopniowo, zachowując tylko dane z ostatniego roku.

Luke dziękował bogom cyberprzestrzeni, że przynajmniej jeden człowiek na świecie miał zwyczaj sporządzania kopii - i modlił się, żeby człowiek ten nie skasował obciążających informacji. Wybrał płyty z października i listopada, po czym włożył pierwszą do laptopa, który ze sobą przyniósł. Skrupulatnie, systematycznie zaczął naruszać prywatność mężczyzny, którego wziął na cel.

Wcale się tym nie przejmował - ani tym, że dokonał włamania. Przed wyjazdem do szpitala Jimmy powiedział mu tyle, iż Luke uznał, że taki drobiazg jak zamknięte drzwi - a nawet system alarmowy, który szybko rozłączył - nie może mu przeszkodzić w uwolnieniu Susan.

- Pospiesz się, cholerny morderco! - mruknął, gdy drzwi, łączące garaż z kuchnią, nie otworzyły się natychmiast.

Z trudem opanował drżenie ręki, w której trzymał pistolet.

Nigdy nie lubił broni, ale gdy znalazł pistolet w szufladzie biurka, miał dość rozsądku, żeby go wziąć. Chociaż wolałby rozerwać tego człowieka gołymi rękami.

Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, ich skrzypienie wydawało się Luke'owi głośnie jak trzask uderzającego pioruna. Właściciel domu wszedł do środka i sięgnął ręką do włącznika światła na ścianie.

- Ręce do góry i ani kroku dalej! - nakazał Luke. Jego wzrok już dawno się przyzwyczał do ciemności, rozjaśnionej tylko światłem księżyca, wpadającym przez okna. W półmroku mężczyzna miał mniejsze szanse.

Facet krzyknął i rzucił się do ucieczki. Luke chwycił go za umięśnione ramię i wciągnął do środka, a potem obrócił i rzucił twarzą na ścianę. Ozdobny talerz spadł z haczyka i stłukł się na drewnianej podłodze tuż przy stopach mężczyzny.

- Powiedziałem: ręce do góry. Nie ruszaj się - powiedział Luke i kciukiem odbezpieczył pistolet. Kliknięcie wydawało się nierealne, jak efekt dźwiękowy z filmu kategorii B, ale on uświadomił sobie, że mógł to być ostatni dźwięk, jaki słyszał jego brat. I że Brian mógł zginąć właśnie od kul z tej broni.

Tym razem mężczyzna usłuchał.

- Na miłość boską, nie zabijaj mnie. Dam ci pieniądze, wszystko, co zechcesz, tylko nie rób mi krzywdy.

Wrażenie nierealności jeszcze się nasiliło. Luke'owi zdawało się, że to nieon działa, że tylko jest obserwatorem. Owszem, w pracy zdarzyło mu się już naginać, a nawet łamać prawo. Ale miał niewzruszone poczucie dobra i zła. Nigdy nie włamałby się do czyjegoś domu i nie kazałby człowiekowi błagać o życie. Zrobiło mu się niedobrze. Bał się, że zaraz zwymiotuje.

Pomyślał, że nie może sobie pozwolić na ten luksus. Briana i Jessiki już nikt nie uratuje, ale Susan - tak. I tylko ona się liczyła. Nie ten żaloszny śmieć ani nawet przyszłość Luke'a. Postanowił, że naprawi tę niesprawiedliwość, czy Susan sobie tego życzy, czy nie.

- Nie chcę twoich cholernych pieniędzy - warknął przez zaciśnięte zęby. - Chcę tylko usłyszeć od ciebie, dlaczego to zrobiłeś, Beecher? Dlaczego zabiłeś mojego brata i własną żonę?

Hal próbował na niego spojrzeć, ale Luke znów mocno pchnął go na ścianę.

Bankier krzyknął ze strachu, a Luke pomyślał, co musiała czuć Susan, gdy pchnięto ją na framugę drzwi. Ścisnął Beechera jeszcze mocniej.

- To ty, Maddox? Luke? - zapytał Hal. - Ja ... nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale ja nie ... nigdy nie skrzywdziłbym mojej Jessie.

- Daruj sobie! - Luke przycisnął lufę do karku Hala i ucieszył się, gdy bankier jęknął z przerażenia. Nagle jednak zaczął się zastanawiać, czy jego brat też się tak bał, czy też błagał i kłamał, czy mówił, że wcale nie miał zamiaru uciekać z Jessicą - wbrew wszystkim dowodom. Dowody te, chociaż skasowane, pozostały na twardym dysku komputera Hala i na płytach z kopiami. A nawet gdyby to nie wystarczyło na potwierdzenie tego, że Beecher wiedział, Luke znalazł na automatycznej sekretarce nieodsłuchaną wiadomość od Ramireza, który domagał się pieniędzy i groził, że jeśli ich nie dostanie, to pójdzie na policję i wyda Hala.

- Wiedziałeś - powiedział Luke. - Wiedziałeś, co planowali. Jessica powinna zachować to dla siebie, ale napisała do swojej najlepszej przyjaciółki e - mail o tym, że zacznie nowe życie i że wraz z Brianem wykorzysta pieniądze z salonu samochodowego...

- Myślisz, że gdybym to wiedział, to bym jej nie powstrzymał?

- Bardzo się cieszyła z poczętego dziecka. Napisała: „To znak od Boga. On da mi szansę na życie z dala od tych strasznych wspomnień. Daleko od Hala, który chce nazwać imieniem Alyssy klinikę w mieście. Nie będę już musiała patrzeć na jego twarz i na Robby'ego i przypominać sobie każdego okropnego dnia”.

Hal zgarbił się, słysząc słowa żony.

- Jak mogła napisać coś takiego? Robby ... to nasz pierworodny, nasz syn. Głos drżał mu z rozpacz, plecy trzęsły się od szloch. - Jak ... jak mogła to zrobić naszemu dziecku, naszej rodzinie? Jak ta suka mogła zdradzić pamięć Alyssy?

- Dlatego ich zamordowałeś. Jessicę i mojego brata.

- Nie chciałem tego zrobić. To był wypadek, przysięgam. Tak, wróciłem z El Paso i zdążyłem ich przyłapać w domu, zanim uciekli z miasta. Przyznaję. Czytałem jej e - maile, ale byłem pewien, że zdołam ją namówić, żeby została. - Była w ciąży z moim bratem. - Luke rozluźnił trochę uchwyt, chociaż nadal trzymał Hala na muszce.

Powoli i ostrożnie bankier odwrócił ku niemu twarz.

- To ... nie miało dla mnie znaczenia. Przyjąłbym ją z powrotem. Robby bardzo jej potrzebował, a ja ... pomyślałem o aborcji. Albo moglibyśmy zatrzymać dziecko, wychowałbym je jak własne. Powiedziałem jej to. Mówiłem obojgu. Ja ... błagałem, żeby mnie nie opuszczała. Obiecałem Bri ... twojemu bratu, że dam mu wszystko. Wszystko, czego

zechce ... byle tylko odszedł i zostawił moją żonę w spokoju.

Brzmiało to żałośnie. Luke musiał sobie przypomnieć, że ten facet osiem miesięcy temu zabił dwie osoby. I zrobił bardzo dużo, żeby ukryć swoje zbrodnie. - .A kiedy nie chcieli słuchać, co zrobiłeś? Zastrześliłeś ich? Zabiłeś z tego pistoletu?

- To był wypadek - powtórzył Hal. - Br ... Bri... On tylko pokręcił głową i objął Jessicę, jakby miał do tego prawo. Odwrócili się i chcieli wyjść. Ale ja jeszcze nie skończyłem. Powtarzałem Jessice, jak ją kocham. Nagle pistolet sam wystrzelił. Nie ten, ale drugi, który zostawiłem na pustyni.

- Kogo najpierw, Hal? Kogo zastrześliłeś pierwszego? - Pistolet w dłoni Luke'a znów zaczął drżeć. - To był ... twój brat.

- Nazywał się Brian Maddox - krzyknął Luke. - Możesz to powiedzieć!

- Brian. Najpierw zastrześliłem Briana Maddoksa. Kula przebiła mu plecy, wyszła tędy.

Nawet w przyćmionym świetle Luke widział, jak Beecher dotknął lewej strony swojej klatki piersiowej.

- Nie ruszył się ani nie krzyknął. Nawet nie jęknął - powiedział Hal Upadł bezwładnie na podłogę w kuchni.

Luke'a ścisnęło w żołądku na myśl, że mógł teraz stać w miejscu, gdzie zmarł jego brat. Starając się o tym nie myśleć, skupił się na reszcie: Brian zginął natychmiast, od strzału w plecy, może nawet nie widział pistoletu Hala. Jeśli Beecher mówił prawdę, to Brian nie był przerażony i nie błagał o życie. To nędzna pociecha w tej piekielnej sytuacji, ale jednak.

Myślałem, że wszystko skończy się dobrze - ciągnął Hal. - I Jessica wreszcie mnie wysłucha. Ale ona krzyczała i krzyczała, a pistolet...

- Nie mów. Znowu sam wystrzelił. I wtedy wpadłeś na pomysł, żeby wziąć pieniądze z własnego banku? Pół miliona dolarów, których kradzież przypisałeś Brianowi? Dlatego nie mogłem znaleźć tych pieniędzy, gdy namierzyłem założone przez niego konta.

- Nie rozumiesz - jęknął Hal. - Ja ... zabrałem je już wcześniej.

- Ukradłeś pieniądze ze swojego banku? Dlaczego miałbyś to zrobić?

- Nie było tak, jak myślisz. Ja ... Nigdy nie wziąłbym pieniędzy dla siebie. ja ... zrobiłem to dla Alyssy, dla kliniki. Aby jej pamięć pozostała wieczna, żeby biedni ludzie mogli tam znaleźć pomoc, żeby inni rodzice nie musieli patrzeć na śmierć własnych dzieci.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że możesz zostać schwytany?

- Z początku wcale się nad tym nie zastanawiałem. Myślałem tylko o klinice: że stanie na Main Street, będzie nowa i piękna i przez lata będzie działać dla dobra chorych dzieci ... A później, kiedy zaczęło do mnie docierać, że ludzie mogą mnie nie zrozumieć, miałem nadzieję ... myślałem, że znajdę jakiś sposób, żeby spłacić ten dług. Wierzyłem, że Bóg mi pomoże.

Luke'a zdziwiło podejście Hala i jego zmarłej żony do religii: on był pewien, że Bóg pomoże mu zatuszować kradzież, ona - że pobłogosławi cudzołóstwo.

- Kiedy się dowiedziałeś o swojej żonie i Brianie, postanowiłeś zrzucić winę na niego - powiedział Luke. - I sfalszowałeś wnioski kredytowe, prawda? Zamierzałeś go zabić już wtedy.

- Nie. Przysięgam, że nie. Dopiero później, kiedy oni już nie żyli, ja ... Nie mogłem pozwolić, żeby mój syn stracił oboje rodziców.

Luke wątpił, że takie były naprawdę motywy działania Hala. Nurtowała go teraz inna sprawa.

- Jak sfabrykowałeś wiadomość na automatycznej sekretarce? Tę od Jessiki.

- Ona ... chciała ode mnie odejść pół roku przed ... przed końcem. Zostawiła tę wiadomość i uciekła z Robbym do znajomych w Amarillo. Pojechałem tam i sprowadziłem ją z powrotem, ale nagrałem tę wiadomość i zachowałem na wypadek, gdyby znów uciekła. Musiałem mieć dowód, że już to robiła, gdyby zechciała walczyć w sądzie o prawo do opieki nad Robbym. Po ... potem wgrałem starą wiadomość na sekretarkę. Ale przysięgam, zrobiłem to tylko dla mojego syna.

Luke'a ścisnęło w gardle.

- Ty cholerny draniu. Wszystko sobie zaplanowałeś, prawda? Kiedy do akcji wkroczył Ramirez? Wiem, że też w tym siedzi. Wiem, że zabił starego człowieka w osiedlu Rocky Rim i że ukradł dowody z dżipa Susan.

Gdy Hal milczał, Luke przycisnął lufę pistoletu do jego policzka, tuż pod lewym okiem.

- Nie. Nie rób tego, proszę - błagał Hal. - Ra... Ramirez przyłapał mnie, kiedy wyjeżdżałem z parku. Zostawiłem właśnie ich ciała, i jechałem jak najszybciej, żeby wrócić do El Paso na spotkanie. Uderzyłem ... potrąciłem też psa, a ... Ramirez mnie zatrzymał. Miałem ... krew na twarzy, na rękach, krew Jessiki i twojego bra ... Briana Maddoksa. Mój samochód był... Wziąłem zasłonę z prysznicza i stare prześcieradła, ale to nic nie dało. Nie mogłem iść do więzienia. Mój syn ...

- Przestań wykorzystywać to biedne dziecko jako wymówkę! Cholernie się bałeś i dobrze o tym wiesz. Co więc zrobiłeś?

Zaproponowałeś Ramirezowi forszę? A potem zatrudniałeś go do swoich brudnych sprawek?

W ciszy, która zapadła, Luke słyszał tykanie zegara. Hal nie odpowiedział, mimo że Luke groził mu pistoletem.

- Zapłaciłeś Ramirezowi, żeby zabił Susan, gdyby za bardzo zbliżyła się do prawdy? - zapytał Luke. - Przekupiłeś też szeryfa, żeby ją aresztował, gdy nie udało się jej zamordować?

- Co? Nie, nie Abbotta. Był tylko Ramirez. Potem musiałem mu płacić więcej, żeby nikt się nie dowiedział. Niestety, nie potrafiłem wzbudzić zaufania Susan. Wiedziałem, że coś znalazła, ale nie chciała mi powiedzieć, co.

- Mądra kobieta. Powinienem ci strzelić w głowę za to, co zrobiłeś jej, mojemu bratu i swojej żonie. Nie mówiąc o mojej matce. Wiesz, co przeszła?

- Powinieneś? Czyli ... nie zabijesz mnie teraz? Luke pokręcił głową.

- Wolę, żebyś zgnął w więzieniu. Będziesz się bał innych skazańców, z majchrami, i modlił się, żeby nikt nie zgwałcił cię pod prysznicem. Czekaając na ciebie, zawiadomiłem Strażników Teksasu. Dziś załatwimy tę sprawę do końca.

Przynajmniej tak sobie powtarzał: chciał wyciągnąć Susan z więzienia i wziąć ją w ramiona jeszcze przed wschodem słońca. Zdawał sobie sprawę, że mogło to potrwać trochę dłużej, bo było już bardzo późno, ale nie tracił nadziei.

Zadzwoił telefon. Luke zaczekał, aż w aparacie, stojącym na blacie kuchennym, włączyła się automatyczna sekretarka. Po kilku chwilach usłyszał głos Ramireza.

- Nie przejmuj się naszym małym problemem, Beecher. Dziś popełni samobójstwo, z niewielką pomocą. Ale będzie cię to dużo kosztowało. Jeszcze sto tysięcy. Zadzwoię rano, to się umówimy.

Luke bardzo chciał chwycić słuchawkę i krzyknąć Ramirezowi, żeby wszystko odwołał. Miał też ochotę nacisnąć spust i zabić Hala, żeby jak najszybciej wyjechać. Powstrzymał się z największym trudem.

Wiedział też doskonale, że to Susan była „małym problemem”, o którym mówił zastępca szeryfa, i że tak zwane samobójstwo miało uciszyć ją na zawsze.



## ROZDZIAŁ 23

Susan była przerażona, że tak szybko skupiła całą swoją uwagę wyłącznie na walce o przetrwanie. Z zajęć z psychologii pamiętała piramidę ludzkich potrzeb. Przypomniała sobie, że gdy człowiek nie czuje się bezpieczny, nie może nawet myśleć o uczeniu się, miłości ani osiąganiu osobistych celów.

I dobrze, bo i tak straciła na to nadzieję. Teraz koncentrowała się tylko na podnoszeniu plastikowych sztuczków do ust i na żuciu trudnego do zidentyfikowania jedzenia ze styropianowej tacki. Filet z brudnej szmaty, pomyślała.

Zapiekane kartofle w proszku. Galaretka cytrynowa z czymś, co było kiedyś albo owocami, albo może owadami.

Starła się nie czuć smaku zimnych kęsów, które z trudem przełykała. Próbowwała zwalczyć odrazę, nabierając na widelec następną porcję. Ciało domagało się posiłku, chociaż dusza obywatła się bez niego.

Jedzenie bardzo jej nie smakowało, ale z pełnym żołądkiem wreszcie udało się jej zasnąć. Chociaż bała się koszmarów, była tak wyczerpana, że natychmiast pogrzyżyła się w pełnej nieświadomości.

Koszmar nadszedł później, gdy się obudziła.

Ludzie to cholerni idioci, pomyślała Grace Morton, machając na pożegnanie strażnicze z nocnej zmiany. A może po prostu uwierzą w każde kłamstwo, byleby na tym skorzystać.

Na przykład Janice Stiles. Gdy Grace przyszła o trzeciej w nocy i opowiedziała bzdurną historyjkę o tym, że pokłóciła się z tym grubym draniem i nie ma dokąd pójść, czterdziestolatka w zaawansowanej ciąży tylko kiwnęła głową i kilka razy mruknęła coś ze współczuciem. Kiedy Grace zaproponowała, że dokończy za nią zmianę, a Janice będzie mogła wrócić do domu i się położyć, strażniczka wsunęła pod pachę romans, który czytała, i znikła szybciej niż pieczone kiełbaski z grilla.

Dało to Grace doskonałą sposobność do zrealizowania następnej części planu. Obecnie jedyna pojedyncza cela dla kobiet znajdowała się w piwnicy, używanej przede wszystkim jako magazyn. Odkąd w zeszłym roku jakaś zawszona dziwka naskarzyła na strażnika, że się do niej przystawiał, szeryf Abbott zabronił mężczyznom schodzenia do piwnicy, gdy znajdowała się tam więźniarka. To był wkurzający przepis, bo strażniczki na służbie cały dzień musiały ganiać po schodach, żeby coś przynieść lub zanieść. Ale dziś Grace miała pewność, że nie przeszkodzi jej żaden facet z góry.

Przysiadając na krawędzi zniszczonego biurka w jednym z pokojów, podarła na paski biały kombinezon więzienny.

Zrobienie sznura z ubrania wcale nie było takie proste, jak obiecywał Manuel. Grace wiedząc, że traci cenny czas, zakłęta, kiedy nie udało jej się rozerwać tkaniny. Jak, do cholery, robili to więźniowie, którzy chcieli popełnić samobójstwo?

Nagle przypomniała sobie swojego dziadka, pół - Komancza, który opierał się o słup przy stodole, cierpliwie zaplatał powykrzywianymi rękami warkoczyki na końskich grzywach i ogonach. Później metodycznie łączył te warkoczyki w grubsze sznury. Stary zawsze musiał robić wszystko najtrudniejszą metodą. Grace przysięgła sobie, że jeśli nie zapomni, to zapali świeczkę na jego grobie.

Wspomnienie cierpliwości dziadka podziałało nawet lepiej niż jego metoda - i po niedługim czasie miała przywoity sznur, nie tak ładny jak tamte, ale dość mocny.

Teraz musiała jeszcze znaleźć sposób, żeby skłonić Susan Maddox do współpracy. Manuel

nie wymyślił szczegółów, poradził tylko, żeby Grace nie zostawiła żadnych śladów. Pomyślała, że kilka uderzeń nie zaszkodzi, bo dziwka i tak ciągle miała siniaki po ich nocnym spotkaniu w zeszłym tygodniu oraz świeższe otarcia i wybroczyny po wypadku samochodowym. Łatwiej byłoby podać narkotyk, tylko że Maddox nie brała, a po jej śmierci koroner na pewno przeprowadzi badanie krwi. Ale Grace wątpiła też, czy groźenie pistoletem cokolwiek da. Nauczycielka była załamana - jak każdy w jej sytuacji? - ale strażniczka spodziewała się z jej strony wielkiego oporu. A gdyby Susan Maddox zmusiła Grace do użycia broni, którą ta przemyciła pod bluzką, odgłos wystrzału na pewno zaalarmowałby innych pracowników na górze. Może Grace wyłgałaby się przed sądem z zarzutu o morderstwo - a może i nie. Nie chciała tego sprawdzać.

Samobójstwo więźniarki było znacznie lepszym rozwiązaniem. Grace uśmiechnęła się od ucha do ucha, wpadając na pomysł, który gwarantował sukces.

Hector Abbott wsiadł do zaparkowanego pod domem wozu policyjnego i wcisnął pedał gazu, ale nie włączył koguta ani syreny. Po pierwsze, o czwartej w nocy nie spodziewał się korków. Po drugie, nie chciał, aby ktokolwiek, nawet jego ludzie, zbyt wcześnie dowiedziało się o jego przyjeździe.

Telefon Luke'a Maddoksa obudził go w środku nocy.

Słyszając, o co chodzi, szeryf dostał gęziej skórki. Ramirez planował zabójstwo Susan w więzieniu. Jeśli przypuszczenia Hectora były słuszne, Grace Morton mogła ją mordować właśnie teraz.

Luke nie powiedział, skąd to wszystko wie. Zażądał tylko, żeby Hector przyjechał na miejsce i zrobił; co do niego należy. Szeryf miał ochotę go splawić jak każdego natręta, ale władczy ton młodego mężczyzny przypominał mu jego ojca, George'a Maddoksa. George był świetnym skromnym człowiekiem, nigdy się nie przechwalał, ile dobrego zrobił dla społeczności. O jego twardości i sile świadczyło także to, że potrafił okiełznać Virginie Hale, która już we wczesnej młodości przejawiała dumę i upór sześciu dorosłych kobiet.

Skądkolwiek Luke wiedział o planie Ramireza, Hector założyłby się o całą pensję, że młodszy z braci Maddox nie robi alarmu bez powodu. Mijając ciemne domy mieszkalne i lokale usługowe, miał pewność, że Luke dotrze do więzienia pięć minut po nim i rozpęta piekło, jeśli wdowie po jego bracie stało się coś złego.

Kiedy Hector dowiedział się, że Susan i Luke byli razem w San Francisco, pomyślał, że są dla siebie kimś więcej niż tylko szwagrem i szwagierką. Ostatnio kilka razy widziano ich razem. Coś się tu dzieje, pomyślał Hector, i zastanawiał się, czy ich związek zaczął się w czasach małżeństwa Susan i Briana. Czy Luke mógł być zamieszany w zabójstwo brata i Jessiki Beecher, czy winę ponosił tylko Ramirez?

Podjeżdżając pod stare więzienie, Hector pomyślał, że zyska pewność, gdy zejdzie do piwnicy i znajdzie w celi martwe ciało Susan.

Twardy, zimny metal wbił się w biodro Susan. Dwa szpikulce, jak widły, przesunęły się za nią, gdy przez sen próbowała się cofnąć.

Obudziła się ułamek sekundy przed tym, zanim przeszył ją ból. Był tak silny, że zeszywniały jej wszystkie mięśnie. Miała ochotę krzyczeć, ale żadne słowo nie mogło się wydobyć z zaciśniętego gardła; próbowała uciec, ale żadna część jej ciała nie mogła się uwolnić od konwulsji.

Ból wydawał się trwać wiecznie. Nie wiedziała, czy trwało to kilka sekund, czy całą godzinę. Tak mąciło jej się w głowie, że gdy wreszcie przestała odczuwać ból, odruchowo

skuliła się, jak pajak spryskany pestycydem.

Chociaż miała otwarte oczy, dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, co widzi. Stała nad nią Grace Morton z demonicznym uśmiechem na nieumalowanej twarzy. Wymachiwała czymś - jakąś czarną pałką z metalowymi szpikulcami. Poruszała ustami. Serce Susan waliło jak młotem. Dźwięki, dochodzące do jej uszu, powoli zaczęły się układać w słowa.

- Szkoda, że nie miałam takiego w szkole. Ciekawe, czy wtedy miałabyś odwagę zrobić mi poprawkę z pieprzonych kręgowców.

Obracając się na bok, Susan próbowała nie spuszczać z oczu poruszającej się pałki. Co to jest, do cholery?

Grace wbiła jej narzędzie pod brodę. Nacisnęła mocno, gdy Susan próbowała się odchylić.

- Nie ruszaj się bez rozkazu, bo przypiekę cię tak, że mózg wypłynie ci uszami.

Susan zamarła, bardziej obawiając się pałki - domyśliła się, że to jakiś paralizator - niż pistoletu w kaburze przy pasku Grace.

Uśmiech strażniczki stał się jeszcze szerszy. Kontrastował z okrutnym błyskiem w jej oczach.

- Wiedziałaś, że będziesz grzeczna. Rozbierz się i rzuć ubranie tam, w rogu. Przerazenie wzięło górę nad ostrożnością.

- Nie! - wrzasnęła Susan, odwracając się i szukając jakiejś drogi ucieczki. Nawet gdyby istniała jakaś możliwość, jej osłabione mięśnie były znacznie powolniejsze niż uderzenie paralizatora. Upadła na podłogę, bezradna wobec bólu, który rozchodził się od jej lewej ręki po całym ciele.

Tym razem, gdy skończył się wstrząs, po twarzy popłynęły jej łzy. Mimo to zrobiła najgroźniejszą minę, na jaką było ją stać.

- Ja ... Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co sobie wymyśliłaś, ale się nie rozbiore - oświadczyła. - A jeśli ... jeśli myślisz, że po tym wszystkim zmusisz mnie do milczenia, to znaczy, że jesteś jeszcze głupsza niż w szkole.

Spodziewała się kolejnego porażenia prądem, ale Grace tylko wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Po prostu zdejmę z ciebie te ciuchy później.

Później. Grace powiedziała to takim tonem, że Susan przeszył dreszcz. Strażniczka nie martwiła się, że może zostać ukarana za swoje zachowanie ...

Bo chce mnie zabić, uświadomiła sobie Susan, dostając gęsiej skórki. Dostrzegła coś dziwnego - sznur, zakończony pętlą, zahaczony o kraty i zwisający nad jej pryczą. Poczła gorycz w ustach. Miała już pewność, całkowitą pewność, co chciała zrobić Grace i dlaczego kazała jej się rozebrać.

Strażniczka uplotła sznur z więziennego kombinezonu, żeby śmierć Susan wyglądała na samobójstwo przez powieszenie. Susan pomyślała o Luke'u i swojej matce, gdy usłyszą to słowo. Wyobrażając sobie ich wielki żal, poczuła wściekłość, narastającą jak wielka, rozgrzana do czerwoności fala. Jej ciało drżało teraz nie z bólu ani strachu, ale z furii, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewała. Zabiłaby tę kobietę - tę podłą dziwkę!

- byleby uchronić Luke'a i mamę przed cierpieniem.

Bała się, że Grace odczyta jej myśli, zamknęła więc oczy i rozluźniła całe ciało.

Grace ukarała ją mocnym kopnięciem w udo.

- Wstawaj!

Gdy się nie poruszyła, strażniczka przyłożyła jeszcze ciepłe widełki paralizatora do jej

skroni. Susan poczuła mdłości, ale postanowiła, że nie ułatwi zadania Grace.

Słyszając przekleństwa, przygotowała się na kolejne porażenie prądem. Usłyszała jednak strzykanie kolan, gdy strażniczka przykucnęła nad nią i szarpnęła ją za ramię.

- Słyszysz mnie, dziwko? Jeśli myślisz, że sama zaniosę cię na tę pryczę, to ... Susan błyskawicznie uderzyła Grace w mostek, tak mocno, że strażniczka przewróciła się do tyłu. Drugą ręką Susan chwyciła jej nadgarstek, żeby Grace nie mogła podnieść paralizatora. Z całej siły starała się przytrzymać przy ziemi szarpiącą się, krzyczącą kobietę, gdy ta wolną ręką szukała pistoletu, schowanego w kaburze przy pasku.

Omijając swój motocykl i hummera Hala, Luke wsiadł do nowego modelu buicka, który kiedyś należał do Jessiki Beecher; i ruszył nim przez miasto. Skręcając z dużą prędkością, nie zwracał uwagi na dziwne dźwięki, dobiegające z bagażnika. Łomotanie dawało mu pewność, że Beecher żyje. Luke w ciągu kilku chwil rozłączył mechanizm awaryjnego otwierania bagażnika i wyjął narzędzia, za pomocą których Hal mógłby się uwolnić. Jeszcze szybciej przekonał bankiera, że alternatywą dla podróży w bagażniku jest strzał w głowę.

Luke zahamował przed więzieniem i wysiadł, zostawiając otwarte drzwi.

Nie obchodziło go nic - a już najmniej Hal - oprócz tego, że musiał zdążyć do Susan.

Bardzo ryzykował, dzwoniąc do Hektora Abbotta i każąc mu jechać do więzienia, ale nie miał wyboru. Hal mieszkał o dziesięć minut drogi od centrum. W czasie, gdy Luke będzie jechał do więzienia, Susan mogło się stać coś złego. Zresztą wierzył Halowi, że szeryf nie jest zamieszany w tę sprawę. Wiedział też, że sam nie wkroczy do więzienia i nie zapobiegnie tragedii. Gdyby próbował, zwłaszcza w wielkiej desperacji, wartownik z recepcji mógłby po prostu zastrzelić go na miejscu.

Wbiegając do budynku po schodach, Luke zastanawiał się, czy powinien zaufać pierwszemu instynktowi i powiedzieć szeryfowi, że na miejsce jadą już Strażnicy Teksasu. Czy starszy pan szybciej ruszyłby z pomocą Susan, wiedząc, że jego działania zostaną sprawdzone, czy raczej - czego obawiał się Luke, dzwoniąc - byłby bardziej zadowolony z jej śmierci, bo zamknięta sprawa nie budzi niczyjego zainteresowania.

Pchnął drzwi frontowe i wszedł do staromodnej portierni. Chciał krzyknąć, pobiec w głąb budynku, ale się powstrzymał. Nagle zobaczył wysokiego, czarnego mężczyznę rozmawiającego za kontuarem ze starszym strażnikiem w mundurze.

- Widzieliście Ab ... Widzieliście szeryfa? - zapytał Luke.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego podejrzliwie. Ile wiedzieli? Żaden nie wydawał się uzbrojony, ale Luke przypuszczał, że mają gdzieś pod ręką broń. Przypomniawszy sobie o pistolecie, który zostawił w garażu Beechera.

- Jestem Luke Maddox - ciągnął. Z doświadczenia zawodowego wiedział, że nie należy wszędzie szukać spisku. - Czy szeryf Abbott już przyjechał? .Zawiadomiłem go przez telefon o kłopotach z więźniarką. Koniecznie muszę go zo ...

Słyszając dźwięk, przypominający odległy grzmot, wszyscy trzej mężczyźni zwrócili się w stronę zamkniętych drzwi w korytarzu po prawej stronie. Strażnicy podbiegli do szafki za kontuarem i wyjęli karabiny. Z bronią w ręku wrócili do drzwi.

Wyższy mężczyzna zatrzymał się z dłonią na klamce, przyglądając się uważnie Luke'owi.

- Jakie kłopoty? Mówi pan o włamaniu do więzienia?

Z trudem powstrzymał się, żeby ich nie minąć i nie wbiec do środka. Zaryzykował raz jeszcze.

- Zabójstwo. Ktoś chce zamordować Susan Maddox i upozorować samobójstwo.

- Kto ma dziś służbę? - zapytał czarny mężczyzna. Na jego twarzy malował się niepokój. - Czy nie Janice Stiles?

Drugi strażnik, szczupły mężczyzna z siwymi włosami zaczesanymi w tył, pokręcił głową.

- Niedawno wyszła. Powiedziała, że strażniczka z następnej zmiany przyszła wcześniej i ją zwolniła.

- Grace Morton ... o cholera! - Mężczyzna gwałtownie otworzył drzwi i pobiegł w dół z gotową do strzału bronią.

- Kapitanie Fielding! - krzyknął drugi strażnik. - Zaczekaj, Bernard! Musimy wezwać wsparcie ... Jezu!

Gdy przełożony nie usłuchał, starszy mężczyzna pobiegł za nim.

Obaj byli zbyt zaniepokojeni, żeby zwrócić uwagę na to, że biegł za nimi Luke. Wpadli do betonowego korytarza w piwnicy, z zamkniętymi drzwiami po obu stronach, oświetlonego migającymi jarzeniówkami.

Znaleźli Hectora Abbotta leżącego przy trzecich drzwiach. Drżącą dłonią uciskał lewe ramię, z którego tryskała krew.

Chociaż miał popielatą twarz i wyraźnie cierpiał, spojrzał na swoich ludzi przytomnym wzrokiem.

- To Grace. Musicie ją powstrzymać. Współpracuje z Ramirezem, próbuje się pozbyć Susan Maddox.

Fielding zwrócił się do strażnika.

- Wezwij pomoc. Ja tam idę.

- Nie sam, to rozkaz - powiedział Hector. - Ja wytrzymam, ale więźniarka nie.

Spojrzał na Luke'a.

- Wyciągniemy z tego twoją dziewczynę. Przysięgam.

Patrząc na krew, wypływającą spomiędzy palców Hectora, Luke zastanawiał się, czy funkcjonariusze będą mogli dotrzymać tej obietnicy.

- Patrz, do czego mnie zmusiłaś, dziwko! - wrzasnęła Gracie, próbując skierować broń w twarz Susan.

Walczyły na twardej podłodze. Każda z nich bardzo chciała zapanować nad drugą. Drapały, szczypały, robiły wszystko, byleby zyskać przewagę nad przeciwniczką. Rzucając się na młodszą kobietę, Susan wiedziała, że jest to walka na śmierć i życie. Teraz Grace musiała ją zabić. A ponieważ strzeliła do szeryfa Abbotta i prawdopodobnie go raniła, nie będzie już próbowała upozorować samobójstwa.

Przekoziółkowały po podłodze. Susan starała się mocno odepchnąć nogami i przycisnąć Grace do podłogi całym ciężarem ciała. Chociaż Susan była wyższa i bardziej wysportowana, strażniczka miała broń, a adrenalina dodawała jej siły. Susan przycisnęła do ziemi jej dłoń z pistoletem, ale Grace obróciła głowę i ugryzła ją w ramię.

Z krzykiem bólu Susan rozluźniła uchwyt, a dłoń Grace uniosła się, zatoczyła łuk i przystawiła lufę do jej szyi. Drugą ręką Susan chwyciła paralizator i szukała włącznika, chociaż wiedziała, że nie zdąży, że Grace zaraz pociągnie za spust.

- Nie ruszać się, bo strzelam! - usłyszała niski głos w korytarzu.

- Stać! - krzyczał drugi mężczyzna.

Grace zawahała się tylko na ułamek sekundy, ale Susan w tym czasie włączyła paralizator. I przycisnęła go do tułowia strażniczki. Zdążyła się jeszcze szybko pomodlić, żeby bardzo nie bolało, kiedy strażnicy będą do niej strzelać.

To była scena jak z koszmarnego snu. Ze schodów zbiegali strażnicy z bronią, szeryf Abbott wykrzykiwał rozkazy, ktoś wołał, żeby wezwać karetkę, a Grace wrzeszczała, bo Fielding poraził ją prądem, gdy sięgała po leżący na ziemi pistolet.

Luke też przyłączył się do tego chaosu.

- To Beecher! - krzyczał. - Hal Beecher ich zabił.

Susan tylko zamruła i opadła na ławkę w zatłoczonej celi. Patrzyła przed siebie, jakby nie zdawała sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Luke'owi zrobiło się słabo na widok wiszącej za nią pętli, przymocowanej do krat celi. Dotarło do niego, co planowała strażniczka.

Gdy wyprowadzano wykrzykującą przekleństwa Grace, Luke wszedł do celi.

Ukląkł obok Susan i położył dłoń na jej udach.

- Susan, jesteś ranna? Możesz coś powiedzieć? Nie odezwała się.

- Spójrz na mnie - błagał. - Słyszałaś, co powiedziałem? To był Beecher. Od samego początku.

Jeszcze raz zamruła i popatrzyła mu w oczy.

- Hal? Hal ich zabił? - zapytała i padła mu w ramiona, płacząc jak dziecko.

Rozdzielili ich zastępcy szeryfa, którzy wyprowadzili Luke'a, przykładając mu broń do boku.

Godzinę później chodził po pokoju przesłuchań jak wściekły tygrys, kopiąc aluminiowe krzesła, jakby mu przeszkadzały. Obrócił się na pięcie i spojrzał gniewnie na Bustera Hardy'ego.

- Muszę ją natychmiast zobaczyć. Muszę mieć pewność, że wszystko z nią w porządku. Tak płakała, że nawet nie mogła mówić. - Gdyby spędził z nią więcej czasu, na pewno skłoniłby ją do mówienia. Nie pozwoliłby jej zamknąć się w sobie. Kiedy strażnicy prowadzili go obok sanitariuszy, przygotowujących Hectora do transportu, krzyknął jej imię i jeszcze raz na nią spojrzał. Susan przyglądała się swoim stopom, jakby się dziwiła, że nadal się poruszają.

- Kiedy próbowałem przemówić tym draniom do rozsądku, powiedzieli, że mam przestać się szamotać, bo inaczej do mnie strzelą. Zajmowali się tylko tym cholernym Beecherem. Po tym, co zrobił!

Gdy adwokat zmarszczył brwi, Luke przestał narzekać. Dobrze znał Bustera i wiedział, że przyjaciel zaczął już tracić cierpliwość, zwłaszcza że wyrwano go ze snu, dzwoniąc do niego o piątej rano.

Hardy postawił krzesło, które Luke przewrócił kopnięciem. Usiadł. Jego gęste włosy były potargane, a szczupła twarz w świetle jarzeniówek wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Napił się coli, którą kupił w automacie. Druga puszka stała nieotwarta na stole.

- Czego się spodziewałeś? - zapytał Hardy spokojnym głosem. - Wparowałeś tu i zacząłeś mówić o zbrodni, którą ktoś chciał popełnić w ich własnym więzieniu. Miałeś szczęście, że kiedy szeryf został ranny, od razu nie strzelili ci w głowę. W takich okolicznościach strażnicy porządku publicznego łatwo się denerwują.

- Ale ja przyszedłem ostrzec ...

- Przywiozłeś człowieka w ...

- Podłego drania, który zabił mojego brata!

- Dyrektora miejscowego banku - poprawił Buster. - Zamknąłeś go w bagażniku samochodu, zabranego spod domu, do którego wszedłeś, że się tak wyrażę, bez zaproszenia. Pomyślałeś o tym, Luke? Przyszło ci do głowy, w jakie kłopoty się pakujesz?

- Susan żyje. Tylko to się liczy. I to, żeby wyszła z tej dziury.

Buster się skrzywił.

- Dużo ci to da, jeśli sam zostaniesz w więzieniu! Posłuchaj chwilę, zamiast na mnie krzyczeć. Powiem ci, co widziałem przy okazji szukania kofeiny.

Luke usiadł na drugim krześle i patrzył uważnie na przyjaciela. Zacisnął drżące ręce między kolanami.

- Sanitariusze najpierw zajęli się Susan. Zawieźli ją do szpitala na badania, ale chyba nie ma żadnych obrażeń poza śladami ludzkich zębów na przedramieniu.

- Żartujesz. Ta kobieta ... strażniczka ... Ugryzła ją?

- Chyba tak. Może ich namówimy, żeby odcięli jej głowę i wysłali do zbadania na wypadek wściekizny?

Luke zignorował ten dowcip.

- Czy Susan coś mówiła? Wszystko z nią w porządku?

Wypuszczą ją teraz?

Hardy się uśmiechnął.

- Pójdę do niej, kiedy tylko tu skończymy. Mam inną dobrą wiadomość: twój znajomy Beecher siedzi w sąsiednim pokoju i gada. Kazali mu czekać na adwokata, ale podobno właśnie teraz przyznaje się do morderstw.

Luke odetchnął z ulgą i chwycił puszkę z colą.

- Nie zatrzymają tu Susan. Buster kiwnął głową.

- Na pewno nie. A jeśli dobrze rozegramy sprawę, to może uda się wyciągnąć z więzienia także ciebie.

Luke wierzył, że jakoś wyplącze się z kłopotów. Chciałby też wierzyć, że wolność będzie oznaczała przyszłość z ukochaną kobietą. Bał się tylko, że Susan, pragnąc zapomnieć o wszystkich nieszczęściach, na zawsze zerwie kontakt z Maddoksami i ucieknie jak najdalej od hrabstwa Ocotillo.

## ROZDZIAŁ 24

Susan nie uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła go na progu, ale Luke uznał za zwycięstwo, że nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Peavy na jego widok przestał czekać i zaczął biegać wokół jego długich nóg.

Luke pochylił się i podrapał pieska za uszkami. Mały chihuahua merdał ogonkiem tak mocno, że wyglądał, jakby zaraz miał unieść się w powietrze.

- Luke. Myślałam, że coś uzgodniliśmy, że tu przestaniesz przychodzić. Susan odwróciła się od niego, mówiąc te słowa.

Sięgnęła ręką, żeby zdjąć ze ściany obrazek. Akwarela przedstawiała niewielkie stado teksaskiego bydła, pasącego się na polu dzwonek. - Postanowiliśmy, że nie będziesz naciskał.

Sądząc po pudłach, spakowała już dość dużo rzeczy z mieszkania mamy.

Luke wciąż nie mógł uwierzyć, że Maggie Dalton postanowiła zostać w Kalifornii, tak daleko od miasteczka, gdzie przeżyła całe życie. Przypomniało mu to, że na tym świecie stałe są tylko zmiany i że ludzie zmieniają się tak samo jak okoliczności. Nawet jego matka powiedziała, że sprzeda ranczo i przeniesie się do mniejszego mieszkania, o które będzie łatwiej zadbać i skąd jest bliżej do jej przyjaciółek. A Hector Abbott, który pełnił funkcję szeryfa prawie tak długo, jak Luke żył na tym świecie, już w szpitalu ogłosił, że przejdzie na emeryturę i uda się do Kolorado, by tam łowić ryby i rozpieszczać wnuki. Luke spodziewał się, że Hector zostanie zmuszony do ustąpienia w atmosferze podejrzeń, ale całe miasto wychwalało go pod niebiosa za to, co zrobił w sprawie Grace Morton i Manuela Ramireza. Abbott był pierwszym od kilkudziesięciu lat funkcjonariuszem z hrabstwa, rannym podczas służby. Dochodził do siebie w pokoju pełnym kwiatów, balonów i laurek od miejscowych dzieci.

Luke także wyszedł z sytuacji lepiej, niż się spodziewał.

Chociaż kilka dni temu włamał się do domu Hala, a potem sterroryzował Beechera i zamknął go w bagażniku, prokurator generalny przesłał sprawę do ławy przysięgłych, nie stawiając żadnych zarzutów. Gdy Buster Hardy przedstawił okoliczności, sędziowie przysięgli, zachodni Teksasczycy z krwi i kości, nie tylko postanowili, że nie będą sędzić Luke'a, ale i dali do zrozumienia, że gdyby mieli władzę, wręcziliby mu medal.

Grace Morton nie miała tyle szczęścia. Przysięgli uznali za zasadne wszystkie zarzuty, jakie postawił jej prokurator, i podobno wysłali do sędziego list z pytaniem, czy nie mógłby dołożyć więcej.

- Ty postanowiłaś, że mam się wycofać - powiedział Luke do Susan. - Nie przypominam sobie, że bym się na to zgodził.

- Jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Bardziej wdzięczna, niż kiedykolwiek zdołam to wyrazić. Nigdy o tym nie zapomnę. Ale też nie zapomnę o wielu innych sprawach. - Ze zniecierpliwieniem machnęła ręką. - Nie chcę już o tym myśleć. Przykro mi.

- Mogę ci pomóc? - zapytał, wskazując pudła.

- Proszę bardzo. - Wzruszyła ramionami, trochę sztywno z powodu obrażeń, i wskazała stertę gazet. - Możesz pakować kieliszki w kuchni.

Wziął garść papierów i zaniósł je do sąsiedniego pomieszczenia. Stał jak wryty na widok tortów, placków i ciasteczek, ustawionych na każdej dostępnej powierzchni.

- Co to?



Pochyliła się nad blatem i zajrzała do kuchni.

- Chyba przeprosiny. Ludzie wpadają tu od rana. Zajrzyj do lodówki. Zaciekawiony, otworzył drzwi lodówki i zobaczył mnóstwo garnków różnej wielkości, a także talerzy z wędlinami i jajkami. Takimi samymi potrawami była teraz zastawiona kuchnia jego matki. Tak w hrabstwie Ocotillo leczono wszystkie rany - w tym poczucie winy tych, którzy rozprzestrzeniaли krzywdzące plotki.

Chociaż od kilku dni nie miał apetytu, na widok tylu potraw poczuł skurcz w żołądku.

- Na pewno nie jadłaś obiadu, prawda? A lunch pewnie tylko skubnęłaś albo w ogóle o nim zapomniałaś. Zrobię ci kanapkę.

- Pójdę teraz do sypialni mamy i spakuję rzeczy, o których wysłanie poprosiła Ale ty coś zjedz. - Rzuciła mu przelotny uśmiech. - Na górnej półce stoi niebieska miska. Na pewno będzie ci smakowało. Roberta zrobiła potrawkę z tuńczyka.

Peavy wstał i się przeciągnął.

- Po co ta złośliwość? - zapytał Luke. Najwyraźniej wszyscy w Clementine, nawet piesek, wiedzieli, jak gotuje Roberta. - Zrobię ci kanapkę, a ty ją zjesz.

- Ty postanowiłeś. Nie przypominam sobie, żebym się zgodziła - zacytowała Susan, wychodząc z salonu.

- Twoja pani jest bardzo uparta - powiedział Luke do pieska.

- Ale pewnie już to wiesz.

Peavy usiadł i zapiszczał. Luke, przygotowując spóźniony lunch, rzucił mu kilka skrawków sera. Kilka minut później zaniósł do sypialni dwa talerze z kanapkami, jajka i ciasteczka.

W przeciwieństwie do pozostałych pokoi, tutaj nie zaczęło się jeszcze pakowanie. Na antycznej toalecie zobaczył koronkowe serwetki, srebrną szczotkę z lusterkiem i mnóstwo flakoników z perfumami. Na ścianach wisiały zdjęcia rodzinne przedstawiające dwie dziewczynki, w których Luke rozpoznał Susan i Carol. Rzeźbione dębowe łóżko było pokryte kolorową kapą. Susan stała przed szafą, tyłem do niego. Ramiona trzęsły się jej od płaczu.

Luke postawił talerze na wysokiej komodzie. Powoli przeszedł przez pokój i delikatnie ją objął.

Spodziewał się, że Susan wyrwie się, może nawet zaklnie.

Ale ona przycisnęła zapłakaną twarz do jego ramienia.

- Cholera, to niesprawiedliwe - jęczała. - Ha! przyznał się do winy. Opisał wszystkie szczegóły! Manuel i jego brat zostali schwytani na granicy. A ja wciąż tracę. Wszystko. Pracę. Przyjaciół. Matkę. Wszystko, do czego przywiązywałam wagę.

Uderzyła pięścią w jego klatkę piersiową, ale on nic nie powiedział, bo czuł, że mógł ją utracić na zawsze.

- A wiesz, co jest najgorsze? - zapytała. - Naprawdę najgorsze? Nie mogę już nawet nienawidzić Briana. Ja ... nie czuję do niego nienawiści. Odebrał mi tę możliwość, bo nie żyje.

Luke tulił ją dłuższą chwilę. Gładził jej plecy i przyciągnął ją bliżej, gdy w końcu pozwoliła swobodnie płynąć łzom.

- Ja mam ten sam kłopot w związku z Brianem. Przychodzą znajomi, składają kondolencje, mówią, jaki był wspaniały, a mnie jest przykro, że zginął. Ale to nie zmienia faktu, że zrobił coś złego. I nie zamierzał na tym poprzestać.

Susan odsunęła się trochę, żeby spojrzeć mu w twarz. W jej oczach wyczytał zdziwienie. Miał nadzieję, że zrozumiała, iż oboje zmagają się teraz z podobnymi uczuciami.

- Naraził też rodzinę na straty finansowe - dodał. - Odebrano nam firmę, na którą tata pracował całe życie. Matka straciła swoją dumę. A wiesz, ile to dla niej znaczy.

Uśmiechnęła się, ale wyraz głębokiego smutku pozostał w jej zaczerwienionych oczach.

- Jednego nie pozwolę Brianowi zepsuć. - Luke dotknął dłonią mokrego policzka Susan - Szansy dla ciebie i dla mnie.

Odwróciła się znowu, kręcąc głową.

- Nie mogę, Luke. Mówiłam ci, że nie mogę.

Przycisnął usta do jej szyi, lekko pocałował ją w ucho.

- Pozwolisz, żeby odebrał ci także to?

Odchyliła głowę w tył. Zamknęła oczy. Po jej policzku popłynęła łza. Obszedł ją wkoło i zaczął lekko całować w usta. Pocałunki kusiły, zamiast brać, i zapraszały, zamiast nalegać.

- Nie chcę - szeptała raz po raz, coraz bardziej stanowczo, w końcu Luke odsunął się i spojrzał jej w oczy, wielkie i lśniące jak oczy kota w świetle księżyca. - Nie mogę tego zrobić.

Był tak rozczarowany, że nie mógł wykrztusić słowa. Brian, ten egoistyczny dupek, zniszczył także to. Zatrął feniksa, podnoszącego się z popiołów przeszłości. Luke był pewien, że Susan zacznie kiedyś nowe życie, ale nie miał wątpliwości, że bez niego.

Chyba domyśliła się, co mu chodziło po głowie.

- Zadzwoiła moja dawna dyrektorka - powiedziała. - Teraz prowadzi szkołę w mieście Corpus Christi. Słyszała o moich problemach i zaproponowała mi pracę. Nie będę uczyć. Mówi, że powinnam się pozbierać po tym wszystkim, co się stało. A może myśli, że załamie się przy dzieciach lub rodzicach. Najważniejsze, że dostanę pracę w innym mieście. Zacznę od nowa, zapomnę o tych wszystkich potwornościach.

- Dlaczego nie w Austin? - zapytał, chociaż już mu to wyjaśniła, gdy oświadczył się jej kilka chwil po jej wyjściu z więzienia. - Kocham cię, Susan Dlaczego nie chcesz zacząć od nowa jako moja żona? Pomogę ci znaleźć pracę. Pomogę ci przy...

- Nie chcę, nie mogę pozwolić, żebyś rządził moim życiem - upierała się. - Nie chcę pieniędzy i wpływów Maddoksów. Są przecież wspomnienia, Luke.

- Nie masz żadnych dobrych? - zapytał. - O mnie, o nas?

Przeczesała włosy palcami, odgarnęła lok za ucho.

- Nie wiem. Może. Na pewno takie też są. Ale potrzebuję czasu, żeby ogarnąć myślą wszystkie swoje uczucia. Pogodzić się z tym, co przeszłam. Co wszyscy przeszliśmy.

Drgnęła, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Luke zaklął. Bardzo chciał jej przypomnieć, jak dobrze było im kiedyś razem.

- Nie otwieraj - powiedział. - Na pewno znowu ktoś przyniósł jedzenie.

Uśmiechnęła się smutno i ruszyła w stronę drzwi.

Gdy pukanie stało się głośniejsze, Susan podniosła Peavy'ego i przyspieszyła kroku.

- Nie wpuściłabym tego kogoś - rzuciła Luke'owi przez ramię - ale nie chcę, żeby ustawiali talerze pod drzwiami. Nie wyszlibyśmy stąd!

- Są gorsze sytuacje niż siedzenie w zamknięciu z tobą - powiedział z tak wielkim żalem, że aż zakłuło ją w sercu.

W przeciwieństwie do poprzednich gości, Marcus przyszedł z pustymi rękami. Gdy otworzyła, spuścił wzrok. Wyglądał teraz tak, jak niedawno jego najlepszy przyjaciel.

Peavy zaczął się wrywać, chcąc powitać nastolatka.

Pamiętając, że piesek ma skłonność do uciekania, Susan przytrzymała go mocniej.

- Czy ... jest coś nowego w sprawie Jimmy'ego? - Słyszała tylko, że był w stabilnym stanie, ale wciąż pozostawał na oddziale psychiatrycznym.

Marcus pokręcił głową.

- Nic nowego. Jego ojciec na krótko wytrzeźwiał i podpisał papiery. Zrzekł się praw do opieki. Teraz Jimmy będzie leczony na koszt państwa. Ja ... bardzo się cieszę ... - Z wysiłkiem spojrzał jej w twarz. - Bardzo pani dziękuję, że przekonała pani prokuratora, żeby nie stawiał mu zarzutów.

Kiwnęła głową. Zrobiło jej się smutno na wspomnienie niebezpiecznej obsesji Jimmy'ego. Szukała w pamięci, ale nie przypominała sobie nic, co mogłaby zrobić lub powiedzieć, żeby chłopak uroił sobie, że coś do niego czuła. Być może zaniedbywanemu i maltretowanemu dziecku wystarczyło to, że okazała mu uwagę.

- Wolałabym, żeby wcale nie musiał wyjeżdżać - powiedziała. - Chciałabym coś zrobić ...

Urwała, gdy Marcus pokręcił głową.

- Nie, proszę pani. Nie. Pan Maddox miał rację: Jimmy jest chory. Każdy kto wzięłby pani obrączkę i... zrobił z nią to; co on, każdy, kto podciąłby sobie żyły, bo myślał, że jego nauczycielka - na miłość boską, nauczycielka! - wyjdzie za niego za męża, potrzebuje wielu doktorów. Niech się pani nie obrazi, pani Maddox, ale ile pani ma lat? Ze trzydzieści?

Susan nie mogła się powstrzymać. Zaśmiała się, słysząc niedowierzanie i przerażenie w głosie nastolatka.

- I jeszcze dwa - powiedziała. - Niedługo zacznie się demencja.

Z miny Marcusa wywnioskowała, że nie znał tego słowa. I nawet za milion dolarów nie zapytałby, co ono oznacza.

- Proszę posłuchać ... - zaczął. - Właściwie nie przyszedłem tu, żeby mówić o Jimmym. Przyszedłem ... mam panią zawieźć na spotkanie rady szkoły.

- Spotkanie rady szkoły? Po co? Byłam aresztowana, Marcusie. Oskarżona o morderstwo. A mój ... mąż ... powiedzmy tylko, że ludzie, ceniący wartości rodzinne, nieprędko o wszystkim zapomną. Zwłaszcza że zbliżają się wybory.

- Chyba jednak powinna pani jechać.

Zamierzała odmówić, ale stanowczość w jego spojrzeniu i głosie sprawiły, że się zawahała. Jadąc z Marcusem do szkoły, mogłaby uciec od Luke'a, którego delikatny dotyk i czułe słowa przebijały się przez mur, którym z rozsądku się otoczyła. Poza tym przygnębiała ją wiadomość, że po tych wszystkich nieszczęściach pojedzie do miasta nad Zatoką, żeby tam liczyć grzbiety zapleśniałych podręczników w jakimś magazynie bez okien. Zrobi to, zmusi się, ale zanim wyjedzie, przekaże swoim uczniom jeszcze jedną, ostatnią lekcję.

Postanowiła im pokazać, że nie zrezygnuje bez walki.

- Dasz mi dziesięć minut? - zapytała Marcusa. - Jeśli mam się stawić przed radą szkoły, powinnam być odpowiednio ubrana.

- Dobrze pani wygląda, pani Maddox.

- Jak na staruszkę - dodała. Była pewna, że swobodna sukienka i nieuczesane włosy nie spodobają się tak zwanym „odpowiedzialnym” dorosłym. - Pięć minut i spotkamy się przy moim dziepie.

- Ale ja chciałem panią zawieźć.

- Nie obraż się, ale wiem, jak prowadzisz. Widziałam też twój samochód. Jestem już dość poobijana, bardzo dziękuję. - Powiedziała to lekkim tonem, próbując sobie wmówić, że stary cadillac znaczył dla niej tyle samo co każdy inny grat. Nigdy nie będzie miała pewności, czy to

ten sam samochód, który należał kiedyś do Luke'a, duży, stary kabriolet, w którym poddała się magii pustyni i nocy. Ale za nic nie chciałyby do niego wsiąść. W ten sposób uwolniłyby falę wspomnień, które z całej siły starała się stłumić.

Marcus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niech będzie. Do zobaczenia za pięć minut.

Idąc do drugiej sypialni w mieszkaniu, minęła Luke'a.

- Nie chciałem podsłuchiwać, ale usłyszałem o spotkaniu rady szkoły powiedział. - Jedziesz? Myślałem, że się poddałaś.

Otworzyła szafę i wyjęła spodnie w kolorze khaki oraz czarną lnianą bluzkę z krótkimi rękawami.

- Przynajmniej dzieciaki zobaczą, że próbowałam. Zrozumieją, że odchodzę nie z własnego wyboru.

- Ja też pojedę - oznajmił.

- Nie wpuszczą cię. Spotkania personelu są zamknięte.

- W takim razie tylko cię zawiozę, I zaczekam na zewnątrz. Susan chciała się sprzeciwić, ale nie miała siły.

Przypuszczała, że kiedy raz na zawsze zakończy karierę nauczycielki w hrabstwie Ocotillo, będzie jej trudno patrzeć na drogę przez łąki.

Zaczęła płakać znacznie wcześniej. Gdy tylko skręcili w South Agave Avenue, jej oczy wypełniły się łzami i poczuła wdzięczność, że ją i Marcusa do szkoły wiezie ktoś inny.

Budynek z beżowej cegły otaczało morze ludzi. Setki uczniów unosiły w górę tablice i transparenty. Każdy trzymał świeczkę, bo robiło się już ciemno.

Przyszli nie tylko oni. W tłumie zobaczyła swoich kolegów nauczycieli, a także dawnych uczniów i ich rodziców.

- Widzi pani transparenty, pani Maddox? - zapytał Marcus z tylnego siedzenia. - Może pani odczytać?

Było jej trudno, z powodu różowawego światła latarni i łez w oczach. Ale co nieco zobaczyła. Na przykład: **SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA SUSAN MADDOX, JEST NAJLEPSZA, MUSI WRÓCIĆ i BĄDŹMY FAIR.** Przed wejściem stało kilkunastu uczniów ostatniej klasy. Trzymali tablicę z napisem: **MAMY OSIEMNAŚCIE LAT I GŁOSUJEMY!**

- Tego powinni się przestraszyć - zaśmiał się Luke, wskazując duży transparent z napisem: **GŁOSUJCIE - SUSAN MADDOX DO RADY SZKOŁY.**

Pomimo łez Susan zatrzęsała się ze śmiechu i zrobiła głupią minę, gdy tłum zauważył jej czerwonego dziopa i zaczął wiwatować.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyła grupkę obywateli, maszerujących w kółko z innymi tablicami. Napisy na nich głosiły: **MORALNOŚĆ W NASZYCH SZKOŁACH i NIE ROZPRASZAC!** Nie знаła większości z tych ludzi, nie licząc kilku bardzo konserwatywnych krzykaczy, którzy zawsze protestowali przeciwko wszystkiemu.

Gdy ich mijali, chciała pokazać im język, ale się powstrzymała. Przecież w ten sposób przyznałaby im rację.

- Niech im pani dołoży, pani Maddox - powiedział Marcus. Wyjaśnił Luke'owi: - Chcieliśmy, żeby nas wpuścili do środka, ale oni ustalili jakiś piep ... jakiś przepis o prywatności. Chyba się nas boją.

- To twoja sprawka, prawda? - zapytała Susan, zdziwiona, że Marcus, największy leń w szkole, w ogóle się do czegoś przyłożył, nie mówiąc o zorganizowaniu tak wielkiej

demonstracji.

Odwrócił wzrok i wzruszył ramionami, ale zdążyła zauważyć przelotny uśmiech.

- Z pomocą innych. Caitlyn, Rolando, Shelby i V.C. bardzo dużo zrobili. Niektórzy nauczyciele też, ale wolą, żeby nie dowiedziała się o tym rada szkoły.

Susan nie mogła im mieć tego za złe. Gdyby rada szkoły chciała się na nich zemścić, nie znaleźliby pracy w całym hrabstwie. Większość nauczycieli miała rodziny, na pewno więc nie byłoby im łatwo się przeprowadzić.

Ludzie się rozstąpili, pozwalając, żeby Luke podjechał bardzo blisko drzwi frontowych. Susan spojrzała na drzwi i kartkę z odręcznym napisem: Sesja zamknięta. Zaczęła się trząść, wiedząc, że cokolwiek się tam stało, na zawsze odmieni jej życie.

Luke wziął ją za rękę i pocałował drżące palce.

- Pamiętaj, nieważne, co się tam stanie, masz przed sobą przyszłość. Jeśli pozwolisz, to ze mną. Jestem gotów długo czekać, dopóki nie odzyskasz rozsądku.

Patrząc na jego przystojną twarz, poczuła napływ emocji.

Chciała mu powiedzieć, że bardzo go kocha i że w innym czasie i okolicznościach rozpierałaby ją radość na myśl o wspólnym życiu. Powstrzymała się jednak, czując, że nie powinna niepotrzebnie robić mu nadziei. Mimo to czerpała spokój z jego uśmiechu i pociechę z ostatniego uścisku ręki.

Odetchnęła głęboko, żeby dodać sobie odwagi; i wysiadła z dżipa.

- Dokop im, dziewczyno! - krzyknęła Agnes. Dzięki światowej klasy pracy Larindy jej włosy przypominały fryzurę klauna, reklamującego hamburgery. Ale zamiast chować się w domu, w papierowej torbie na głowie, Agnes stała tu obok Roberty. Miały takie same podkoszulki z napisem: SOS - RATUJCIE NASZĄ SUSAN!

Susan zmusiła się do uśmiechu, a potem weszła po schodach i przez frontowe drzwi, nie oglądając się za siebie.

Gdy Luke i Marcus wysiedli z dżipa, nastolatek sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki do starego pikapa.

Zaczerwienił się jak burak.

- Naprawdę bardzo przepraszam. Chciałbym cofnąć czas i pewne rzeczy, w które się wplątałem. To ja prowadziłem pana samochód tamtej nocy i zostawiłem go na pustyni. Niepotrzebnie dałem się namówić.

- Nie mamy wpływu na przeszłość. Tylko na przyszłość - powiedział Luke ..

Wziął kluczyki, spojrział na logo na skórzanym breloczku, a potem wcisnął je do kieszeni dżinsów.

- Chyba tak. - Nastolatek podniósł wzrok i uśmiechnął się z zażenowaniem. - Pana pikap dziwnie łomotał i coś strzelało w silniku. Cholernie się przestraszyłem! Ale później nasmarowałem zawory i już jest lepiej.

- Ty też lubisz stare samochody - powiedział Luke, myśląc o cadillacu Marcusa.

Chłopak wzruszył ramionami, a Luke dostrzegł szansę, na którą czekał.

- Mam dla ciebie propozycję.

Marcus spojrział na niego, bardzo zdziwiony.

- Tak?

Gdy Luke powiedział, o co chodzi, chłopak wytrzeszczył oczy pod złoto - czarną grzywką.

- Pan chyba żartuje. To szaleństwo!

Ale że był bystrym dzieciakiem, nie odrzucił propozycji.

Luke musiał przyznać radzie szkoły, że szybko załatwiła sprawę. Kiedy już opędził się od dziękującego Marcusa, przez jakieś dwadzieścia minut rozmawiał z najżarliwszymi zwolennikami Susan. Opowiadali mu, jak odmieniła ich życie. To mu zaimponowało.

Nagle usłyszał czyjś szept:

- Już wychodzą!

Wiadomość przekazywano z ust do ust. Po chwili wszyscy zamilkli i patrzyli na Susan, wychodzącą z budynku. Za nią szedł mężczyzna, w którym Luke rozpoznał dyrektora, doktora Winthropa, oraz prezes rady szkoły, który liczył na ponowny wybór w listopadzie. Mężczyźni zatrzymali się na schodach, po obu stronach Susan, uśmiechnęli się i pomachali do ludzi. Susan wodziła wzrokiem po twarzach zgromadzonych tu osób. Luke widział, że walczy z kolejną falą łez.

Chciał wejść po tych schodach i zabrać ją stąd, żeby zapomniała o wszystkich przykrościach, które ci dranie musieli jej sprawić podczas spotkania.

Ale Winthrop właśnie zaczął mówić, głośno, żeby usłyszało go jak najwięcej osób. Był potężnie zbudowany, a zanim powierzono mu funkcję administracyjną, trenował drużynę futbolową, nie potrzebował więc mikrofonu.

- Chociaż raz rada i ja zgodziliśmy się co do czegoś - powiedział i zaczął, aż wszyscy uprzejmie się zaśmieją z tej aluzji do budżetowych bitew. - Jakie przesłanie przekazalibyśmy naszym uczniom, karząc utalentowaną nauczycielkę za zbrodnie, z którymi nie miała nic wspólnego? Dlatego przywróciliśmy ...

Tłum zaczął wiwatować, zagłuszając jego słowa i tłumiąc cichy jęk protestujących. Minęło trochę czasu, zanim dyrektor i przedstawiciel rady szkoły wypowiedzieli się do końca. Gratulowali sobie własnej uczciwości, jakby wcześniej nie zwolnili Susan z powodu plotek. Słuchaczy zaczęło to denerwować. Kilku nastolatków krzyknęło, żeby Susan coś powiedziała.

Wreszcie prezes rady oddał jej głos. Przez dłuższą chwilę stała w milczeniu, była bardziej oszołomiona niż uspokojona.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie. - Dziękuję, że dziś tu przyszliście. Ja ... nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy. Powiem tylko, że każdy pełnoletni uczeń, który zagłosuje na mnie w listopadzie, ryzykuje, że zostanie aresztowany.

Tym razem śmiech wydawał się szczery. Wykorzystała tę chwilę, żeby pomachać zgromadzonym i schronić się w swoim dziupie. Kilka sekund później Luke usiadł za kierownicą.

Wiele osób chciało jej pogratulować. Luke uznał, że udało im się uciec bardzo szybko. Już po kilku minutach minęli tłum otaczający budynek dyrekcji oraz ceglany stary gmach szkoły podstawowej w Clementine.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Susan tak cicho, że prawie jej nie słyszał. - Zostaję. Zostaję w rodzinnym mieście i zachowam pracę. Dzięki pieniądзом z polisy ubezpieczeniowej oraz pomocy twojego kolegi, pana Hardy'ego, chyba nawet uda mi się rozwiązać problemy z urzędem skarbowym. Odzyskam swoje życie, Luke. Tylko tego pragnęłam.

Jakiś czas jechali bocznymi uliczkami, zanim Luke zdecydował się odezwać.

- Kupię ranczo mamy. Ona chce je sprzedać, ale wolałbym, żeby zostało w rodzinie.

- Wynajmiesz posiadłość czy będziesz tu przyjeżdżał na wakacje? - zapytała.

- Chyba tu zamieszkać. Będę pracował w domu, kontaktując się z firmą przez Internet. Mama teraz mnie potrzebuje. Poza tym dotarło do mnie, jak bardzo tęskniłem za tym miejscem.

Czuł na sobie jej uważny, pytający wzrok. Ale nie powiedział, że będzie czekał, dopóki ona nie zmieni zdania.

Postanowił dać jej czas. Przynajmniej tyle, ile sam zdoła wytrzymać.

A potem podejmie ostatnią próbę wskrzeszenia uczucia, zniszczonego przez zabójstwo jego brata.

## ROZDZIAŁ 25

Susan siedziała na balkonie swojego nowego mieszkania, na drugim piętrze, opierając stopę na plastikowym krześle. Testy, które sprawdzała przez ostatnie godziny, teraz wcisnęła w podręcznik. Pochyliła się w lewo i sięgnęła po zimne piwo - nagrodę za skończenie pracy. Przyniosła je przed dziesięcioma minutami, żeby uczcić ten piękny piątkowy wieczór i październikowy zachód słońca, którego czyste kolory wyglądały jak namalowane na tle nieba.

Znalazła mieszkanie na przedmieściu Clementine. Z balkonu miała widok na pustynię na zachodzie, tuż za wąską boczną uliczką, gdzie kilkunastu mieszkańców parkowało swoje samochody. Mieszkanie było małe i panowały tam spartańskie warunki, ale gra świateł o zmierzchu i widok na dziką przyrodę wynagradzały jej wszelkie niewygody.

Większość ludzi nie uznałaby jednego piwa za wielką ucztę, ale ona dopiero po trzech miesiącach zaczęła sobie pozwalać na takie kaprysy. Przez te trzy miesiące krok po kroku wracała do normalności. Nie osiągnęła jeszcze celu, o nie, ale to piwo wydawało się ruchem w odpowiednim kierunku.

- Cholera, Peavy. - Zezłościła się, gdy jej palce dotknęły zimnej kałuży i mokrej psiej łapki. Jasne, ten mały drań przewrócił butelkę, a teraz łąził po rozlanym piwie.

Gdy na nią spojrział, mogłaby przysiąc, że zobaczyła jego szyderczy uśmiech. Chwyciła go za obrozę, otworzyła drzwi balkonowe i wepchnęła do mieszkania. Już dawno zdążyła się przekonać, że chihuahua okropnie się zachowuje po alkoholu, chciała więc jak najszybciej posprzątać.

Sięgając po ściereczkę, straciła z blatu kartkę. Podniosła ją i uśmiechnęła się, patrząc na wyraźne pismo mamy, prawie tak czytelne jak kiedyś. W dodatku mama napisała, że jest szczęśliwa w Oakland, ma nowych znajomych i coraz lepiej daje sobie radę sama. Chociaż Maggie nie planowała powrotu na stałe, obiecała, że podczas wakacji przyjedzie z wizytą. Susan nie mogła się już doczekać.

I to będzie musiało mi wystarczyć, pomyślała, starając się nie myśleć ciągle o Luke'u. Przeczekała ból, który zawsze towarzyszył wspomnieniom.

Lepiej i rozsądniej było unikać się nawzajem. W końcu tego przecież chciała. O to go prosiła.

O przestrzeń. O wolność. Nadszedł czas, żeby przeszłość - wraz z Maddoksami - wreszcie przestała ją dręczyć.

Dlaczego więc wciąż czuła ból? Dlaczego żałowała, że spełnił jej prośbę?

Przecież dość się nacierpiała. Przesiedziała wiele nocy, czekając na niego, wyobrażając sobie, że puka do jej drzwi i pyta, czy odzyskała rozsądek. A potem przerzuca ją sobie przez ramię i wynosi z domu, jak jakiś pirat pustyni ... albo chłopak z fantazji uczeniwy.

Za późno, powiedziała sobie. Było za późno od dnia, w którym poślubiła Briana, a może zaprzepaściła szansę jeszcze w czasach szkolnych, gdy pozwoliła, żeby matka oddzieliła ją od ukochanego chłopaka.

Zmoczyła ściereczkę w zlewie i wyszła na balkon. Zdziwiła się, ile gwiazd pojawiło się już na niebie i jak zimna i pusta wydawała się przestrzeń między nimi.

Nagle rozbłysły reflektory i przed domem zaparkował duży samochód. Coś w jego kształcie przywołało wspomnienie, przerwała więc sprzątanie, żeby się przyjrzeć.

Cadillac był długi i elegancki, taki, jak zapamiętała. I, jak przed laty, Luke Maddox wysunął się z kierownicy i oparł o nowo pomalowane niebieskie drzwi. Jego szelmowski uśmiech rywalizował z bladym sierpem księżycy. Miał za ciasne džinsy i zuchwałe spojrzenie,



a radio, nadające piosenkę Bruce'a Springste'ena, grało za głośno.

Gdy usłyszała, że zamienił swojego odrestaurowanego pikapa na wraka Marcusa, obawiała się, że coś takiego kiedyś się stanie. A raczej obawiała się tylko na początku - później czuła się zawiedziona, gdy przez kolejne miesiące nic się nie działo.

Teraz miała ochotę na coś więcej niż piwo. .

Weź się w garść! - nakazała sobie. Przecież prowadziła miłe, spokojne życie, nie przeszkadzali jej ani nie pomagali żadni Maddoksowie. Uciekła z ich orbity, chociaż nie mogła sobie przypomnieć wspanialszego ciała niż ciało Luke' a, który właśnie zaparkował cadillaca dziesięć metrów od jej domu.

A jednak, kiedy Luke ruszył w jej stronę, poczuła Przyciąganie, nieodparte i pierwotne. Wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi balkonowe.

Czuła, jak się zbliża. Podchodził do niej jak drapieżnik, który zwęszył krew.

Słyszac cichy jęk, otworzyła usta, żeby uciszyć Peavy'ego, ale zaraz uswiadomiła sobie, że ten dźwięk powstał w niej.

Za drzwiami usłyszała kroki Luke'a. Zerknęła na psa.

- Wypij sobie piwo, mały. Twoja pani wybiera się na przejażdżkę.

Była zbyt zdenerwowana, żeby coś powiedzieć, gdy wyszli w noc, pachnącą mimozami, kreozotem... i kwiatami juki, jak tamtej wiosny przed laty.

Otworzył jej drzwiczki wozu, tak samo jak wtedy. Siadając za kierownicą, wyłączył radio i spojrzał na nią tak intensywnie, że wstrzymała oddech, a na plecach poczuła dreszcz.

I zadał pytanie. To samo, które tak dawno wryło jej się w pamięć.

- Jesteś tego pewna, Susan? Bo jeśli nie, to masz jeszcze czas, żeby uciec do domu.

Pochyliła się i pocałowała go ze stanowczością obcą szesnastoletniej dziewczicy.

Nie chciała już uciekać przed Lukiem Maddoksem... i postanowiła nie zmarnować tej drugiej szansy.

\*\*\*

The logo for Bevitore, featuring the brand name in a white serif font centered within a dark red rectangular background.

# Spis treści

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)